

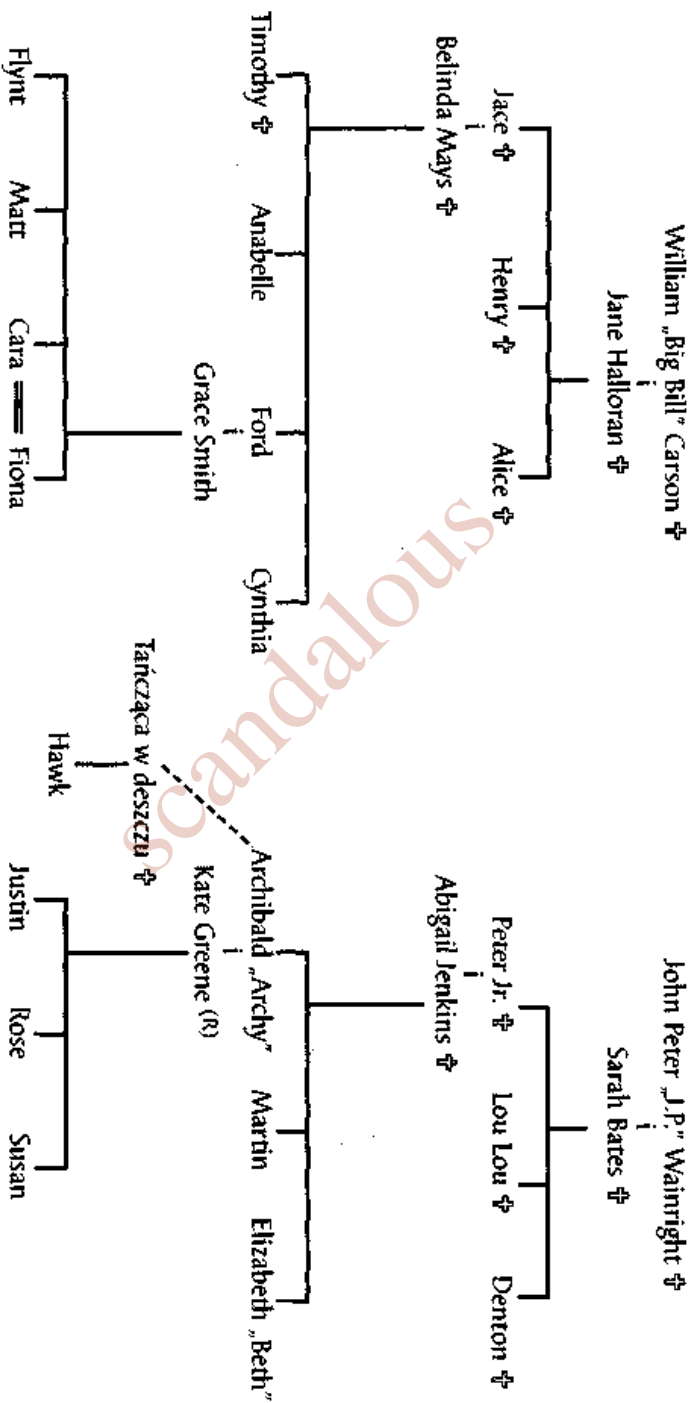
ALLISON LEIGH

W SERCU DŻUNGLI

scandalous

CARSONOWIE

WAINWRIGHTOWIE



(R) Rozwód/ani

- - - - - Romans

■ Ilizjetera

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Cholera jasna! Odbiło im czy co?

Tyler Murdoch wypowiedział te słowa na głos, chociaż nikt nie mógł go usłyszeć.

Zmrużył oczy, chroniąc je przed jaskrawym słońcem, które odbijało się o suchą, piaszczystą ziemię otaczającą maleńkie *aerpuerto*. Przed chwilą z budynku lotniska wyłoniła się dziewczyna. Mimo iż stanęła w cieniu, widział ją doskonale.

Lepiej by było, gdyby jego wzrok wyławiał jakąś zamazaną sylwetkę. Wtedy mógłby udawać, że zaszła pomyłka. Że to nie z nią ma się spotkać.

Trzymał w ręce sztywną podkładkę z kartką zawierającą wykaz rzeczy do sprawdzenia i zabrania, ale nie potrafił się na nich skupić. Ponownie zerknął w stronę budynku, skrzywił się i pokręcił głową; nie, czekająca w cieniu dziewczyna na pewno nie jest tym językoznawcą, którego ma zabrać z sobą do Mezcai.

Instynkt mu jednak podpowiadał, że to ona, a Tyler Murdoch ufał swojemu instynktowi. Miał trzydzieści pięć lat i gdyby nie instynkt, już kilka razy by zginął. Nie mógł go zignorować tylko dlatego, że nie podoba mu się to, co widzi. Zresztą sprawdził lotnisko wzdłuż i wszerz. Kilka minut temu przyjechał pokryty war-

stwą kurzu samochód terenowy, który zaraz potem szybko się oddalił. Wszystko się zgadzało. Miejsce było starannie wybrane. Poza nim i człowiekiem, którego przydzielono mu do współpracy, nikt inny nie miał powodu tu przebywać.

Najwyższym wysiłkiem woli zdusił przekleństwa, które cisnęły mu się na usta, i wbił wzrok w kartkę. Jednakże jej treść znał na pamięć, a oczami wyobraźni wciąż widział samotną postać stojącą w cieniu budynku.

Zacisnął zęby. Wcale mu się to nie podobało. Kobieta zawsze rozprasza, on zaś nie mógł sobie na to pozwolić, zwłaszcza podczas tak ważnej misji. Od powodzenia tej akcji zależy życie Westina. Nie chciał zawieść swojego dawnego dowódcy. Zbyt wiele mu zawdzięczał.

Czuł narastającą złość na zwierzchników, którzy przydzielili mu tę dziewczynę do pomocy. Wszyscy dobrze wiedzieli, że nie lubi współpracować z kobietami. Może to źle o nim świadczy, ale trudno. Zupełnie się tym nie przejmował. Nie interesowały go takie sprawy jak poprawność polityczna czy równouprawnienie. Kobieta tak samo łatwo jak mężczyzna potrafi zdradzić swój kraj.

Sonya zrobiła to bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

Przez otwarte drzwi samolotu wrzucił do środka podkładkę z przyczepioną kartką. Wylądowała tuż koło fotela pilota. Jego fotela. On tu jest szefem, on przewodniczy wyprawie do Mezcai, niestety, przez całą

drogę tam i z powrotem ma mu towarzyszyć czekająca nieopodal Miss Universum.

Powiedziano mu, że językoznawcą jest tubylec - osoba urodzona w Mezcai, która w dodatku wiele lat spędziła w służbie dyplomatycznej. Nie wierzył w to. Stojąca w cieniu kobieta wyglądała zbyt młodo, aby gdziekolwiek mogła spędzić wiele lat. No, chyba że w przedszkolu i szkole.

Z drugiej strony wiek nie robił żadnej różnicy. Sonya też nie była staruszką, a ile szkód poczyniła!

Zdegustowany sam sobą, zły, że wciąż wraca myślami do starych dziejów, obrócił się na pięcie i energicznym krokiem ruszył w stronę budynku. Miał ważne zadanie do wykonania i nikt, a już na pewno żadna ślicznotka, nie przeszkodzi mu w osiągnięciu celu.

Powtarzała sobie, że to z powodu upału kręci się jej w głowie. Z powodu upału i może zdenerwowania. Nic dziwnego, że była zdenerwowana. Nadarzyła się bowiem okazja, której nie może zmarnować. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, wiele może się zmienić w jej życiu.

Upał i zdenerwowanie. Tak, na pewno o to chodzi.

Tylko dzięki determinacji i sile woli stała bez ruchu, trzymając w dłoni teczkę. Marzyła zaś o tym, aby podnieść rękę do włosów i sprawdzić, czy spod zawiązanej na głowie chustki nie wystają niesforne kosmyki, a potem osłonić oczy przed blaskiem słońca, które razi mimo cienia.

Patrzyła na nieduże kłęby kurzu, które raz po raz

wzbijał swoimi ciężkimi buciorami idący w jej kierunku mężczyzna. Nie, wcale nie ma ochoty rzucić się do ucieczki. Nie przeraża jej jego twarde, ponure spojrzenie. Doświadczyła w życiu gorszych rzeczy. Znacznie gorszych.

Świadomość tego powinna ją uspokoić, lecz tak się nie stało. No trudno. W tej sytuacji przybrała buńczuczną minę. Mężczyzna zatrzymał się dosłownie metr od niej. Włosy miał równie czarne jak ona, może nawet czarniejsze. Jak sadza, bez żadnych kasztanowych refleksów, bez śladu siwizny. Krótko ostrzyżone. Nie w stylu wojskowym na półcentymetrowego jeża, ale zdecydowanie krótko. Szczupła umięśniona sylwetka, zielone spodnie w kamuflażowy deseń, opinająca tors koszula w kolorze khaki - wszystko składało się na obraz groźnego wojownika.

Zacisnąwszy usta, wciągnęła nosem powietrze i wyprostowała plecy. Uprzedzono ją, że Tyler Murdoch jest człowiekiem trudnym we współpracy - jego groźna mina zdawała się to potwierdzać - ona jednak nie zamierzała zrezygnować z wyprawy do Mezcai.

Wysunęła na powitanie dłoń.

- Panie Murdoch...

Jego oczy, ciemne niczym kawa, którą w dzieciństwie *abuella* parzyła jej na śniadanie, spoczęły obojętnie na wyciągniętej dłoni.

- Nikt mnie nie poinformował, że M. Rodriguez to kobieta.

Dobrze to nie wróży, pomyślała. Z drugiej strony mogło być o wiele gorzej.

- Marisa Rodriguez - przedstawiła się.

O ile on mówił z typowym teksaskim akcentem, w jej głosie - mimo że w Stanach mieszkała od lat, a Gerald zmuszał ją, by chodziła na lekcje dykcji - wciąż pobrzmiwał lekki akcent południowoamerykański.

Po chwili opuściła rękę i wyjęła z teczki podłużną kopertę.

- Proszę. To list od byłego ambasadora...

Wziął kopertę i nawet nie zaglądając, co jest w środku, schował ją do kieszeni.

- Ma pani jakieś inne dokumenty?

- Tak.

Tym razem z zamykanej na suwak przegródki wyjęła portfel. Myślała, że Tyler Murdoch zerknie na prawo jazdy, on jednak chwycił cały portfel i zaczął go opróżniać.

- Co pan robi? - zdumiała się.

Kilka sekund później oddał jej portfel, wyciągnąwszy z niego prawo jazdy, legitymację ubezpieczeniową oraz wszystko, na czym widniały jej dane.

- To, co do mnie należy - burknął i wyminąwszy ją, wszedł do budynku.

Udała się za nim do pograżonego w półmroku pomieszczenia.

- Nie chce pan sprawdzić mojej tożsamości? Nawet pan nie przeczytał listu ambasadora Torresa.

Obrócił się wolno i zmierzył ją od stóp do głów. Ciarki przebiegły jej po krzyżu.

- Gdyby nie nazywała się pani M. Rodriguez, to

nie przyjechałaby pani na to paskudne odludzie. A gdzie kierowca, który tu panią przywiózł?

- Wrócił do miasta - odparła, chociaż podejrzywała, że zna odpowiedź.

Przeszedł do biura mieszczącego się w głębi budynku.

- Nie bała się pani zostać tu sama? Z dała od cywilizacji?

Znikł jej z pola widzenia.

- Przecież nie jestem sama. - Na wszelki wypadek podniosła głos. - Wiedziałam, że pan tu będzie.

Starła się ukryć niepokój, który narastał w niej z minuty na minutę od chwili, kiedy wysiadła z samochodu, a kierowca odjechał z piskiem opon. Bała się, że Tyler Murdoch uzna niepokój za oznakę słabości, ona zaś już dawno przekonała się, że nie wolno ujawniać swych słabości, zwłaszcza kiedy przebywa się w towarzystwie wysokich, groźnie wyglądających mężczyzn. Taki między innymi wniosek wyciągnęła po trwającym niemal rok związku z Geraldem.

Tyler Murdoch wyłonił się z biura. Nawet nie racząc jej spojrzeniem, skierował się do drzwi.

- Skąd ma pani pewność, że z mojej strony nic jej nie zagraża?

Wytrzeszczyła oczy i zamrugwała nerwowo powiekami. Kierowca powiedział jej, że mężczyzna stojący przy samolocie to ten, z którym ma się spotkać. Chyba nikt by...

- Panie Murdoch, ja...

- Odlatuję za pięć minut - przerwał jej w pół słowa. - Jeśli chce pani zrezygnować, proszę bardzo. Cze-

ka nas kilkugodzinna podróż. Ani w samolocie, ani tam na miejscu luksusów pani nie uświadczy.

Uniosła dumnie głowę.

- Zapomina pan, panie Murdoch, że urodziłam się w Mezcai - rzekła, a w myślach dodała: i całe życie marzyłam o tym, żeby się stamtąd wyrwać.

Po jego srogiej twarzy przemknął cięń uśmiechu.

- Nigdy niczego nie zapominam, kotku.

Zabrzmiało to jak wyzwanie.

Poczuła, że wzbiera w niej gniew, szybko się jednak opanowała. Nie może sobie pozwolić na irytację; ta podróż jest dla niej ogromnie ważna.

- Ja też nie, panie Murdoch - oznajmiła chłodno.

Przyjrzał się jej uważnie: miała idealnie owalną twarz, której gładką, złocistą cerę podkreślały wystające spod chustki kruczoczarne włosy. Nawet w półmroku lśniły niczym onyks. M. Rodriguez kogoś mu przypominała, ale za skarby świata nie mógł sobie przypomnieć kogo.

Była niewątpliwie atrakcyjną kobietą, ale to błysk w jej migdałowych oczach wzbudził jego zainteresowanie. Zainteresowanie, które zdusił w załączku. Jest na służbie; musi myśleć wyłącznie o czekającym go zadaniu. Towarzystwo M. Rodriguez zostało mu narzucone; wcale o nie nie prosił.

- Cztery minuty - oznajmił, wychodząc na dwór.

- Moja walizka stoi na rogu! - zawołała za nim.

- Niech ją pani przyniesie.

Skierowawszy się do samolotu, usłyszał, jak M. Rodriguez obrzuca go paroma dosadnymi epitetami.

Uśmiechnął się. Gorsze wyzwiska padały pod jego adresem.

Wyładował na tym opustoszałym lotnisku w Gwatemali niecałe dwie godziny temu, mimo to obszedł dokładnie samolot, po czym jeszcze raz sprawdził zbiornik z paliwem. Jak każdy doświadczony pilot wiedział, że paliwomierze często podają niedokładne informacje, nawet w tak wspaniałych maszynach jak jego pilatus. Zadowolony, że wszystko jest w porządku, rozejrzał się wkoło. Boże, pomyślał, kręcąc z rezygnacją głową; jak to możliwe, że tak krzywy kawałek asfaltu, pełen wybojów i dziur, uchodzi w tych stronach za pas startowy?

Zajął miejsce w fotelu pilota i patrzył, jak Marisa taszczy wielką, ciężką walizkę. Ledwo zipała. Zastanawiał się, co ona do niej zapakowała. Szampony, odżywki, szczotki, makijaż, wszystko, czego używała na co dzień w Stanach, a co było kompletnie bezużyteczne tam, dokąd się wybierają.

Wciąż burcząc gniewnie pod nosem, uniosła walizkę i wstawiła ją do środka. Po chwili sama weszła. Wprawdzie Tyler nie był poligłotą, domyślił się jednak, że dziewczyna przeklina po hiszpańsku wszystkich Murdochów. Chociaż sama o tym nie wiedziała, miała rację, wyzywając ich od gnid i kanalii. Ubawiony, obejrzał się przez ramię.

Za kabiną pilota znajdowały się cztery fotele dla pasażerów; reszta miejsca była wykorzystana do przewozu bagażu, a tego Tyler miał sporo. Marisa usadowiła się wygodnie w dużym, skórzanym fotelu. Zo-

rientowawszy się, że Tyler się jej przygląda, oblała się rumieńcem.

- Ładny samolocik. Bardziej przestronny, niż sądziłam - przyznała.

- Mam nadzieję, że handlarze narkotyków latają podobnymi - mruknął.

Może maszyna była przestronna, ale i tak musiał się schylać, by nie wyrznąć w nic głową. Wcześniej zamknął właz bagażowy, teraz zatrzaskał drzwi pasażerskie.

- Chce pan, żebyśmy udawali handlarzy?

Z szeroko otwartymi oczami wyglądała znacznie młodziej niż na dwadzieścia pięć lat, które według jej prawa jazdy niedawno skończyła.

- Niekoniecznie - odparł, przypinając się pasem do fotela. - Po prostu chcę, żebyśmy nie rzucali się w oczy.

Po chwili włączył silnik.

- Innymi słowy, lepiej żeby nas wzięto za handlarzy narkotyków, niż zaczęto podejrzewać o Bóg wie co? - Mówiła podniesionym głosem, usiłując przekrzywić warkot silnika.

Tyler wzruszył ramionami. Cóż miał powiedzieć?

- To Mezcaya.

To małe państewko w Ameryce Środkowej znajdowało się na skraju wojny domowej: po jednej stronie stała terrorystyczna organizacja znana pod nazwą El Jefe, po drugiej zbuntowani tubylcy, którzy nie uznawali władzy ani El Jefe, ani nieudolnych rządów swych przywódców. On, Tyler Murdoch, wolał być wzięty za przemytnika czy handlarza niż szpiega.

Właśnie dlatego postanowił lecieć własnym samolotem i nie korzystać ze sprzętu wojskowego. Włożył na głowę słuchawki i przygotował maszynę do startu.

Marisa z trudem przełknęła ślinę. Miała nadzieję, że uda im się bezpiecznie dotrzeć na miejsce.

Mezcaya. Tam się urodziła, tam dorastała. Jakie czeka ją powitanie? Przestań. Nie myśl o tym, nakazała sobie w duchu.

Samolot, podskakując na wybojach, nabierał szybkości. Straszliwe trzęsło. Marisa pochyliła się, wsunęła teczkę głębiej pod siedzenie, po czym oparła się wygodnie i zamknęła oczy. Nigdy nie przepadała za lataniem, ale chcąc nie chcąc, musiała przywyknąć do tej formy podróżowania. Zmusiła ją do tego najpierw praca w ambasadzie, a potem życie z Geraldem.

Ale samolot, którym teraz leciała, mimo że ładny i wygodny, był jednak sporo mniejszy od odrzutowców, którymi zwykła podróżować, toteż gdy wzbił się w powietrze, wciskając ją głębiej w fotel, odruchowo chwyciła się poręczy.

Dziesiątki pytań cisnęły jej się do głowy, ale przez wąskie drzwi prowadzące do kokpitu widziała, że Tyler wciąż ma na uszach słuchawki. Zresztą nawet gdyby je zdjął, pewnie i tak nie byłby skory do udzielania jej wyjaśnień.

Jego zachowanie na lotnisku nie pozostawiało żadnych wątpliwości: nie życzył sobie, aby ona, Marisa, towarzyszyła mu do Mezcai. Nie była jedynie pewna, skąd się bierze jego niechęć: czy przypadkiem nie z plotek, które słyszał na jej temat? Wiedziała, że Mur-

doch należy do specjalnej jednostki w wojsku amerykańskim. Tę ciekawostkę plus kilka innych informacji zdradził jej ambasador Torres. Było mało prawdopodobne, choć oczywiście nie mogła tego wykluczyć, że znał Geralda i że Gerald opowiadał mu o niej okropne historie.

Chociaż od ich rozstania minęły cztery lata, na samo wspomnienie kłamstw narzeczonego ogarniała ją wściekłość. Twierdził, że ją kocha, lecz całkiem świadomie zniszczył jej życie. Życie, karierę, rodzinę...

Przestań o tym myśleć! To zdanie było jak mantra, którą powtarzała kilka razy dziennie.

Samolot osiągnął pożądaną wysokość, ciśnienie się wyrównało, w uszach przestało szumieć. Schyliwszy się, Marisa wyciągnęła spod fotela teczkę i wyjęła z niej skoroszyt. Odkąd porzuciła służbę dyplomatyczną, współpracowała z kilkoma niskonakładowymi wydawnictwami prasowymi. Właśnie tłumaczyła z angielskiego na włoski artykuł o skutkach używania gier komputerowych przez graczy cierpiących na krótkowzroczność.

Nie była w stanie się skupić. Dwie godziny później znajdowała się mniej więcej w tym samym miejscu. Co chwila jej oczy wędrowały w prawo, w stronę owalnego okienka przy pustym siedzeniu. Wzdychając głośno, schowała artykuł do teczki, po czym odpięła pas i przesiadła się bliżej okna.

Zobaczyła w dole bujną roślinność w kolorze soczystej zieleni, ale... dlaczego wszystko jest tak blisko? Zaskoczona, odwróciła się od okna i spojrzała w kie-

runku kokpitu. Chyba nie powinni lecieć tak nisko nad ziemią? Aż dziw, że nie ocierają się o korony drzew!

Poczuła, jak narasta w niej znajomy strach przed lataniem. Podchodził do gardła, ścisnął za serce. Starając się go zignorować, opuściła fotel i przeszła pośpiesznie na przód samolotu.

Tyler wiedział, że weszła do kokpitu, zanim jeszcze zdążyła cokolwiek powiedzieć. Ściągnął z głowy słuchawki, w których i tak nic nie słyszał poza trzaskami.

- Toaleta jest za tamtymi drzwiami.
- Co? Nie, ja wcale nie... - Przynęła się bliżej.
- Dlaczego lecimy tak nisko? Czy to nie jest niebezpieczne?

- Cała ta wyprawa jest niebezpieczna - uciał.

Nie chciał jej tutaj. Jak sama powiedziała: lecą nisko. Musi być skupiony na prowadzeniu samolotu, a nie myśleć o tym, że jeśli przesunie łokieć o pięć centymetrów, to otrze się o krawędzi ukryte pod żakietem. Żakiet wprawdzie jest zapięty na guziki, lecz nie skrywał wszystkiego; widać było kawałek obojczyka, gładką, złocistą szyję...

Jakieś głęboko zakorzenione poczucie przyzwoitości nie pozwoliło mu zakląć głośno.

- Albo pani tu siada, albo wraca na swój fotel i zapina pasy.

Miał świadomość, że zachowuje się jak nieznośny stary tetryk, ale się tym nie przejmował. Lepiej żeby zachowywał się jak tetryk niż jak podniecony samiec prężący się na widok kobiety, której obecność została mu narzucona.

Sądził, że Marisa potulnie wróci na miejsce, ona jednak zajęła fotel tuż obok. Kątem oka zauważył jej ponętne kształty, kiedy wygięła się w tył, szukając pasa. Po chwili siedziała zapięta, z rękami na kolanach.

- Proszę niczego nie ruszać.

- Do głowy by mi nie przyszło - odparła chłodno.

Wbił wzrok w czubki drzew widoczne przed nosem maszyny. Specjalnie leciał nisko, miał ku temu ważny powód, natomiast nie zamierzał się z niego tłumaczyć swojej pasażerce. Powziął stanowcze postanowienie, że jak tylko uwolni Westina, uda się na rozmowę do dowództwa Oddziału Alfa. Przecież znają jego zasadę, że nie współpracuje z kobietami. Niech ją więc respektują, do jasnej cholery!

Skupiony na przelatującym w dole gęstym lesie, przestał myśleć o swojej towarzyszce podróży i jej zaciśniętych dłoniach. Ta część Mezcai, leżąca przy granicy z Belize, była prawie niezamieszкана. Zależało mu, aby jeszcze raz przyjrzeć się jej z góry, a jednocześnie samemu nie pokazać się na żadnym radarze. Poprzedni lot zwiadowczy trwał zdecydowanie za krótko.

Oczywiście przed wyruszeniem w drogę studiował mapy; ba, znał je na pamięć. Ale co innego oglądanie terenu na papierze, a co innego w rzeczywistości. Chciał skorzystać z okazji, tym bardziej że za kilka minut, tuż po przekroczeniu granicy Belize, mieli zmienić samolot na inny, mniej rzucający się w oczy środek transportu.

Zdusił ziewnięcie.

- Urodziłaś się w Mezcai? - spytał, odruchowo przechodząc na „ty”.

- Tak - odparła, wpatrując się przed siebie.

Zamyślił się. Pracowała w służbie dyplomatycznej. Przypuszczalnie jest rozpieszczoną córeczką jakiegoś miejscowego notabla. Nic dziwnego, że wygląda jak Miss Universum.

- Ile znasz języków?

- Trzynaście.

Tak, z całą pewnością pochodzi z jednej z nielicznych w Mezcai uprzywilejowanych rodzin. Większość miejscowych dzieciaków kończy edukację na szkole podstawowej. Rodzice nie posyłają synów na studia, nie mówiąc już o córkach.

- Podziwiam.

Obróciła głowę; w jej oczach zobaczył sceptyczny błysk.

- Ciekawe, dlaczego ci nie wierzę?

- Nie mam zwyczaju prawić czczych komplementów.

- Może - rzekła, nie zmieniając wyrazu twarzy - powinniśmy omówić czekające nas zadanie.

- Nie powiedziano ci, o co chodzi? - spytał. Jeżeli nie jest wprowadzona w szczegóły, postara się coś wymyślić, aby nie towarzyszyła mu na teren obozu.

- Owszem. Że mamy podjąć próbę uwolnienia amerykańskiego oficera o nazwisku Phillip Westin.

- Źle cię poinformowano - stwierdził sucho Tyler.

- Nie będzie żadnej próby. Ja go uwolnię i już.

- Jest w rękach El Jefe.

- To mnie nie powstrzyma.
- Nas. Nas nie powstrzyma.

Nie odpowiedział.

- Inni ponieśli porażkę - zauważyła.
- Ja... my nie poniesiemy.
- Skąd masz tę pewność?
- Stał, że dotrzemy tam inną drogą. Nie będą nas podejrzewać.

Poprzednią próbę podjął jego przyjaciel Luke Callaghan. Teraz, ciężko ranny, leżał w szpitalu w Teksasie. Tyler nadal nie mógł uwierzyć, że Luke nie był bogatym playboyem, za którego go wszyscy brali. A jednak to prawda; należał do tajnej cywilnej agencji, która specjalizowała się w akcjach podobnych do tych, jakimi zajmował się Oddział Alfa. Podczas ratowania Westina Luke stracił wzrok. Jego misja zakończyła się niepowodzeniem, ponieważ plan, który przygotował, zbyt łatwo było przejrzeć.

- Inną drogą... To znaczy odegramy rolę służących, tak?

Samolot wzbił się w górę, po czym skręcił nad dolinę otoczoną z dwóch stron stromymi górami. W dole wiała się rzeka, połyskując niczym naszyjnik z brylantów. Już nie ocierali się o wierzchołki drzew. Widok zapierał dech. Aż trudno było uwierzyć, że w tak pięknej krainie może się dziać jakiegokolwiek zło.

- Tak. Bezrobotnego małżeństwa szukającego pracy.
- Małżeństwa? - zdumiała się. - Dlaczego?
- Bo jesteś kobietą.
- Co tobie najwyraźniej nie odpowiada.

- Gdyby M. Rodriguez okazał się mężczyzną, udawalibyśmy braci.

- Z których jeden nie zna miejscowego języka? Nawet nie mówi dobrze po hiszpańsku?

To prawda, pod tym względem był antytalentem; nie potrafił idealnie opanować żadnego obcego języka. Kiedyś mu to przeszkadzało, potem pogodził się z tym faktem. Ludzie mają różne zdolności. Jedni potrafią odmieniać rzeczowniki, inni wysadzać mosty. On należał do tych drugich. Mimo to zirytowała go uwaga Marisy.

- Nie muszę mleć ozorem - oznajmił chłodno. - Po to mi ciebie przydzielono.

- W porządku. Skoro nie mogę być twoim bratem, będę siostrą.

- Żoną.

Wypowiedział to słowo normalnym tonem, ona jednak miała wrażenie, jakby niosło się echem po kabinie, zagłuszając szum wiatru i warkot silnika.

Zobaczył nagle, że Marisa sztywnieje. Zupełnie jakby przerażała ją myśl bycia czyjąś żoną.

- A jeśli się nie zgodzę?

- Wtedy po wylądowaniu w Belize po prostu się rozstaniemy.

- Beze mnie nie przeprawisz się przez granicę i nie dostaniesz do obozu El Jefe.

- Nie bądź taka pewna.

Z nią czy bez niej zamierzał dotrzeć do słynnej Fortaleza de la Fortuna, odnaleźć grootę, o której mówił Luke, i uwolnić Westina. Zrobi to, choćby miał wysadzić cały obóz w powietrze. To go korciło. Uważał, że świat byłby

lepszym i bezpieczniejszym miejscem bez organizacji terrorystycznych. Kłopot w tym, że otrzymał wyraźne polecenie, aby działać ostrożnie i nie wywoływać żadnych zatargów międzynarodowych. Musiał zatem się kontrolować, polegać na sprycie, przebiegłości i szczęściu, a co najważniejsze, zdążyć w wyznaczonym czasie, zanim do akcji przystąpią Brytyjczycy.

- Pod rządami El Jefe znajdują się ogromne tereny.
- Nigdy bym nie zgadł - burknął.

Z ust kobiety wypłynął potok słów, z których nie rozumiał ani jednego.

- Przetłumacz, z łaski swojej.

Uśmiechnęła się z wyższością. Miał ochotę wręczyć jej spadochron i wskazać drzwi.

- Powiedziałam, że nie mówiąc po mezcajsku lub nie będąc blisko związanym z kimś miejscowym, nigdy nie zdołasz przekroczyć bram La Fortuny. Od ludzi, którzy tam mieszkają, przywódcy El Jefe wymagają jednego: bezwzględnej lojalności. Reszta świata postrzega ich jako bandytów, ale większość Mezcajczyków widzi w nich zbawców. El Jefe karmi ich, ubiera, zapewnia byt ich dzieciom. La Fortuna to nie tylko doskonale strzeżony teren, to niemal państwo w państwie. Mezcajskiego nikt nie uczy w szkołach. Rząd uznał hiszpański za nasz oficjalny język, przypuszczalnie chcąc w ten sposób osłabić wpływy mafii. Bo tylko dzięki El Jefe mezcajski wciąż jest w użyciu, przekazywany z pokolenia na pokolenie, z ojca na syna. Posługują się nim wyłącznie tubylcy, a to znaczy, że potrzebujesz mnie, aby się dostać do środka.

Wszystko to prawda, pomyślał, ale pominęła jeden istotny szczegół. Chociaż wcale nie prosił o to, by mu towarzyszyła, czuł się odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo. Najważniejszy jest Westin i jego uwolnienie, nie zamierzał jednak narażać życia i zdrowia Marisy.

- Albo udajemy małżeństwo, albo odwołujemy całą akcję. Dla twojego dobra.

Zmarszczyła w zamyśleniu czoło.

- Wiesz, o czym mówię, prawda?

Odwróciła wzrok.

- Tak, słyszałam plotki.

- Mężczyźni z organizacji nie uznają żadnych świętości, lecz nie wiedzieć czemu darzą niezwykłym szacunkiem zakonnice i mężatki. Inne kobiety traktowane są jak towar. Jeżeli któraś przypadnie do gustu oficerowi, bez pytania bierze ją za żonę lub kochankę. Jeżeli się nią znudzi, sprzedaje ją temu, kto oferuje najwięcej. Kobieta nie ma nic do gadania.

- To plotki.

- Chcesz się o tym przekonać na własnej skórze? Nie bądź niemądra, Mariso. Przecież wiesz, że te głodne wilczki będą się ślinić na twój widok. Obowiązuje ich ścisła hierarchia. Pierwszeństwo mają oficerowie, przywódcy El Jefe. Pamiętasz, co się stało parę lat temu z tą brytyjską dziennikarką? Zdołała przedostać się na teren obozu; nikt się nawet nie zorientował, jaki wykonuje zawód. A potem...

- Przestań. - Nie chciała, by kontynuował; było to dla niej zbyt bolesne.

Tyler, tak jak inni żyjący w wolnym świecie, pewnie

czytał o całej sprawie w gazecie. Przez kilka dni temat dziennikarki nie schodził z łamów prasy. Kobieta została brutalnie zgwałcona, po czym porzucona daleko za obozem. Ktoś ją przypadkiem odnalazł. Dopiero kiedy trafiła do szpitala w Meksyku, podała do wiadomości to, co się wydarzyło.

Dziennikarze szczegółowo opisywali jej przeżycia z okresu poprzedzającego pobyt w szpitalu; nikt nie napisał, co się później z tą kobietą stało. A stało się to, że popełniła samobójstwo; nie potrafiła zapomnieć o tamtym wydarzeniu. Osierociła dziecko, pozostawiła też pograżonego w rozpacz kochanka.

Marisa poczuła bolesny ucisk w dołku. Nie, nie może pozwolić, aby strach powstrzymał ją przed działaniem. Zamierza osiągnąć cel. Z kilku powodów.

- W porządku. To będę zakonnica.
- Żaden facet w to nie uwierzy.
- Dlaczego? - oburzyła się. - Czyżbym zachowywała się jak... jak zaprzysięgła poganka?

Powiódł po niej wzrokiem. Zarumieniła się od stóp do głów. Szlag by go trafił! Nie podoba jej się Tyler Murdoch i jego zachowanie. Jakim prawem tak na nią patrzy? Jakim prawem jej rozkazuje? Stanowczy ton, jakim oznajmił, że będzie jego żoną, natychmiast skojarzył się jej z tonem Geralda.

- Poradzę sobie z rolą zakonnicy. Przynajmniej przez jakiś czas. Wychowywałam się w katolickiej rodzinie, więc...

- Wykluczone.
- Dlaczego?

- Bo ja nie dałbym rady wcielić się w księdza. A jaki inny mielibyśmy powód, żeby razem podróżować?

- Och, na pewno dałbyś radę. Przecież to kwestia kilku dni. Moglibyśmy powiedzieć, że masz nadwerżone struny głosowe i nie wolno ci odprawiać nabożeństw ani nic takiego.

- Raczej oczy musiałbym mieć zakryte, żeby nikt nie widział, jak na ciebie łypię.

Rumieniec ponownie zabarwił jej twarz.

- Poza tym - ciągnął Tyler, chcąc jak najszybciej zmienić temat - czego ksiądz z zakonnicą szukaliby na terenie należącym do El Jefe? Co innego zwykli wieśniacy. W fortecy la Fortuna stale potrzebują rąk do pracy.

Zapadła ciężka cisza. Tyler pierwszy ją przerwał.

- Proszę cię, Mariso...

Przyjazny ton natychmiast wzbudził jej nieufność.

- Nie upieraj się. Nie wiem, dlaczego zgłosiłaś się do tej misji, ale twoje powody na pewno nie są tak ważne...

- Dla mnie są niezwykle ważne - przerwała mu.

- A ty? Dlaczego tak bardzo zależy ci na uwolnieniu tego faceta?

- Jestem mu to winien. Kiedyś sam byłem zakładnikiem. Gdyby nie pułkownik Westin, który skoczyłby w ogień za swoimi żołnierzami, ja i moi kumple już dawno byśmy przenieśli się na tamten świat. Chciałbym mu się teraz odwdziaczyć.

Nie takiej oczekiwała odpowiedzi. Otworzyła usta, ale po chwili je zamknęła. Tyler jeszcze nie skończył.

- Wolałbym jednak uwolnić go i sam przy tym nie zginąć. A to oznacza jedno: że nie wolno ci nic robić bez mojej zgody. Jasne? Nie obchodzi mnie, z jakiej pochodzisz rodziny i dlaczego uparłaś się, żeby mi towarzyszyć. Do dwóch osób w Mezcai mam zaufanie. Jedną z nich jest człowiek, którego El Jefe przetrzymuje od miesięcy. Więc byłbym rad, gdybyś zechciała spełniać moje polecenia. Wtedy, i tylko wtedy, mamy szansę wykonać zadanie i ująć z życiem.

- A ta druga osoba, której ufasz? - spytała Marisa, choć wcale nie była pewna, czy chce znać odpowiedź.

Nie patrzył na nią; spoglądał w bok przez szybę.

- Nie jesteś nią ty.

ROZDZIAŁ DRUGI

No dobrze. Przynajmniej wie, na czym stoi.

Tyler Murdoch jej nie ufa. Ona jemu też nie do końca, więc są kwita.

- Masz z sobą inne ubranie?

Niespodziewana zmiana tematu zaskoczyła ją. Zerknęła na swój bawełniany zakiet i spodnie. Kosztowały bająco drogo, ale był to konieczny wydatek, jeżeli chce wrócić do życia, jakie dawniej wiodła. Jako przedstawicielka ambasadora Torresa nie może pojawić się w sukience z poliestru, którą nosiła w restauracji.

Nie ponaglał jej z odpowiedzią, jednakże wyczuwała jego zniecierpliwienie.

- Oczywiście, że tak.

- Coś, w czym będziesz wyglądała jak miejscowa wieśniaczka? Jak ktoś, kto poszukuje pracy?

- Tak.

- Dzięki Bogu - mruknął.

Naprawdę drażni ją ten facet.

- W tym, co masz na sobie, ciebie też nikt nie weźmie za tubylca, który poszukuje pracy - zauważyła kwaśno, a w duchu dodała: wyglądasz jak jednoosobowy oddział wojska, który wykonuje wyłącznie własne rozkazy.

Jeżeli uraził go jej ironiczny ton, nie dał tego po sobie poznać.

- Po wylądowaniu oboje się przebierzemy - rzekł.

Nagle zorientowała się, że ciągle przygryza zębami wargę. Jak tak dalej pójdzie, pomyślała, wkrótce popłynię mi z ust krew. Przestała się nad sobą znęcać. Nie chciała udawać żony Murdocha, ale dla dobra sprawy gotowa była się poświęcić.

- To znaczy kiedy?

- Niedługo.

Zacisnęła pięści.

- Uważam, że byłoby znacznie lepiej, gdybyś mi zdradził szczegóły swojego planu.

- Zdradzę ci tyle, ile uznam za stosowne. I wtedy, gdy to będzie konieczne.

Wypuściła z sykiem powietrze, po czym odpięła pas bezpieczeństwa.

- A dokąd to?

- Na tył, do części bagażowej. Panuje tam bardziej przyjazna atmosfera.

Obróciwszy się na pięcie, z furią opuściła kokpit. Jej wściekłość była niemal fizycznie wyczuwalna.

Wychodząc, niechcący otarła się udem o jego przedramię. Przeszył go dreszcz, i obejrzał się za siebie. Uznał, że zachowuje się jak skończony dureń. Ale co miał robić? Marisa Rodriguez jest piękna, niezwykle seksowna. Psiakrew, wcale nie chce być od niej zależny. Nie ufa jej, mimo to musi na niej polegać. Szlag by trafił El Jefe!

Rzucił okiem na tablicę przyrządów pomiarowo-kontrolnych, po czym ponownie zerknął za siebie.

Siedziała z pochyloną głową, walcząc z pasem, którego zapięcie naprawdę nie powinno stanowić problemu. Jeden długi czarny kosmyk wysunął się jej z koka i zwisał luźno na policzku. Zirytowana, odgarnęła go za ucho i w tym momencie napotkała wzrok Tylera. Spuściła oczy, ale nie dość szybko.

Wydawało mu się, że dawno uodpornił się na kobiece łzy. Sonya potrafiła rozplakać się na zawołanie.

Do diabła. Czasem sumienie tylko człowiekowi przeszkadza.

- Masz rodzeństwo?

- Bo co? - Natychmiast nabrała podejrzeń.

- Bo nic. Pytam z ciekawości. - Odwróciwszy się, sprawdził urządzenia kontrolne.

Przez chwilę panowała cisza.

- Mam szesnastoletnią siostrę - odparła. - I...

Ponownie zaległa cisza. Tyler nadstawił uszu.

- I trzech braci - dokończyła.

Zauważył, że przynajmniej znikły łzy.

- A ty? - spytała.

- Jestem jedyny w swoim rodzaju. - Prawdę mówiąc, nie wiedział, czy facet, który zapłodnił jego matkę, nie zapłodnił również tuzina innych kobiet, albo w ogóle nigdy w życiu go nie spotkał.

- Czyżby? - W jej głosie pobrzmiwała drwina. - Ileż by świat zyskał, gdyby było więcej takich...

Samolotem zatrzęsło; maszyna zaczęła tracić wysokość. Tyler uniósł głowę w porę, by zobaczyć, jak z przodu kadłuba odrywa się kawałek osłony. Na widok uszkodzonego samolotu ogarnęła go wściekłość.

Zacisnął mocniej dłoń na drążku sterowym, usiłując zapanować nad maszyną.

- No, maleńka - szepnął. - Bądź grzeczna, nie wytnij mi głupiego numeru... Mariso! Przesiądź się tu.

Nie musiał jej dwa razy powtarzać. Błyskawicznie zajęła miejsce koło pilota i pośpiesznie zapięła pas.

- Wyjmij lornetkę - polecił.

Sięgnęła do skórzanego pokrowca.

- Czego mam szukać?

- Czegokolwiek...

Nie było to łatwe, ale dzięki doświadczeniu i umiejętnościom zdołał powstrzymać spadek, zmienić kurs, a nawet wznieść się nieco w górę. Cały czas kontrolując pomiary, wyrżał przez boczne okno.

- Pewnie ma ciężarówkę. Może dzipa.

- Kto?

- Ten, kto do nas strzelał.

- Co takiego? - Z trudem przełknęła ślinę. Przykładając do oczu małą wojskową lornetkę, popatrzyła w dół. - *Dios!* Same drzewa!

Przynajmniej nie wpadła w panikę, nie wrzeszczy, nie płacze. No właśnie. Ciekawe dlaczego?

Chwycił ją za łokieć i obrócił twarzą do siebie. Lornetka wypadła jej z rąk, odbiła się z brzękiem o tablicę rozdzielczą, po czym wylądowała na podłodze.

Marisa popatrzyła na niego jak na wariata.

- O co chodzi?

- Z kim rozmawiałaś?

- Słucham?

- Nie udawaj niewiniątka. Mów.

Nagle doznała olśnienia. Zacisnęła dłonie w pięści, żeby z wściekłości nie wydrapać mu oczu. Aż sama zdumiała się, jak bardzo ją to korciło.

- Myślisz, że miałam z tym coś wspólnego? - Szarpnęła rękę, chcąc się oswobodzić. Zyskała tyle, że mocniej zacisnął palce na jej przedramieniu. - Puść mnie, do jasnej cholery!

- Przyznaj się, Mariso. Skąd tak dużo wiesz o la Fortunie? Może jesteś jedną z ich dziwek, a ja o niczym nie wiem, co? Wierz mi, nie warto ich chronić. Oni cię poświęcą, byleby tylko nie dopuścić mnie do Westina.

Jego słowa podziały na nią jak płachta na byka. Gerald też nazwał ją dziwką. Jakim prawem...

- Jesteś podły!

Ponownie szarpnęła. Tym razem udało jej się uwolnić, choć właściwie Tyler sam zwolnił uścisk; potrzebował obu rąk do prowadzenia maszyny, do której znów zaczął czule przemawiać.

- No, maleńka, bądź grzeczna...

Samolotem trzęsło i targało. I raptem nastała cisza.

Groźnie wyglądające śmigło obracało się coraz wolniej, coraz leniwiej, niczym dziecięcy wiatrak wprawiany w ruch podmuchami wiatru.

Marisa bała się odezwać. Serce jej waliło, krew dudniła w skroniach. Słyszała oddech Tylera.

Wpatrywała się w śmigło, jakby siłą woli chciała wprawić je w ruch. Myślami nakazywała mu, aby zaczęło się obracać. Żeby wirowało szybko, stając się niewidoczne dla oka. Marzyła o tym, aby w kabinie znów

rozległ się ogłuszający ryk silnika, który jeszcze kilka minut temu tak bardzo ją drażnił. Wszystko na nic.

Przełknęła ślinę, bojąc się spojrzeć na Tylera. Wiedziała, że wyraz jego twarzy potwierdzi jej najgorsze obawy. Nagle uzmysłowiła sobie, że wcale nie jest tak cicho, jak jej się wydawało. I wtedy odważyła się zerknąć w bok.

Samolot ciął powietrze siłą rozpędu, niczym kula wystrzelona z katapulty. Za oknem ryczał wiatr, a Tyler z grobową miną ścisnął ster, nad którym nie miał żadnej kontroli.

Ponownie spojrzała na nos maszyny. Na widok zniszczenia zrobiło się jej słabo.

- Rozbijemy się - powiedziała cicho.

Tym przyjazdem do Mezcai chciała jedynie naprawić błędy, pomóc bratu i rodzicom. Nikt nie jest idealny; każdy czasem robi jakiś błąd. Czy to ma być jej kara?

- Nie rozbijemy - oznajmił przez zaciśnięte zęby Tyler, jakby siłą woli mógł zapobiec katastrofie.

Przyjrzała mu się ponownie. Walczył z przyrządami, ze sterem, z samolotem. Widziała żyły na jego dłoniach, napięte ścięgna, strugi potu ciekące po twarzy.

- Ja nic nie zrobiłam. Z nikim nie rozmawiałam - szepnęła.

- Jeśli chcesz, to własnoręcznie dokończę to, czego nie udało się osiągnąć strzelcowi.

Wierzyła mu. Ten facet nie rzuca słów na wiatr.

Nie miał czasu zastanawiać się, czy Marisa mówi prawdę. Ale bez względu na to, czy była uprzedzona

o tym, co się wydarzy, czy nie, na jej bladej twarzy malowało się autentyczne przerażenie.

Na gwałt potrzebował płaskiego, nieporośniętego lasem kawałka ziemi, na którym mógłby wylądować. Czy ludzie z El Jefe jakoś zdołali ich wyśledzić? Czy też próby zestrzelenia samolotu podjął się jakiś wieśniak, jeden z tych, którzy za wszelką cenę chcą zachować w Mezcai dawne zwyczaje i tradycje?

Tracili wysokość. Zaraz po tym, jak wysiadło śmigło, Tyler zmienił kurs i zawrócił w stronę rzeki. Widział mającą w oddali wstęgę. Gdyby im się udało dolecieć jeszcze z kilometr...

- Uwaga! Będzie rzucało!

Szorowali kadłubem o wierzchołki drzew; gałęzie uderzały w okna, łamały się. Słychać było huk, trzask, świst. Raptem las się skończył. Tyler ledwo zdążył zasłonić rękami twarz, kiedy wpadli do rzeki.

Z gardła Marisy wydarł się przeraźliwy krzyk. W powietrze wzbiła się fontanna wody, zalewając maszynę. Jednocześnie kabinę wypełnił straszliwy zgrzyt metalu szorującego o kamieniste podłoże.

Przypięci pasami, Tyler z Marisą podskakiwali w fotelach. Czuli się jak dwie szmaciane lalki, nad którymi znęca się jakiś rozjuszony potwór. Zerwały się liny przytrzymujące bagaże. Torby, pudła, skrzynie przewracały się, uderzały z hukiem o siebie i ściany.

I wtem zapadła cisza, ustał wszelki ruch. Maszyna już nie szurała brzuchem o dno; tkwiła w miejscu, pod ostrym kątem przechylona w bok.

Tyler, oszołomiony, potrząsnął głową. Patrząc

w okno, nagle zorientował się, że z jego strony poziom wody powoli wzrasta. Odpiąwszy pas, przysunął się do Marisy i delikatnie unióś jej brodę. Musiała w coś rąbnąć podczas tego gwałtownego lądowania, bo czoło miała zakrwawione. Na szczęście oddychała. A kiedy wymówił jej imię, w odpowiedzi poruszyła bezgłośnie ustami. Po chwili otworzyła oczy i przyjrzała mu się szklistym wzrokiem.

- Masz krew - wymamrotała.

Poczuł niewysłowioną ulgę, nie miał jednak czasu analizować swoich emocji.

- Ty też - rzekł i krzywiąc się z bólu, wstał. - Musimy się wydostać, zanim się potopimy.

Kopnął leżącą na środku przejścia teczkę Marisy i doszedł do drzwi pasażerskich. Zaklinowały się. Wiedział, że za żadne skarby świata nie zdoła ich otworzyć.

Nie tracąc cennych minut, zaczął przedzierać się przez rozrzucone po całym wnętrzu torby, walizki i pudła. Na szczęście drzwi bagażowe otworzyły się bez większego problemu. Do środka chlusnęła zimna woda.

Tyler zaklął siarczyście.

- Mariso!

Wyłoniła się z kokpitu.

- Co? - Wyglądała tak, jakby lada moment miała zemdleć.

- Weź brezentową torbę. Tę czarną. I cokolwiek zdołasz unieść z pudła, które pod nią stoi.

Zeskoczył do wody i szybko nadmuchał łódź ratunkową. Samolot osiadł na mieliźnie, co było jednocześnie szczęściem i przekleństwem. Szczęściem, bo mogli

wyść na suchy ląd, oporządzić się; przekleństwem, bo na skutek oporu, jaki stawiał piach, stracili skrzydło.

Marisa pojawiła się w drzwiach samolotu, objuczona jak wielbłąd. Tyler wziął od niej rzeczy i pomógł jej zejść na łacę.

- Świetnie. Zostań tu.

Skinęła głową. Wciąż sprawiała wrażenie odurzonej. Nie zdziwił się, kiedy kolana się pod nią ugięły. Wykazując się refleksem, chwycił ją, zanim wpadła do wzburzonej rzeki.

- O Jezu, przepraszam. - Przycisnęła rękę do czoła.
- Wszystko mi się kręci przed oczami.

Podsunał jej torbę pod plecy.

- Poleż chwilę. Tylko trzymaj to za pasek... o tak, żeby nurt nie porwał. Umiesz pływać?

Ponownie skinęła głową, mając nadzieję, że nie będzie musiała tego udowadniać. Kąpiel w zimnej wodzie była ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Poza tym każdy najmniejszy ruch powodował wirowanie przed oczami. Z całej siły wbiła palce w czarny brezent i podciągnęła nogi wyżej, żeby woda nie omywała jej stóp.

Samolot, którym lecieli, rozbił się.

Ale oni żyją. Nie zginęli.

Zamknęła oczy. Słyszała, jak Tyler krąży tam i z powrotem, wynosząc rzeczy z samolotu i układając je w łodzi.

Kilka minut później stanął nad nią i poprosił, by ona również zajęła miejsce w łodzi. Poruszyła się niezdarnie. Zniecierpliwiony, przerzucił ją przez gumową krawędź, po czym cisnął obok brezentową torbę.

Zaczęła dygotać. Z tego, co pamiętała, w lutym zazwyczaj bywała ładniejsza pogoda. Gdyby tylko mogła się ogrzać...

Wymacała za sobą czarną torbę i odnalazła palcami suwak. Na pewno Tyler zabrał z sobą jakieś cieplejsze ubranie.

- Co, u diabła, robisz? - spytał, wrywając jej torbę. Poleciałaby na nos, gdyby w porę jej nie przytrzymał. — Masz tego nie dotykać.

Cisnął torbę najdalej od niej, jak mógł. Zważywszy na rozmiary łodzi - niezbyt daleko.

Pohamowała łzy. Nie chciała płakać. Co innego w samotności.

- Zimno mi - szepnęła.

- Bo jesteś cała mokra. Ja też. Do tego doszedł szok... - Kręcąc z niezadowoleniem głową, wyciągnął z kieszeni coś, co wyglądało jak złożony w miniaturową kostkę kawałek srebrzystej folii. Trzymając folię za róg, potrząsnął nią. Folia przybrała rozmiary koca. Okrywając nim Marisę, popatrzył uważnie na jej czoło.
- Zaraz opatrzę ci ranę.

Wzruszona troską w jego głosie, nie zdołała powstrzymać łez. Ucieszyła się, kiedy wysiadł z łodzi i ponownie skierował się do samolotu. Pochyliła głowę i szybko otarła łzy. Mdłości ustępowały. Kiedy Tyler wrócił, czuła się już znacznie lepiej. Zepchnął łódź do rzeki; dopiero gdy woda sięgała mu do piersi, wskoczył do środka i włączył silnik. Cichy warkot podziałał na nią kojąco.

Spodziewała się, że popłyną w górę rzeki, jednakże

po kilkunastu metrach Tyler wyłączył silnik, pozwalając, aby unosił ich prąd. Ściskając coś w rękę, spoglądał przez ramię na mieliznę, na której rozbił się samolot.

- Zakryj uszy - polecił.

Odruchowo wykonała jego polecenie. A potem niemal zemdłała z przerażenia, kiedy Tyler skierował trzymane w dłoni urządzenie w stronę łachy i nacisnął przycisk. Powietrzem wstrząsnął huk.

Obejrzała się za siebie. Przód samolotu płonął.

A właśnie z przodu znajdowało się radio i wszystkie te nowoczesne przyrządy, na których się nie znała, a które mogły im się jeszcze przydać.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała zdziwiona. - Co będzie, jeśli nas nie znajdą?

- Kto?

Zęby dzwoniły jej z zimna.

- Ci, którzy przyjdą nam na ratunek!

Włączył silnik; oddalali się pośpiesznie od piaszczystej wyspy.

- Coś ci się pomyliło - zauważył cierpko. - Nam nikt nie przyjdzie na ratunek. To my przybyliśmy tu z misją ratunkową, tylko że nieprzewidziane okoliczności zmusiły nas do nieznacznej modyfikacji planów.

Podniosła głowę i popatrzyła w niebo. Miała wrażenie, że minęło kilka godzin, odkąd samolot zaczął tracić wysokość, ale wiedziała, że to nieprawda; wszystko razem trwało najwyżej kilkanaście minut.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego wysadziłeś maszynę w powietrze.

- A jak myślisz? Czy lepiej, aby ten, kto do nas

strzelał, zobaczył, że udało nam się przeżyć, czy żeby znalazł spalony wrak?

Wstrząsnął nią dreszcz grozy. Cholera, rzeczywiście nie przyszło jej do głowy, że strzelec może wcale jeszcze z nimi nie skończył, że może będzie próbował ich odszukać.

- Dlaczego ci z El Jefe tak bardzo nienawidzą Westina?

- Nie wiesz?

Odgarnęła włosy, które wysunęły się z koka.

- Jak mam cię przekonać, że nie jestem w zмовie z żadną organizacją terrorystyczną?! Że... - Umilkła, uświadomiwszy sobie, że wrzeszczy.

- Zastanowię się.

Potrząsnęła głową i skrzywiła się z bólu. Ale przynajmniej świat już nie wirował jej przed oczami. I folia, którą była owinięta, trochę ją ogrzała.

- W dawnych czasach pewnie byłbyś pierwszy do urządzania polowań na czarownice.

Z jakiegoś powodu rozbawiła go jej kąśliwa uwaga. Ku zdumieniu Marisy po jego wargach przebiegł cień uśmiechu.

Odwróciła wzrok.

Rzeka stawała się coraz węższa; tu, gdzie się teraz znajdowali, jej szerokość wynosiła pięć, może sześć metrów. Ze stromo wznoszących się brzegów sterczały dziwnie poskręcane korzenie; drzewa pochylały się nad wodą, niemal całkiem zasłaniając niebo.

Siedząc w łodzi otoczonej ze wszystkich stron bujną zielenią, Marisa miała wrażenie, jakby byli sami

na świecie - ona i ten mężczyzna, którego twarz pod wpływem uśmiechu potrafiła zmienić się prawie nie do poznania.

Mężczyzna, który jej nie ufa.

Gdy zasnęła, wystraszył się, czy podczas lądowania na mieliźnie nie doznała wstrząśnienia mózgu.

Chciał jak najszybciej oddalić się od miejsca wypadku. Dla ich bezpieczeństwa. Z drugiej strony... wyłączył silnik. Marisa nawet nie drgnęła. Przysunawszy do siebie czarną torbę, pociągnął za suwak. Wewnątrz było mnóstwo różnych pojemników, zarówno otwartych, jak i zamkniętych. Nie spuszczać oka z kobiety, sprawdził wszystkie po kolei. Gdy upewnił się, że żaden nie uległ zniszczeniu, wydobył z dna apteczkę, po czym zaciągnął z powrotem zamek.

Ukląkł przy śpiącej kobiecie i na moment zastygł bez ruchu, czekając, aż minie ból, który ścisnął go za żebra. Policzył w myślach do dziesięciu. Kiedy znów mógł nabrać w płuca powietrze, delikatnie odgarnął Marisie włosy z zakrwawionego czoła.

Lśniące czarne kosmyki, które wysunęły się z upiętego nad szyją koka, wiły się wokół jego palców, jakby je pieściły. W pierwszej chwili Tyler gwałtownie cofnął rękę, jakby zamiast pieszczoty poczuł ból, i znów policzył do dziesięciu. Potem przez kilka długich sekund nic nie robił; po prostu wpatrywał się w twarz Marisy, wymyślając sobie od idiotów.

Gęste długie rzęsy ocieniały jej policzki. Gdyby je przyczerniała, jak to mają w zwyczaju niektóre kobie-

ty, tusz dawno by się rozmazał. Na jej twarzy jednak nie było śladu ciemnych zacieków, a to znaczyło, że z takimi pięknymi, długimi rzęsami przyszła na świat.

Czoło Marisy powoli przybierało kolor fioletowo-siny, lecz na szczęście rana nie była głęboka. Podczas zderzenia, kiedy samolotem gwałtownie szarpnęło, Marisa musiała uderzyć w tablicę rozdzielczą. Przyglądając się jej uważnie, rozerwał opakowanie zawierające środek antyseptyczny. Czy naprawdę jest tak niewinna, jak na to wskazuje jej śpiąca twarz?

Przywołał w pamięci obraz Soni. Z początku miał tylko podejrzenia, że dopuściła się zdrady, ale później, kiedy już był w posiadaniu niezbitych dowodów winy, ona wciąż zaprzeczała i jak dziecko, które nie wie, co złego zrobiło, wytrzeszczała ze zdumienia te swoje wielkie niebieskie oczy.

Zgniół celofanowe opakowanie po antyseptyku i rzucił na stos rzeczy, które wyniósł z samolotu. Szlag by to trafił! Nie znosi pracować z babami.

Marisa drgnęła, a kiedy zaczął omywać ranę, wydała z siebie żałosny jęk. Nie zwracając na to uwagi, Tyler posmarował ranę maścią, po czym zakleił ją pląstrem. Ledwo skończył, dziewczyna otworzyła oczy.

Ucieszył się, bo spojrzenie miała przytomne; źrenice były jednakowej wielkości, w identyczny sposób kurczyły się i rozszerzały.

Podniósł rękę.

- Ile widzisz palców? - spytał.

- Oj, nieładnie - powiedziała, odsuwając sprzed twarzy jego rękę z samotnie sterczącym palcem środ-

kowym. -I całkiem bez wyobraźni - dodała, przykładając dłoń do czoła. - Myślałam, że zostawisz ranę tak jak jest, żeby wdało się zakażenie. Wtedy mógłbyś porzucić mnie w dżungli. Pozbyłbyś się balastu.

Usiadł na jedynej ławeczce, jaka była na łodzi.

- Za to ty cierpisz na nadmiar wyobraźni.

Powiodła po nim wzrokiem. Siedział lekko pochylony, w rozkroku, z łokciami wspartymi na kolanach, z luźno splecionymi dłońmi. Sprawiał wrażenie, jakby tu, na łodzi, w środku lasu tropikalnego, czuł się jak w domu. Właściwie czemu nie? Nic o nim nie wie. Należał do jakiejś specjalnej jednostki militarnej; może przedzieranie się rzeką do obozu wroga jest dla niego chlebem powszednim?

Nie tylko ona jest ranna; on też ma zadrapania, głównie na przedramionach. Klatkę piersiową pokrywa jakiś smar. Lewy rękaw koszuli zwisa naderwany. Bezpieczniej patrzeć na ręce niż na taki tors, pomyślała w duchu. Na prawym przedramieniu widniało z pięć draśnień; jedno, wyjątkowo długie i paskudne, wiło się wokół nadgarstka.

- Swoje rany również powinieneś oczyścić - zauważyła.

Oczywiście, jak przystało na prawdziwego macho, nie wykonał w tym kierunku najmniejszego kroku. Wznosząc oczy do nieba, Marisa podniosła apteczkę, która leżała koło jej nóg, i zajrzała do środka. Po chwili znalazła torebkę ze środkiem antyseptycznym.

Niewiele się namyślając, rozerwała ją i zdecydowanym ruchem przejechała wilgotnym gazikiem po krwa-

wej ranie wokół nadgarstka. Przekręciła rękę Tylera wierzchem do góry i to samo zrobiła z drugiej strony. Wiedziała, że rana musi go piec, ale niczego po sobie nie okazywał, nie skrzywił się, nie zasyczał, nie drgnął mu ani jeden mięsień.

Jak na tak potężnie zbudowanego mężczyznę, ręce miał wyjątkowo ładne. Spodziewała się wielkich łapsk, z krótkimi szerokimi paluchami. A tu nie. Zobaczyła zgrabne, umięśnione przedramiona, szczupłe nadgarstki, długie palce.

Nagle stanęła jej przed oczami uniesiona w gniewie, starannie wypielęgnowana ręka innego mężczyzny. Zaciśnęła powieki, starając się zepchnąć ten obraz w niepamięć. Paznokcie Tylera były krótko obcięte, dłonie szorstkie, pokryte odciskami, przyzwyczajone do pracy, do noszenia ciężkich przedmiotów. Gotowa była założyć się o milion dolarów, że Tyler Murdoch nigdy nie gościł w gabinecie manikiurzystki. Tyle że miliona nie miała.

Ni stąd, ni zowąd wcisnęła wilgotny gazik do ręki Tylera, a sama odsunęła się możliwie najdalej. Nie powinna go dotykać; to niezbyt mądry pomysł. Zresztą jak chce, niech sam sobie czyści rany.

Ubranie, które miała na sobie, już nie ociekało wodą, ale wciąż było wilgotne; nieprzyjemnie się w nim siedziało. Popatrzyła w bok na stos rzeczy, które Tyler zabrał z samolotu.

- Gdzie moja walizka?

Uniósł brwi.

- Jeśli była grzeczna, to pewnie poszła do nieba. Jeśli nie, to smaży się w piekle.

Dosłownie opadła jej szczęka. Natychmiast zapomniała o pięknych dłoniach Tylera i dreszczyku emocji, jakie wywoływała jego bliskość.

- Wszystko inne przeniosłeś... - Kopnęła gniewnie stos. Leżąc na wierzchu nylonowa torba zsunęła się na dno łodzi. - Tylko nie moją walizkę?

- O mój Boże. I co ty teraz zrobisz?

Miała ochotę go uderzyć. Tak bardzo ją korciło, że przysiadła na rękach, aby nie ulec pokusie.

- Nie miej takiej nieszczęśliwej miny - ciągnął jak gdyby nigdy nic. - Do roli biednej chłopki nie potrzebujesz kostiumików z nowojorskich sklepów ani szminek i pudrów.

Bawełniane koszulki i dzinsy dla siostry, zabawki dla dzieciaków. Książki dla ojca, kolorowe czasopisma dla mamy. Przedmioty, które specjalnie gromadziła na przyjazd do Mezcai, licząc na to, że namówi Franca, aby zawiózł je rodzinie. Nie myślała o tych drobiazgach w kategorii gałązki pokoju ani tym bardziej próby przekupstwa, choć może dzięki prezentom rodzice spojrzeliby na nią łaskawszym okiem; po prostu chciała sprawić bliskim przyjemność, obdarowując ich rzeczami, których na co dzień nie mieli. Rzeczami, które były niedostępne w Mezcai i na które jej rodziców nie było stać.

A teraz wszystko przepadło, bo Tyler nie raczył zabrać z samolotu walizki. Przypuszczalnie książki i pisma zniszczyła woda. To, czego woda nie zniszczyła, pochłonał ogień.

Cholera jasna!

Pod powiekami zapiekły ją łzy. Odwróciła głowę, żeby Tyler ich nie dostrzegł.

- Jeśli chcesz wiedzieć, żadna mezcajska chłopka nie pojawiłaby się w la Fortunie w podartym bawełnianym żakiecie i spodniach.

Jego strój od biedy mógłby być; aż tak bardzo nie różnił się od tego, co nosili miejscowi mężczyźni, ale ona wyraźnie odstawałaby od miejscowych kobiet.

- Jeszcze daleka droga do fortecy - rzekł. — Zdążymy ci coś kupić.

Co z tego, pomyślała, skoro nie zdoła odkupić rzeczy, które przepadły. Zwłaszcza że na prezenty dla rodziny wydała wszystkie swoje oszczędności, które i tak były dość skromne. Westchnąwszy ciężko, otarła ukradkiem łzy.

Trudno. Może zdoła znaleźć inny powód, aby Franco wrócił do domu; może zdoła przemówić mu do rozsądku, przekonać go, by się opamiętał. A sama... cóż, zacznie wszystko od początku. Niech tylko przyjmą ją z powrotem do pracy.

Właśnie o tym powinna stale pamiętać, na tym się koncentrować i nie przejmować błahostkami. Tak nieistotna sprawa jak katastrofa samolotu nie wpłynęła na zmianę planów Tylera. Należy wziąć z niego przykład.

- Trzymaj.

Na jej kolanach wylądowało białe zawiniątko. Okazało się, że jest to bawełniana koszulka.

- Nie chcę twojej koszulki. Chcę własną.

- A potępieńcy smażący się w piekle chcą łyka zimnej wody. Zrozum, księżniczko, nie masz własnej.

- Wiem. Bo nie chciało ci się przenieść mojej walizki. - Podniosła koszulkę z kolan. - Twoje ubranie też jest mokre.

- Co z tego?

Nic. Pan Macho to oczywiście twardziel, któremu nie przeszkadza przemoczone ubranie, a jej, księżniczce, która ma muchy w nosie, przeszkadza przysłowiowe ziarnko grochu.

- Odwróć się.

Wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

- Mam zmieniać pozycję na tej łódce wielkości łupiny orzecha? Nie wygłupiaj się. Zresztą... - zniżył głos - jesteśmy małżeństwem. Zapomniałaś?

Patrząc, jak smutek na jej twarzy ustępuje miejsca złości, Tyler zastanawiał się nad samym sobą i własnymi odczuciami. Jedno nie ulega wątpliwości: woli widzieć dziką furję w oczach Marisy niż bezbrzeżny smutek. Kiedy kipi z wściekłości, łatwiej mu jest pamiętać o tym, że nie ma do niej zaufania.

Gdyby spojrzenie mogło zabić, pomyślał Tyler, byłbym już trupem. Nawet gdyby chciał się odwrócić, w tym momencie rozsądniej było nie ryzykować. Podejrzewał, że skończyłoby się to dla niego kopniakiem i kąpielą w rzece.

Zacisnąwszy usta, podniosła rękę do złotego guzika pod szyją. Odpięła go i sięgnęła do następnego. Żakiet rozchylił się, odsłaniając jedwabiącą gładką skórę dekoltu oraz cienkie, lśniące ramiączko.

Na szyi nosiła delikatny złoty łańcuszek, na którym

wisiał malutki krzyżyk. Przysunęła palce do trzeciego guzika. Jej oczy ciskały błyskawice.

Był pewien, że to zrobi. Że rozepnie kolejny guzik.

Na moment zamarła bez ruchu.

- Świnia - warknęła.

Przyznał jej w duchu rację.

Obróciwszy się plecami, zdjęła zakiet, po czym szybko wciągnęła przez głowę podarowaną koszulkę. A raczej usiłowała ją wciągnąć. Koszulka zahaczyła się o upięte z tyłu głowy włosy i nie chciała przejść. Mruczając coś gniewnie pod nosem, przypuszczalnie jakieś przekleństwo, Marisa poddała się; odłożyła koszulkę na kolana i zaczęła wyciągać z koka szpilki.

Kolejne pasma opadały luźno na ramiona. Po chwili upięty kok zamienił się w burzę czarnych loków. Marisa ponownie chwyciła koszulkę. Tym razem udało się za pierwszym razem. Potrząsnęła głową, uwalniając włosy spod koszulki.

Odwróciła się twarzą do Tylera.

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolony - oznajmiła z butną miną i wyraźnym hiszpańskim akcentem.

- Bynajmniej, księżniczko. Ale kiedy będę, ty pierwsza to dostrzeżesz.

Posłała mu lodowate spojrzenie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Czy można oszaleć tylko dlatego, że godzinami płynie się łodzią mierzącą najwyżej metr na trzy metry, której niemal całą powierzchnię zajmuje potwornie irytujący facet o szerokich ramionach i długich nogach?

Marisa uważała, że można; sama była o krok od szaleństwa. Wydawało jej się, że podróż rzeką trwa już wiele godzin, choć obiektywnie rzecz biorąc, gdyby tyle trwała, byłby już środek nocy. Przynajmniej koszulka, którą miała na sobie, jest sucha. Szkoda, że nie może powiedzieć tego samego o spodniach, skarpetkach i butach.

Na szczęście włożyła na drogę sportowe skórzane pantofle na płaskim obcasie. Problem w tym, że nie mogła ich zdjąć - gdyby zdjęła je do wyschnięcia, pewnie by się skurczyły i potem w ogóle nie byłaby w stanie ich nosić.

Przeczesała palcami włosy. Na skutek wiatru były zupełnie splecione. Siedziała na przedzie łódki, twarzą do Tylera.

- Czy naprawdę... - zaczęła cichym głosem i odchrząknęła. Już kilka lat temu postanowiła sobie, że nie da się więcej zastraszyć jakimkolwiek facetowi. - Naprawdę sądzisz, że to ktoś z El Jefe do nas strzelał?

Łypnął na nią spod oka.

- Ty mi to powiedz.

Potrząsnęła gniewnie głową.

- Mam dość twoich aluzji, jakobym maczała w tym palce.

- To nie aluzje. To pewność.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Żle o mnie myślisz, prawda?

Nawet nie próbował zaprzeczyć.

- A w ogóle to skąd wiesz, że do nas strzelano? Może coś się w maszynie zepsuło, może...

- Strzelano. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Przeszył ją strach. Obejrzawszy się przez ramię, popatrzyła w kierunku, w którym podążali. Rzeka wciąż była wąska, o brzegach gęsto porośniętych krzakami; miejscami z wody sterczały głazy, gdzieniegdzie trzcina. Płynęli wolno, omijając te naturalne przeszkody.

Wokół panowała głęboka cisza. Macił ją tylko jednostajny warkot silnika. Ale był to spokojny, dziwnie kojący dźwięk, zwłaszcza w porównaniu z wcześniejszym ogłuszającym rykiem wypełniającym wnętrze samolotu. Marisa westchnęła i ponownie zwróciła się przodem do Tylera.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - spytała.

- Na dziewięćdziesiąt procent.

Ale oczywiście nie zamierzał podzielić się z nią szczegółami. No dobra, pomyślała; nie, to nie.

Czuła potworny ból głowy. Postanowiła zmienić pozycję, usiąść nieco wygodniej. Przesunęła się, wyciąg-

nęła nogi, pilnując się jednak, aby niechcący nie otrzeć się o Tylera.

On zaś podał jej manierkę z wodą.

- Trzymaj. W apteczce powinna być aspiryna.

Zawahała się; denerwowało ją, że Tyler czyta w jej myślach. Zwyciężył jednak zdrowy rozsądek. Wzięła manierkę, wygrzebała z apteczki opakowanie aspiryny i połknęła tabletkę. Popiła ją wodą; pyszną, chłodną, cudownie słodką. Z trudem powstrzymała się, żeby nie wypić wszystkiego do dna. Oddała manierkę Tylerowi.

- Dzięki.

Niechcący dotknął palcami jej dłoni. Marisa podskoczyła jak oparzona, po czym potarła ręką o udo.

- Co? Próbujesz usunąć zarazki? - Odkręciwszy nakrętkę, podniósł manierkę do ust i pociągnął łyk.

Nie, nie zarazki, pomyślała; raczej mrowienie.

- A żebyś wiedział - odparła lodowatym tonem.

Zamknęła oczy. Katastrofa lotnicza stanowiła przeżycie niezwykle wyczerpujące pod względem zarówno fizycznym, jak i psychicznym.

Silnik pracował na maksymalnie wolnych obrotach; właściwie nie tyle płynęli, co unosili się na wodzie. Po paru minutach Marisa poczuła, jak Tyler wstaje i przemieszcza się po niewielkiej przestrzeni. Ciekawa była, co zamierza. Wkrótce jej ciekawość została zaspokojona. Zaczął przesuwać bagaże.

Otworzyła oczy dopiero wtedy, gdy zaklął pod nosem. Chciała się przekonać, co go tak zezłościło. Tkwił bez ruchu, z nisko zwieszoną głową, z dłońmi opartymi o burtę. Nagle podniósł głowę. Marisa natych-

miast przymknęła powieki. Po co ma widzieć, że mu się przygląda? Jeszcze sobie pomyśli nie wiadomo co.

Aspiryna musiała zadziałać, bo zapadła w drzemkę. Obudziły ją jaskrawe promienie słońca padające jej prosto w twarz. Przeciagnawszy się, usiadła prosto. Mięśnie miała zeszywniałe. W tym czasie, kiedy spała, Tyler zabezpieczył bagaże specjalną nylonową siatką.

Rzeka wyraźnie się poszerzyła; przypuszczalnie była również głębsza i pozbawiona naturalnych zapór w postaci zalegających na dnie głazów, bo mknęli teraz dosyć szybko. Widok dosłownie zapierał dech. Marisa rozglądała się zachwycona. Czegoś tak pięknego dawno nie widziała.

Tu jest jej ojczyzna. Tu przyszła na świat, tu dorastała. Boże, ileż to czasu minęło, odkąd biegała bez troski po polach. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że od położonego wysoko w górach kawałka ziemi, którą od pokoleń uprawia jej rodzina, dzieli ich wiele kilometrów, mimo to wzruszenie ścisnęło ją za serce.

- Ile czasu zajmie nam dotarcie na miejsce? Do la Fortuny? - spytała.

Miała świadomość, że może nie uda jej się wrócić do domu, ale jeżeli jest szansa na to, aby Franco wrócił, to musi spróbować. Nie może zaprzepaścić okazji.

- Sporo - odparł, obserwując uważnie lewy brzeg.
- Myślę, że około tygodnia. Zakładając, że trafnie odgadłem nasze położenie.

Skinęła głową. Około tygodnia. Hm, tyle od biedy wytrzyma.

- Co tak spokojnie to przyjmujesz?

Uniosła zdziwiona brwi.

- A powinnam się pieklić? Wszczęć awanturę?

- Większość kobiet by tak zrobiła.

Nieprawda, pomyślała, ale wiedziała, że nie ma sensu mówić tego na głos. Tyler Murdoch niczym nie różni się od Geralda. Wierzy w to, w co chce wierzyć, bez względu na to, czy ma rację, czy nie. Nie liczy się dla niego prawda, liczy się tylko...

- Trzymaj się! - krzyknął, niespodziewanie wyrwijając ją z zadumy. - Będzie kołysało!

Obejrawszy się, zobaczyła, że lada moment wpłyną na progi.

- Kołysało?! - wrzasnęła przerażona. Woda była biała, spieniona. - Dlaczego nie możemy...

Chciała spytać, dlaczego nie mogą podpłynąć do brzegu i przejść kawałek na własnych nogach, przenosząc łódź oraz bagaże. Nie spytała, bo wystarczył jej rzut oka na brzeg; po obu stronach wznosił się niemal pionowo.

- Nie lubię z tobą podróżować! - warknęła, chwytając się twardych gumowych uchwytów zamocowanych do burty.

Tyler wciągnął na pokład silnik, żeby nie rozbił się o kamienie, i z pomocą wiosła usiłował sterować łodzią tak, by w miarę możliwości omijać najbardziej skłębione odcinki. Serce waliło jej jak oszalałe, krew dudniła w uszach. Ryk wzburzonej wody wypełniał powietrze. Dlaczego wcześniej nic nie słyszałam? - zastanawiała się.

- Co mam robić?

- Trzymać się mocno i nie wpaść do wody. Bo po-
obijasz sobie tyłek.

Ku swemu ogromnemu zdziwieniu zauważyła, że
oczy Tylera lśnią z podniecenia.

- Psiakrew! To ci sprawia frajdę!

Wyszczrzył w uśmiechu zęby.

- Przynajmniej coś się dzieje, nie?

Zmarszczyła gniewnie czoło i nagle z jej gardła
wydobył się przeraźliwy krzyk; łódź wzniosła się w gó-
rę, a potem opadła niemal pionowo w dół. Czarna bre-
zentowa torba, ta, której Tyler pilnował jak najcenniej-
szego skarbu, wysunęła się spod zamocowanej nad ba-
gajem nylonowej siatki. Marisa rzuciła się w bok, by
ją złapać. Zdażyła niemal w ostatniej chwili. W tym
momencie łódź przechyliła się, woda chlusnęła do
środku. Marisa kuczowo zacisnęła palce na brezencie;
miała wrażenie, że kolejne szarpnięcie nie tylko wy-
rwie jej ramię ze stawu, ale ją samą ciśnie do wody.

- Na miłość boską, co ty wyprawiasz? Mówiłem,
żebyś się trzymała! - Chwyciwszy ją za koszulkę, Ty-
ler wciągnął ją z powrotem na pokład.

- To sam pilnuj swoich cholernych pakunków!

Pchnęła w jego stronę wyratowaną z topieli torbę,
po czym przesunęła się na środek łodzi, próbując złapać
się burty. Ale uchwyty były zbyt mokre, zbyt śli-
skie, a łódź znów zaczęła opadać pionowo w dół.

Nie miała szansy. Tyler ponownie skoczył w przód,
usiłując zacisnąć palce na koszulce Marisy, lecz tym
razem nie zdażył. Wpadła do spienionej rzeki niczym
lalka wyrzucona za burtę przez znużone dziecko.

Krzycząc i wymachując rękami, starała się utrzymać na powierzchni. Nie dawała rady; raz po raz znikwała pod wodą. Przeklinając siarczyście, Tyler przysunął się do krawędzi i wychylił wiosło.

- Złap się!

Była na tyle blisko, że widział śmiertelny strach w jej oczach; na tyle blisko, że słyszał, jak charczy, wypływając wodę, która wlewała się jej do ust i nosa. Ale nie na tyle blisko, by mógł ją dosięgnąć i wciągnąć do środka.

Ponownie wrzasnął, by chwycić wiosło. Widział, że się stara. Niestety, prąd znosił łódź w jedną stronę, dziewczynę w przeciwną. I nagle przed oczami stanęła mu inna łódź, która wiele lat temu wywróciła się na innym akwenie, w innym kraju.

W ułamku sekundy podjął decyzję i wyjął wiosło. Wiedział, że w ten sposób nie uratuje Marisy.

Przebiegłszy uważnie wzrokiem po kamienistym brzegu, wybrał miejsce gęsto porośnięte drzewami, których gałęzie zwisały nisko nad wodą. Wyteżając wszystkie siły i pomagając sobie wiosłem, walczył z prądem. Powoli zbliżał się do celu. Wreszcie odrzucił w bok wiosło i chwycił się gałęzi; nogi zahaczył o burtę, nie pozwalając nadmuchanej łódce odpłynąć.

Wisząc na jednej ręce, drugą uniósł cenną torbę, której za nic w świecie nie chciał stracić. Biorąc szeroki zamach, cisnął ją na brzeg, następnie ślizgając się, sam się za nią wgramolił.

Łódź, przez nikogo nie przytrzymywana, pozbawiona swoistej kotwicy w postaci nóg zwisającego z drze-

wa mężczyzny, niczym wystrzelona z procy pomknęła po zalegających dno głazach. Tyler nawet na nią nie spojrział. Zsuwając się ze stromego brzegu, rzucił się w stronę kodującej się w wodzie Marisy.

- Cholera jasna, służę w Oddziale Alfa - mruknął - a nie w straży przybrzeżnej.

- Nie rób mi tego, proszę cię, księżniczko. No, otwórz oczy.

Głos docierał z oddali, jakby z innego świata. Czuła potworny ucisk w piersi. Gdzie jestem? - zastanawiała się. Może mimo grzechów, jakie miała na sumieniu, Bóg zdecydował się wezwać ją do nieba?

- No, mała, już jesteś bezpieczna. Weź głęboki oddech. Śmiało, oddychaj, oddychaj.

Zakasłała. Płuca ją zapiekły, a gardło... miała wrażenie, że jakiś potwór orze po nich grabiami. Ponownie wstrząsnął nią kaszel. Poczowała, jak ktoś unosi jej głowę; z ust pociekła jej strużka wody.

- Grzeczna dziewczynka.

Rozpoznała głos; należał do Tylera. Czyli to nie Bóg do niej przemawia, lecz jej towarzysz podróży. Chciała coś powiedzieć, ale nie zdołała. Z ust znów chlusnęła jej woda.

- Ciii, leż spokojnie, odpoczywaj. Na razie nigdzie się stąd nie ruszamy.

Z trudem otworzyła oczy. Przez kurtynę mokrych rzęs popatrzyła na klęczącego obok mężczyznę. Podobnie jak ona, był przemoczony do suchej nitki.

- *No soy muerto.*

- Zgadza się. Nie jesteś *muerto*. Absolutnie nie jesteś *muerto*. - Odgarnął jej włosy z czoła. - Żyjesz. Nie umarłaś. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Musisz tylko odpocząć, odzyskać siły.

Z ulgą przymknęła powieki. Ataki kaszlu powoli ustępowały. Kiedy wreszcie ustały, zaczęła dygotać z zimna. Usłyszała, jak Tyler wstaje i na moment odchodzi; wrócił po chwili z szeleszczącą srebrzystą folią, którą ją okrył.

Przysiadłszy na brzegu rzeki, tak zwodniczo spokojnej, wziął Marisę na kolana i przytulił do siebie.

Biło od niego ciepło. Czują się bezpieczna w jego silnych ramionach. Nie czynił żadnych irytujących uwag. Nie wyrzucał jej, że sama jest sobie winna, że gdyby miała odrobinę oleju w głowie, nie wpadłaby do wody. Nie wiercił się i nie wzdychał zniecierpliwiony, nie mogąc się doczekać, kiedy ruszą w dalszą drogę. I nie próbował się do niej dobrać.

Nie robił nic, co by ją złościło. Po prostu trzymał ją w objęciach, dopóki nie przestała drżeć.

Z oczu popłynęły jej łzy. Nie wystraszył się; w dalszym ciągu tulił ją do piersi. Po pewnym czasie ogarnął ją błogi spokój. Napięcie i strach znikły.

Popołudniowe słońce grzało w twarz. Słyszała szum rzeki, który przypominał szelest liści na wietrze, szept wiatru oraz ćwierkanie ptaków na drzewach. Jednakże z chwilą, gdy się poruszyła, Tyler zsunął ją z kolan i posadził obok na ziemi. Sam zaś, dźwignąwszy się na nogi, skierował się do łodzi, która kołysała się kilka metrów dalej, zaklinowana między dwoma głazami.

Marisa poczuła się opuszczona. To na skutek szoku, jakiego doznałam, wpadając do wody, pomyślała.

Wsunał torbę - tę, przez którą wylądowała w rzece - pod rozciągniętą z przodu łodzi siatkę, siatkę poprawił, aby lepiej zabezpieczała bagaże, po czym otworzył manierkę i odchyliwszy w tył głowę, zaczął pić.

Kiedy skończył, wyciągnął manierkę w stronę Marisy.

Skrzywiła się z obrzydzeniem.

- Podejrzywałem, że nie będziesz miała ochoty.

Wrócił tam, gdzie siedziała, i trzymając ją za rękę, pomógł jej zająć miejsce w łodzi. Progi się skończyły; rzeka znów płynęła spokojnie. Kipiel wodna wydawała się odległym wspomnieniem.

Marisą ponownie wstrząsnął dreszcz. Owinęła się ciaśniej srebrzystym kocem.

- Nie ro-rozumiem - powiedziała, dzwoniąc zębami. - Dla-dlaczego mnie nie zo-zostawiłeś w wodzie?

- Z egoistycznych pobudek. - Zaczesał do tyłu mokre włosy. - Wkrótce możesz mi się przydać.

Była zbyt zmęczona, żeby się obrazić. Oparła głowę o leżącą obok brezentową torbę.

- Jeśli nas wcześniej nie ustrzela.

Nie odpowiedział. Jego milczenie nie wpłynęło na poprawę jej nastroju. Po chwili włączył silnik i odpłynęli od brzegu.

Chciał jak najprędzej oddalić się od miejsca, w którym rozbił się samolot. Jednakże kątem oka cały czas obserwował Marisę. Znajdowała się w kiepskiej formie psychicznej i fizycznej. Wiedział, czego jej potrzeba:

suchego ubrania, bo dygotała z zimna, ciepłego posiłku i stałego ładu pod nogami.

Gdyby był sam, płynąłby dalej. Ale nie był sam. W dodatku nie miał pewności, czy to przypadkiem nie Marisie zawdzięczają swoje obecne niewesołe położenie. Szczęście w nieszczęściu, że kiedy skoczył na brzeg, łódź zaklinowała się między głazami. Dzięki siatce, którą zabezpieczył bagaże, większość rzeczy wyniesionych z samolotu ocalała.

Nie tylko łódź się zaklinowała, Marisa również. Jej włosy zaplątały się w sterczące z wody gałęzie przewróconego drzewa. Nie potrafił odgadnąć, czy specjalnie uchwyciła się drzewa, próbując się ratować, czy włosy same wplątały się w gałęzie. W każdym razie, gdy do niej dotarł, leżała z twarzą zanurzoną w rzece. Zanim ją uwolnił i wyciągnął na brzeg, była cała sina. Ale przynajmniej żyła.

Nieustannie wpatrywał się w brzeg, szukając miejsca, które by mu odpowiadało, lecz minęła prawie godzina, zanim takowe znalazł. Marisa leżała zwinięta w kłębuszek, wiedział jednak, że nie śpi. Skierował łódź w stronę osłoniętej zatoczki i zgasił silnik. Płynęli wolno wśród zwisających pnączy i ogromnych paproci. Tyler unosił je ręką, potem sprawdzał, czy opadły z powrotem. Kiedy od brzegu dzieliły ich dwa metry, wskoczył do wody i zaczął pchać łódź.

Była to wymarzona kryjówka. Gdyby ktoś pojawił się na rzece, nie byłby w stanie ich dojrzeć.

- Dobrze, że nie mam klaustrofobii.

Usiadłszy, Marisa zrzuciła z siebie prowizoryczny

koc. Głos miała ochrypli, jakby jeszcze nie doszła do siebie po niedawnej przygodzie.

- Faktycznie - przyznał.

Wciągnął łódź na piach, następnie podał Marisie rękę; nie skorzystała z jego pomocy i samodzielnie zeskoczyła na brzeg. Postąpiła kilka kroków naprzód, po czym zerknęła na krzaki.

- Daleko nie odchodź - powiedział. - I uważaj na węże.

Zarumieniła się, potem jednak wzruszyła ramionami. Schyliwszy się, przeszła pod grubą gałęzią i zniknęła w gęstych zaroślach.

Przezcesał ręką włosy. Nie wahał się; wiedział, co ma zrobić. Wyjął z łodzi torbę z ubramem i rzucił na ziemię. Najpierw sucha odzież dla Marisy. Zwariuje, jeśli dłużej będzie ją oglądał w koszulce, która po kąpieli w wodzie była niemal całkiem przezroczysta.

Oczyścił teren z kamieni i łodyg, żeby mogli wygodnie usiąść. Kiedy Marisa wróciła, starał się nie wlepić w nią oczu. Niestety, mimo najlepszych chęci, nie udało mu się. Stała tuż obok, miętosząc z zakłopotaniem dół mokrej koszulki. Korciło go, by powiedzieć, żeby się nie wygłupiała, bo co miał zobaczyć, to zobaczył, gdy wyciągał ją z wody. Cholera, dla własnego dobra powinien przywołać w myślach tamten obraz. Może nie czułby teraz podniecenia. Bo trzymanie w ramionach topielicy nie ma w sobie nic erotycznego.

- To dla ciebie - rzekł, wskazując leżące na ziemi ubranie. - Sucha odzież i środek odstraszający owady. Radzę się nim wysmarować. A tu... - skinął głową na

sznur rozciągnięty między dwoma drzewami - powieś mokre *rzeczy*. Jak dopisze nam szczęście, to do rana wszystko wyschnie.

Bez słowa podniosła z piasku ubranie, butelkę z płynem przeciwko owadom i ponownie udała się za krzaki. Prawdę mówiąc, wolałby, żeby burknęła coś pod nosem, rzuciła jakiś złośliwy komentarz; wtedy przynajmniej wiedziałby, że już wydobrzała.

Przygotował ognisko: ułożył gałęzie, na nich chrust. Płomienie strzeliły w górę, zajmując cienkie, suche łożyzki. Tyler wyprostował się, odruchowo przyciskając rękę do obolałych żeber.

- Co się stało?

Podskoczył, przeklinając głośno, bo przy każdym gwałtowniejszym ruchu czuł bolesne klucie. Nie słyszał jej kroków: Marisa pojawiła się bezszelestnie, niczym duch, ubrana w kolejną z jego bawełnianych koszulek i luźne spodnie. Spruła szew w dolnej części nogawek i obwiązała je wokół kostek, tak by idąc, nie potknąć się i nie wybić sobie zębów. Podwinęła rękawy koszulki, dół zaś ściągnęła na biodrze i zawiązała w supeł. Wyglądała jak rodowita Mezcajka. Chociaż nie, nie całkiem. W dżungli nikt nie chodzi w skórzanych pantoflach. Tego typu obuwie bardziej pasuje do nowoczesnej Amerykanki robiącej karierę na Wall Street.

- Czy coś się stało? - powtórzyła.

Zauważył, że unika jego wzroku.

- Poza tym, że do nas strzelano i że się rozbił samolot? Nie, nic.

Odetchnął głębokio. No dobrze, udowodniła mu, że

kiedy chce, potrafi skradać się bezszelestnie. Ale to o niczym nie świadczy.

Mruknąwszy coś, czego nie usłyszał, podeszła do sznura i powiesiła na nim swoje mokre rzeczy.

- Dasz radę coś zjeść? - spytał.

Usiadłszy na zwałonym pniu, który Tyler przysunął do ogniska, kiedy przebierała się za krzakami, przyłożyła rękę do czoła. Zdziwiła się, że plaster wciąż tam tkwi, że nie odkleił się, kiedy wpadła do wody. Na wszelki wypadek przycisnęła go mocniej.

- Owszem - przyznała. - Tak strasznie mnie ssie w żołądku, że gotowa jestem zjeść wszystko. Korę, liście, mrówki...

Roześmiał się cicho.

- Myślę, że wykombinujemy coś smaczniejszego.

A, do diabła z tym, pomyślała, i zerwawszy plaster, wrzuciła go do ognia.

- No dobrze, co mam robić?

- Trzymać się i nie wpaść do wody.

Zaskoczona niedorzeczną odpowiedzią, wytrzeszczyła oczy; dopiero po chwili skojarzyła, że dokładnie to samo pytanie zadała na rzece.

- Ha, ha, bardzo śmieszne. Tylko dlatego puściłam się uchwytu, żeby to - wskazała na małą czarną torbę, która teraz też stała w bezpiecznym miejscu, z dala od wody i od ognia - nie poszło na dno. Swoją drogą, co tam jest w środku? Jakaś broń?

- Nie noszę broni.

Tym ją zaskoczył.

- I bez broni zamierzasz dostać się na teren fortecy?

- Z bronią tym bardziej bym się nie dostał. Na pewno dokładnie sprawdzają każdego.

- To jak chcesz uwolnić Westina? Podejrzewam, że ci, którzy go pilnują, jednak są uzbrojeni.

- Och, z całą pewnością.

- Więc? - Przez chwilę czekała, aby Tyler coś powiedział, cokolwiek, o tym, jak zamierza obezwładnić uzbrojonych strażników, potem jednak ogarnęło ją zniecierpliwienie. - W porządku. Możesz milczeć. Nie musisz mi nic mówić. Pewnie mam ukryty nadajnik przytwierdzony do zęba i wszystko, czego się od ciebie dowiem, zaraz przekażę moim współpracownikom z El Jefe.

- Z każdym słowem w jej głosie pobrzmiwał coraz większy sarkazm. Ponieważ nie oczekiwała odpowiedzi, nie zdziwił ją brak reakcji ze strony Tylera. - Czy to tylko ja gram ci na nerwach, czy nienawidzisz wszystkich kobiet?

Podniósł na nią wzrok i w tym momencie pożałowała, że nie ugryzła się w język.

- Nie, księżniczko. Należę do tych mężczyzn, którzy bardzo lubią kobiety.

Dobitniej nie mógł tego powiedzieć. Zrobiło się jej przykro.

- Ale mnie nie cierpisz. Dlaczego? Masz coś przeciwko Latynoskom?

- Gdybyś nawet była Marsjanką, niczego by to nie zmieniło. Po prostu nie znoszę pracować z płcią piękną.

- Aha! Czyli nie jesteś rasistą, tylko szowinistą. Wzruszył ramionami.

- Gdybym był szowinistą, kazałbym tobie przygotować posiłek.

Kiedyś nazwała szowinistą Geralda. Zresztą nie tylko szowinistą. Także łajdakiem, egoistą, hipokrytą. Każde z tych określeń do niego pasowało. Gerald dosłownie dostał piany na pysku.

Znużona ciągłym porównywaniem Tylera z Geraldem i niechętna temu, by powierzyć swój los - nawet w sprawie tak błahej jak jedzenie - w ręce mężczyzny, dźwignęła się z pnia. Jednakże nagły ruch sprawił, że zakręciło się jej w głowie. Przez moment stała niepewnie na nogach.

- Spokojnie, księżniczko. - Złapał ją, zanim upadła, i wskazał pień. - Lepiej siadaj i się nie ruszaj. Nie mam ochoty bez przerwy opatrywać ci ran.

Usiadła - wcale nie dlatego, że ją o to prosił, ale dlatego, że świat wirował jej przed oczami. Wsparła głowę na dłoniach i przymknęła powieki. Ileż razy, po przepracowaniu dwóch zmian w restauracji, padała na nos ze zmęczenia, mimo to mobilizowała się i jeszcze wiele godzin poświęcała na tłumaczenie? Lecz bieganie między stolikami i ślęczenie nad tekstem było niczym w porównaniu z katastrofą samolotu oraz pokonywaniem progów na rzece.

- Masz. - W wyciągniętej ręce Tylera zobaczyła manierkę z wodą oraz owinięty celofanem baton proteinowy. — To na wzmocnienie. A ja zaraz zajmę się kolacją. Ale ostrzegam, może kora i liście byłyby smaczniejsze. Zresztą po tej ilości wody, którą się opijaś, podejrzewam, że nic ci nie będzie smakowało.

Zaczęła odwijać czekoladowy baton.

- Wiesz, stanowisz dla mnie zagadkę. Jesteś jak układanka, której...

- Której nie da się ułożyć, więc nawet nie próbuj - dokończył za nią. Zbliżywszy się do brzegu, zanurzył w wodzie wędkę, którą skonstruował, kiedy ona przebiegała się za krzakami. - Brakuje zbyt wielu kawałków.

Przyjrzała mu się uważnie. Kiedy tak stał nad rzeką, bardziej przypominał kamienny posąg niż faceta z krwi i kości. Nie potrafiła go rozgryźć. Wyciągnął ją w wody, opatrzył rany, przypilnował, aby włożyła suche ubranie. Nawet trzymał w ramionach, ogrzewając własnym ciepłem, dopóki nie przestała dygotać z zimna.

Zajmował się nią niezwykle troskliwie, a jednocześnie otwarcie przyznawał, że jej nie ufa i że wolałby, aby nie towarzyszyła mu podczas wyprawy do la Fortuny.

Zagadka. Układanka. Nie rozumiała go. I chyba lepiej, aby zbyt wiele o nim nie myślała. Bo to się może dla niej źle skończyć.

Jedynе światło pochodziło z ogniska, którego Tyler stale doglądał, by przypadkiem nie wygasło. W nocy nie powinien im dokuczać ziąb; znajdowali się na niższych położonych terenach, a dopiero w górach noce robiły się chłodne. Ogień służył innemu celowi: odstraszał zwierzęta. Marisie bardzo to odpowiadało; wolała uniknąć nieproszonych wizyt czworonogów.

Po przyrządzeniu ryby, którą złapał na wędkę, Tyler wydobyl z łódki kawałek nieprzemakalnego płótna.

Używając lin i kamieni, skonstruował z niego niewielki namiot. Do środka wrzucił cienką karimatę.

Z radości, że nie będzie musiała leżeć na wilgotnej ziemi, Marisa miała ochotę go wycałować.

Chciała sprawdzić godzinę, ale przypomniała sobie, że zgubiła zegarek. Spoczywał gdzieś na dnie rzeki, pomiędzy piaszczystą łachą, na której rozbił się samolot, a zatoczką, nad którą teraz rozłożyli obóz. Spojrzała w niebo; chociaż przysłaniały je korony drzew, zobaczyła kilka jaskrawych punkcików. Co pewien czas docierał do niej szelest liści. Jakies zwierzęta krążą w pobliżu, ale boją się podejść ze względu na ogień.

Jeśli nie liczyć zwierząt, byli całkiem sami. Mimo to Tyler siedział przy ognisku, skupiony, z wyteżonym słuchem, niczym żołnierz na czatach. O ile wcześniej nie do końca wierzyła, że ktoś strzelał do samolotu, teraz - obserwując Tylera - nie miała już wątpliwości.

Leżała w prowizorycznym namiocie, nie odrywając oczu od widocznego w blasku płomieni mężczyzny. Parę minut temu studiował mapę; potem zwinął ją i wsunął do tuby, którą rzucił na ziemię, obok groźnie połyskującej maczety.

Pomyślała sobie, że właściwie powinna umierać ze strachu. I chociaż dręczył ją niepokój, to jednak nie odczuwała lęku. Nie bała się ani Tylera, ani czyhających na nich niebezpieczeństw. Gdyby Tyler faktycznie chciał się jej pozbyć, miał ku temu kilka okazji; z żadnej nie skorzystał. Mógł jej nie wyławiać z rzeki, a wcześniej, na lotnisku, mógł - nie czekając na nią - wsiąść do samolotu i po prostu odlecieć. Nie wy-

obrażała sobie, aby ktokolwiek miał do niego pretensje czy wyrzucił go z pracy za to, że podczas misji ratowania uwięzionego Westina odmówił współpracy z jakąś tam Marisą Rodriguez. Tyler jednak zaczekał, aż ona również wsiądzie do samolotu i choć powtarzał, że zawsze pracuje sam, to zabrał ją z sobą do Mezcai.

To niesamowite, pomyślała, że spotkali się niecałe dwadzieścia cztery godziny temu. Miała wrażenie, że już tyle razem przeżyli.

Wzdychając cicho, wysunęła się z namiotu. Wciąż była obolała po przygodzie w rzece, ale na szczęście już nie kręciło się jej w głowie. Starając się nie czynić hałasu, przeszła na palcach w krzaki.

Zanim zdołała wrócić do namiotu, usłyszała trzask gałęzi i poczuła ucisk na szyi.

- Dokąd się wybierasz? - szepnął prosto do jej ucha.

Z całej siły kopnęła go w goleń i uśmiechnęła się pod nosem, kiedy syknął z bólu.

- *El idiota terco* - warknęła. - Uparty kretyń! Puść mnie!

Ucisk na szyi lekko zelżał.

- Odpowiedz!

- Robiłam siusiu. Zadowolony? - Ponownie go kopnęła, jeszcze mocniej niż za pierwszym razem. - Puść mnie, do jasnej cholery!

Podniesiony głos, jakim wyraziła żądanie, wystraszył śpiącego na drzewie ptaka, który poderwał się do lotu. Żądanie dodatkowo wzmocniła kuksańcem w bok.

Tyler puścił ją tak gwałtownie, że upadła na kolana. Wstała, otrzepując ręce z piasku.

- Co się z tobą dzieje? Dlaczego mnie atakujesz w ciemnościach? Nigdy więcej tego nie rób!

- Uspokój się - poprosił.

- Sam się uspokój! Co ci odbiło? Bałeś się, że zajdę cię od tyłu i poderżnę ci gardło, czy co?

Gniewnym krokiem przeszła po zasłanej liśćmi ziemi i usiadła na macie. Widziała, że Tyler stoi obok, zgięty w pasie. Starła się spowolnić bicie serca, które łomotało jak oszalałe. Jeżeli silnym kuksańcem w bok sprawiła Tylerowi ból, to trudno; sam jest sobie winien. Na kursie samoobrony, na który uczęszczała przed paroma laty, uczono ją, że jak ktoś zaciska ramię wokół jej szyi, powinna natychmiast walić łokciem w żebra i brzuch.

Trzymając się za bok, obszedł namiot. Zbliżywszy się do ogniska, schylił się i niezdarnie opadł na pień.

Idiotko jedna, przecież on ci uratował życie! - zganiła się w myślach.

I co z tego? Nie powinien był zachodzić mnie od tyłu.

Ale...

Przestań mieć wyrzuty sumienia!

Przygryzła wargi. Prowadząc wewnętrzny monolog, wyłamywała sobie pałce.

- Tyler... - zaczęła nieśmiało.

- Idź spać.

Tak, zdecydowanie nie powinna czuć się winna. Położywszy się na macie, przykryła się cienkim koczykiem.

- Tak jest, panie generale!

Kiedy wydawało mu się, że Marisa zasnęła, krzywiąc się z bólu, ściągnął z siebie koszulę. Przed pa-

roma laty miał złamane żebra; był pewny, że podczas katastrofy samolotu tylko je poobijał. Ale późniejsza gimnastyka na rzece, wiosłowanie, walka z prądem, zawiśnięcie na gałęzi, ratowanie Marisy, no i paskudne kuksańce, które mu wymierzyła ... wszystko to jedynie zaogniło ból. Delikatnie obmacał tors. Nie wyczuł żadnych ran, żadnych draśnień. Był w jednym kawałku, tyle że straszliwie obolały.

Najwyższym wysiłkiem woli zmusił się do wstania. W apteczce znalazł aspirynę. Połknął dwie tabletki, po czym powiesił koszulę na linie. Po chwili zmienił zdanie. Zamoczył ją w rzece, następnie złożył na czworo i przytknął do boku. Wahał się, gdzie spędzić noc. Zrezygnował jednak z namiotu i wyciągnął się na ziemi koło ogniska. Rozkoszował się ciepłem płomieni, tym bardziej że temperatura powietrza znacznie się obniżyła.

Zostało tylko kilka godzin do świtu. Wiedział, że bez względu na dzisiejsze kłopoty, bez względu na otarcia i sińce, jutro z samego rana muszą ruszyć w dalszą drogę.

Od powodzenia tej misji zależy życie Westina.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Murdoch, jeżeli się zgubiliśmy, powiedz mi to wprost.

Zwinął ponownie mapę i schował do plecaka.

- Nie zgubiliśmy się.

- To dlaczego krążymy w kółko?

- Nie krążymy. Po prostu jesteśmy nie tam, gdzie powinniśmy być.

Marisa przewróciła oczami. Zdaniem Tylera, w pełni odzyskała formę po wczorajszej katastrofie i kąpieli w rzece. Znow była bojowo nastawiona do świata, gotowa z byle powodu wszczynać kłótnie. Od samego rana zasypywała go pytaniami, na które nie potrafił udzielić jej odpowiedzi, oraz uwagami, których większość puszczał mimo uszu.

Niewiele się zastanawiając, wyciągnęła mapę z plecaka i rozwinęła sobie na kolanach. Od kilku godzin znów płynęli rzeką, która - przynajmniej na razie - była wyjątkowo spokojna.

- A gdzie powinniśmy być? - spytała.

Nawet nie zauważyła, że rozłożyła mapę do góry nogami. Tyler obrócił ją w prawidłową stronę.

- Więc twierdzisz, że ile znasz języków?

Mimo rozharatanego czoła, zabrudzonego ubrania

i zmierzwionych włosów Marisa zadarła nos i zmierzyła go pogardliwym wzrokiem.

- Na pewno więcej niż ty - odparła wyniośle. - A co? Wolałbyś, abym zamiast znajomości mezcajskiego posiadała umiejętność czytania z gwiazd?

Nie odpowiedział. Wskazał palcem punkt na mapie.

- Tu - oznajmił.

- Hm. - Odsunęła jego rękę. - Tu, gdzie chciałbyś być, znajduje się pasmo gór, natomiast nie widać śladu rzeki. - Uniosła głowę i demonstracyjnie rozejrzała się wkoło. - A my, jak się chyba zgodzisz, płyniemy rzeką. Która w dodatku nie wzbudza mojego zachwytu.

- Nie martw się. Wkrótce zejdziemy na ląd.

Podejrzewał, że paliwa starczy im najwyżej do wieczoru. A pomijając wszystko, źle się czuł na wodzie. Miał wrażenie, że są zanadto widoczni. Nie chciał mówić tego Marisie, ale wydawało mu się, że cały czas ktoś ich śledzi.

Wiele by dał, by się przekonać kto.

- Jesteśmy gdzieś tutaj, prawda? - Przesuwała palec po krętej niebieskiej Unii. - I płyniemy... - spojrzała w niebo - na wschód. A jeśli się nie mylę, la Fortuna znajduje się na północny zachód od nas, prawda?

- Zgadza się - potwierdził. Nie było sensu zaprzeczać oczywistym faktom.

Miała taką minę, jakby chciała jeszcze o coś spytać, ale po chwili się rozmyśliła. Zwinęła mapę i schowała ją na miejsce, po czym oparła się łokciami o ławeczkę i wystawiła twarz do słońca. Włosy opadały jej luźno

na plecy. Na początku, patrząc, jak Tyler znów spycha łódkę do rzeki, nie potrafiła ukryć niepokoju, ale najwyraźniej strach minął, bo teraz wydawała się całkiem odprężona.

- Wygodny ten twój jachcik.

- A coś ty myślała? Armia amerykańska troszczy się o swoich żołnierzy.

Po jej wargach przemknął uśmiech.

- Kiedy byłam małą dziewczynką, marzyłam o tym, aby zamieszkać na motorówce. - Westchnęła. Długie czarne rzęsy skrywały jej oczy. - Nawet nie wiedziałam, jak wygląda jacht, dopóki nie wyjechałam z Mezcai.

- Akurat.

Skierowała na niego wzrok.

- Akurat? Niby co chcesz przez to powiedzieć?

- Tylko mi nie mów, że nie dorastałaś wśród przepychu.

Uniosła brwi.

- W porządku, nie powiem.

Ponownie oparła się o ławeczkę. Wyglądała jak wczasowiczka zażywająca kąpieli słonecznej.

- Spieczesz się.

Pogoda była idealna, niebo bezchmurne, temperatura nie za wysoka, pora deszczowa jeszcze odległa. Na wszelki wypadek z apteczki pierwszej pomocy Tyler wydobył krem z filtrem przeciwsłonecznym. Nie bardzo miał ochotę znów bawić się w niańkę, ale nos Marisy powoli zaczynał przybierać różowy kolor.

- Ty też - rzekła.

Ale posłusznie wzięła tubkę i rozprowadziła cienką warstwę kremu po twarzy oraz ramionach. Zanim zorientował się, co zamierza zrobić, zaczęła smarować odkryte partie jego ciała. Odsunął się.

- Siedź spokojnie, Murdoch. Nie wygłupiaj się. Przecież nie wyłubię ci oka.

- Wczoraj byłem Tylerem...

Przykucnęła tak blisko niego, że widział jasne złociste kropeczki na jej ciemnych tęczówkach.

- A ja wczoraj miałam wyrzuty sumienia, że po tym, jak uratowałeś mi życie, usiłowałam przedziurawić ci łokciem zebra.

- I niemal ci się udało - mruknął. Zabrał jej tubkę i sam dokończył dzieła. Wolał nie być tak blisko Marisy, nie czuć dotyku jej rąk, zapachu skóry. To było zbyt niebezpieczne. - Swoją drogą, gdzie się tego nauczyłaś?

Mimo że dość mocno zaciskał ramię wokół jej szyi, zdołała się uwolnić, zadając mu bardzo bolesny cios. W dodatku zrobiła to po wyczerpującym dniu, kiedy powinna padać ze zmęczenia.

Nagle spojrzała w bok; wydawała się niezwykle zainteresowana czymś, co zobaczyła na brzegu.

- Wiesz, dlaczego te drzewa nazywają się dusicielami? Bo to pasożyty. Wyrastają na innych drzewach, niszcząc korzenie gospodarza. - Zacisnęła zęby. - Chodziłam na kurs.

- Botaniki czy samoobrony?

Nie odpowiedziała.

- A jeśli dziś znów natrafimy na progi? - spytała.
- Co wtedy?

- Staraj się nie wpaść do wody.
- Może jak to powiesz jeszcze z pięć razy, to się w końcu roześmieję.
- Ten kurs to był prawdziwy kurs? Nie dwugodzinna lekcja, podczas której instruktor demonstruje kilka podstawowych chwytów?

Wzruszyła ramionami.

- Co za różnica?
- Chciałbym wiedzieć, czy poradziłabyś sobie z...
- Z czym, Murdoch? No, z czym? - Oczy błyszczały jej złością. - Z rozbrojeniem cię? - Zrezygnowana pokręciła głową. - Cóż takiego zrobiłam, żeby zasłużyć na tak wielkie zaufanie?

Od samego początku coś mu nie dawało spokoju, kiedy na nią patrzył. Sam nie wiedział co. Dopiero teraz uświadomił sobie, że Marisa Rodriguez przypomina mu Haley. Haley Mercado.

Nawet nie chodzi o fakt wypadnięcia z łodzi, co dla Haley zakończyło się tragicznie. Po prostu... tak, istniało między nimi fizyczne podobieństwo; miały podobny temperament, a także pewną nieśmiałość i wrażliwość, które to cechy obie starały się ukryć pod maską obojętności i niezależności.

To było wieki temu, jakby w innej rzeczywistości, kiedy Tyler zadurzył się w Haley. Nie odwzajemniała jego gorącego uczucia; po prostu traktowała go jak przyjaciela swojego brata. A potem wydarzył się wypadek; łódź przewróciła się i Haley zginęła. Do dziś miał z tego powodu wyrzuty sumienia.

On, Luke, Spence i Flynt - świętowali swój powrót

z wojny w Zatoce Perskiej. Gdyby się nie upili, nie namawialiby Haley, by w środku nocy wybrała się z nimi na przejażdżkę łodzią. Gdyby się z nimi nie wybrała, nie zginęłaby, kiedy Łódź się wywróciła.

Dopiero po dwóch tygodniach odnaleziono ciało.

Przez wiele lat, dopóki Sonya nie pojawiła się w jego życiu, nie potrafił pokochać żadnej kobiety. Nie, nie wiódł pustelniczego trybu życia. Spotykał się z kobietami przez miesiąc lub dwa, dzielił z nimi łóżko i stół, a potem się rozstawali. Dlaczego więc, w dodatku wbrew sobie, czuł jakiś dziwny pociąg do Marisy? Chyba wyłącznie dlatego, że przypominała mu słodką, uroczą trzpiotkę, która zmarła tak młodo. Bo jakież inny mógłby być powód?

W przeciwieństwie do Haley, Sonya nie była słodką, uroczą trzpiotką. Była kobietą równie skoncentrowaną na pracy jak on, równie gotową do poświęceń. A przynajmniej tak mu się wydawało, dopóki go nie zdradziła. Dopóki nie zdradziła też swojego kraju. Nauczyła go dwóch rzeczy. Po pierwsze, że nie warto się zakochiwać, bo to prowadzi do rozczarowań. A po drugie, że współpraca z kobietami zawsze się źle kończy.

Marisa bacznie obserwowała Tylera. Nie wiedziała, o kim ani o czym myśli. I wołała nie wiedzieć. Zacięty, lodowaty wyraz, jaki pojawił się na jego twarzy, przejął ją dreszczem.

- Zapisałam się na kurs samoobrony, ponieważ nie chciałam, aby znów ktoś podszedł mnie od tyłu i złapał za szyję - oznajmiła spokojnym tonem, po czym obróciła się twarzą do kierunku, w którym płynęli.

Nie zamierzała nic więcej wyjaśniać. Niech sobie Tyler myśli, co chce.

- Ktoś cię skrzywdził. - Było to stwierdzenie, nie pytanie.

Wzruszyła ramionami. Nauczyła się w ten sposób reagować na wszystko mające związek z Geraldem. Ale słowo „krzywda” było stanowczo zbyt łagodne. Gerald po prostu ją zniszczył.

- I nie chcesz o tym rozmawiać - dokończył Tyler.

- Zawsze mi się wydawało, że mężczyźni nie lubią mleć jęzorem.

- Nie, nie mam nic przeciwko rozmowom. Chyba że jest coś ciekawszego do roboty. A w relacjach męsko-damskich bywają znacznie ciekawsze zajęcia, które można wspólnie wykonywać.

- Co za głęboka myśl.

- A czego się, kotku, spodziewałaś? Jestem prosty chłopak z Teksasu. My tam mamy same głębokie myśli.

- Widzę.

Uśmiech wypełzył jej na usta. Określenie „chłopak” zupełnie do niego nie pasuje. Bardziej męskiego faceta w życiu nie widziała. Nagle zorientowała się, że kierują się w stronę brzegu.

- Zatrzymujemy się? - spytała.

- Tak. Żeby się wdrapać na tę górkę i rozejrzeć po okolicy.

Szczeka jej opadła. Ta górka to ogromniasta góra. Wdrapanie się na szczyt zajmie co najmniej kilka godzin.

- Masz nadzieję dojrzeć coś konkretnego, kiedy tam dotrzesz?

- Mała poprawka: kiedy dotrzemy. A odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak.

- Rozumiem. Ale oczywiście nic więcej mi nie powiesz. - Westchnęła. - Jesteś, Murdoch, taki przewidywalny.

- Owszem. - Wskoczył do wody, po czym wciągnął łódź na brzeg. - Przewidywalny jak cztery pory roku.

Marisa również wysiadła. Razem ukryli łódź w kępie drzew, aby nikt jej nie znalazł.

Tyler zarzucił na ramiona plecak, maczetę przypiął do paska. Marisie podał do połowy pełną manierkę. Sam wziął drugą. Na szczęście o wodę nie musieli się martwić - zapakował na drogę specjalne tabletki odkażające. Marisa pociągnęła łyk, po czym podobnie jak on, przewiesiła sobie manierkę przez ramię.

Było parno i gorąco, choć temperatura powietrza wynosiła nie więcej niż dwadzieścia pięć stopni. Marisa podejrzewała, że w lesie będzie chłodniej, ale wilgotność nie zmaleje. Przeczesała ręką włosy. Żałowała, że nie ma gumki albo jakiejś spinki. Przynajmniej nie leżałyby jej na szyi.

- Obetnę je - mruknęła pod nosem.

- Co? Włosy? - spytał. Zadowolony ze sposobu, w jaki zabezpieczył łódź oraz rzeczy, które w niej pozostały, skierował się w głąb lasu. - Myślałem, że sam będę musiał to zrobić, kiedy wyciągałem cię z gałęzi, w które zaplątałaś się w wodzie. Ale byłoby ich szkoda.

Na ułamek sekundy znieruchomiała. Po chwili zamotała włosy w supeł i pośpieszyła za Tylerem.

- Czy ja się przesłyszałam, czy naprawdę powiedziałeś o mnie coś miłego?

- Stwierdziłem fakt, to wszystko. Po prostu masz wspaniałą czuprynę.

Wystawiła język. Oczywiście nie widział tego, bo szedł przodem.

- Nawet nie można pomarzyć.

Miała wrażenie, że się roześmiał, ale potem uznała, że pewnie jej się wydawało.

Po kilku minutach ścieżka skręciła ostro pod górę. Od tej chwili maczeta przestała być bezużyteczną dekoracją, a okazała się niezwykle przydatnym narzędziem. Wymachując nią na prawo i lewo, Tyler robił przejście wśród gęstych zarośli. Rytmiczny, niemal hipnotyzujący świst ostrza towarzyszył im przez całą drogę.

Szli gęsiego. Marisa nuciła coś pod nosem. Nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki Tyler nie obejrzał się za siebie.

- Co śpiewasz?

Zamrugła oczami.

- Słucham? - Rumieniec zabarwił jej twarz na czerwono. - A, to taka piosenka, którą śpiewała mi *abuela*, kiedy mój tata pracował w polu.

- W polu?

- Zwykle tam pracują farmerzy.

Ruszył dalej.

- A co uprawiał? Espresso? Cappucino?

Ucieszyła się, kiedy gałąź, którą odsunął w bok, wysunęła mu się z ręki i pacnęła go mocno w tyłek.

Siedzące nieopodal dwa ptaki poderwały się ze skrzykiem do lotu. Ich jaskrawe pióra, żółte, czerwone i białe, wyglądały niesamowicie na tle otaczającej ich ze wszystkich stron soczystej zieleni.

- Straszny z ciebie snob, wiesz? - powiedziała.

- Bynajmniej. Po prostu nie wierzę, że dorastałaś w jednej z tych biednych rodzin, jakich pełno w Mezcai.

- W to nie wierzysz, wierzysz natomiast, że działam w zмовie z El Jefe. Czy wszyscy Teksańczycy są tacy głupi i uparci, czy akurat ja mam to szczęście, że spotkałam ciebie?

- Ty masz to szczęście.

Prychnęła pogardliwie.

Wędrowka ciągnęła się bez końca. W pewnym momencie Marisa uświadomiła sobie, że liczy kroki. Przeszła, bo to nie pomagało na ból w łydkach, a jedynie wzmacniało frustrację.

Sądziła, że jest w całkiem niezłej kondycji fizycznej, ale teraz zaczęła mieć co do tego poważne wątpliwości. Podnoszenie nóg i naprzemienne stawianie ich jedna przed drugą stawało się coraz bardziej uciążliwe. Mimo grubych bawełnianych skarpetek, które Tyler jej pożyczył, czuła, jak na piętach tworzą się bąble.

Tyler natomiast nie sprawiał wrażenia, jakby cokolwiek mu dokuczało, a już na pewno nie buty. Plecak, który wydawał się całkiem spory, gdy leżał w łodzi, na jego plecach zmalał co najmniej o połowę. Jediną oznaką zmęczenia mogłyby być plamy potu na zielonej koszuli. Ale one akurat o niczym nie świadczyły. Bio-

rać pod uwagę ogromną wilgotność powietrza, człowiek pociłby się, nawet gdyby tkwił nieruchomo.

Nagle Marisa przyłapała się na tym, że wpatruje się w opięte spodniami pośladki Tylera. Skarciwszy się w duchu, zerknęła za siebie, usiłując dojrzeć, jaki kawał drogi mają już za sobą. Chociaż Tyler bezustannie przycinał maczetą liście i gałęzie, ścieżka była niewidoczna. Otaczała ich gęsta roślinność: młode pędy pnące się ku słońcu, potężne i rozłożyste paprocie rosnące przy ziemi, stare krzewy porośnięte mchem, liście nadjedzone przez owady. Podniosła głowę; nie widziała nawet skrawka nieba. W uszach zaś rozbrzmiewała jej istna kakofonia dźwięków.

Uniółszy do ust manierkę, pociągnęła łyk wody. Tu się urodziła, na tej ziemi, a jednak tęskniła za wielkimi otwartymi przestrzeniami, gdzie nic nie zasłania nieba i roślinność nie porasta wszystkiego, co tkwi bez ruchu dłużej niż parę minut. Tutaj, idąc, człowiek nie widzi, gdzie stawia nogę. W dodatku narażony jest na ukąszenia węży, pajaków...

- Chcesz odpocząć?

Zobaczyła, że Tyler czeka kilka metrów z przodu. Potrząsnęła głową, starając się pozbyć natrętnych myśli.

- Nie, w porządku - odparła i zakręciwszy manierkę, podeszła bliżej. - Zróbmy, co mamy zrobić, i wracajmy.

Nie drgnął, nie odsunął się, nie zszedł z drogi. Miała ochotę oprzeć ręce na jego klatce piersiowej i odepchnąć go na bok. Albo oprzeć zarówno ręce, jak i głó-

wę, zamknąć oczy i odpocząć. Nie ruszać się przez miesiąc.

Co oczywiście nie wchodzi w grę. Choćby dlatego, że za bardzo mogłoby się jej spodobać.

- Z drogi - powiedziała zziębnięta. - Jeśli się zatrzymam, boję się, że nie wykonam następnego kroku.

- Jesteśmy prawie na miejscu.

- Skąd wiesz?

- Świetnie sobie radzisz.

Słowa zachęty w żaden sposób nie mogły zmniejszyć jej zmęczenia, stresu, bólu. Ale nie było sensu o tym mówić; wymagało to zbyt wiele wysiłku. Więc patrząc, jak Tyler rytmicznie odrywa stopy od ziemi i powtarzając sobie, w jakim celu przybyła do Mezcai, wędrowała dalej.

I nagle dotarli na szczyt.

Skończyła się gęsta roślinność oraz parna, duszna atmosfera.

- Ojej, widać wszystko po sam horyzont!

Szczyt góry spowijały jedwabiste, lekko postrzępione chmury. Poza tym o ile las wypełniały tysiące różnych dźwięków - śpiew ptaków, bzyczenie owadów, szumy, trzaski, szepty - o tyle na szczycie panowała głucha cisza.

Marisa miała wrażenie, jakby znaleźli się w całkiem innym świecie.

Widząc smutek malujący się na jej twarzy, Tyler zastanawiał się, o czym ona myśli, kiedy tak stoi wpatrzonej w dal. Wiedział, że jest zmęczona - sam ledwo zipał - mimo to nie narzekała, nie prosiła, by zwolnił

tempo, a on ani przez moment nie zastosował taryfy ulgowej.

- Tak, widok jest niesamowity - przyznał, choć prawdę mówiąc, nie był pewien, o jakim widoku mówi: czy o zdyszanej kobiecie z trudem łapiącej powietrze, czy o porośniętych drzewami wzgórzach i dolinach rozciągających się w dole.

Zafascynowana tyłoma odcieniami zieleni, rozglądała się wkoło, jakby wciąż nie miała dość. Wreszcie zatrzymała wzrok na Tylerze. Jej oczy lśniły z podniecenia; znikł wyraz smutku, który jeszcze niedawno gościł na jej twarzy.

- To... po prostu... sama nie wiem.

- Co? Czujesz się tak, jakbyś cały świat miała u swych stóp?

Uśmiechnęła się.

- Właśnie. - Po chwili jednak przypomniała sobie, dlaczego tu przyszła, i natychmiast spoważniała. - No dobrze, wspieiliśmy się na szczyt. Chciałeś się rozejrzeć, więc się rozglądaj.

- Co ci tak spieszno? Koniecznie chcesz już wracać?

Wprost przeciwnie; z dużą niechęcią myślała o ponownym przedzieraniu się przez parny gąszcz, ale nie powiedziała tego na głos. Tyler tymczasem wyciągnął z plecaka dwa batony; podał jej jeden, po czym z bocznej kieszeni wyjął mapę.

- O wiele lepiej smakuja, kiedy się jest głodnym - powiedziała Marisa.

Siedziała po turecku w wysokiej trawie porastającej szczyt góry i z zapałem poruszała szczęką.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, co człowiek potrafi zjeść, kiedy mu głód zagląda w oczy - oznajmił cicho Tyler, obliczając w myślach odległości i czas.

Podczas wojny w Zatoce Perskiej przydarzyło mu się małe nieszczęście - w jego ekwipunku, w dodatku w bardzo nieodpowiedniej chwili, eksplodowały materiały wybuchowe. Tyler i jego przyjaciele zostali schwytani i wzięci do niewoli. Spędzili za kratami kilka tygodni. Gdyby nie akcja ratunkowa podjęta przez Westina, pewnie umarliby z głodu. Trawa z piachem to niezbyt pożywny posiłek.

Przyłożywszy do oczu lornetkę, małą, lecz o ogromnej mocy, zaczął uważnie badać teren. Ktokolwiek ich śledzi - jeśli rzeczywiście śledzi, bo może jest to Bogu ducha winien tubylec, który wyszedł na spacer - ma jeszcze spory kawał do pokonania. Usatysfakcjonowany, Tyler usiadł sztywno na ziemi, wyciągnął przed siebie nogi, po czym zerwał opakowanie z batona. Za pięć minut muszą ruszyć w dalszą drogę.

Marisa uniosła rękę, jakby chciała dosięgnąć chmur.

- Kiedy się jest tak wysoko, człowiekowi się wydaje, że od nieba dzieli go dosłownie parę centymetrów - szepnęła.

- O ile niebo w ogóle istnieje.

Oplotła ramionami kolana.

- A ty nie wierzysz ani w niebo, ani w piekło, co?

- Piekło istnieje. To wiem na pewno.

Przez chwilę milczała.

- Masz rację - przyznała cicho.

Nie wytrzymał. Próbował wmówić sobie, że kieruje

nim zwykła ciekawość. Wiedział jednak, że tylko pamięć o doznanej krzywdzie może przywołać na twarz wyraz tak bezbrzeżnego smutku.

- Kto to był?

Wiedziała, o co mu chodzi, ale długo się nie odzywała. Tak jak on czuł opór przed zadaniem pytania, tak ona przed udzieleniem odpowiedzi.

- Mój były narzeczony.

Nawet go to nie zdziwiło, z drugiej strony cierpienie kojarzyło mu się raczej z osobami w nieco starszym wieku.

- A u ciebie? - spytała i ciągnęła pośpiesznie: - Nie, poczekaj. Nic nie mów. Na pewno to była kobieta. Na pewno ta, z którą wtedy pracowałeś. - Wykrzywiła w uśmiechu wargi. - Wiesz, Murdoch, niby stanowisz zagadkę, a jednocześnie nawet prosta Latynoska, do której nie masz za grosz zaufania, może cię rozszyfrować.

- Już ci mówiłem: nie interesuje mnie twoje pochodzenie. Ty przynajmniej swoje znasz.

- A ty swojego nie?

- Wiem jedno: to, kim jesteśmy i co zrobimy z naszym życiem, zależy od nas samych, a nie od naszych rodziców czy też ich braku.

Niezadowolony z obrotu, jaki przybierała rozmowa, a także zły na siebie, że koniecznie chce poznać tożsamość drania, który skrzywdził Marisę, postanowił zakończyć temat. Dźwignął się na nogi. Wstając, przeklął siarczyście. Żebra porządnie dawały mu się we znaki.

- Co ci jest?

- Nic. - Wsunął do plecaka puste opakowania po batonach, a plecak ponownie zarzucił na plecy. - W drogę.

- Nic, nic - powiedziała cicho, przedrzeźniając go.

Poprawiła szybko buty, po czym również wstała. Tyler oddalał się ścieżką, którą usiłował poszerzyć, a właściwie stworzyć, kiedy wspinali się pod górę. Ruszyła za nim, zastanawiając się, czy kiedy dojdą do łożdzi, na piętach ostanie się jej choćby kawałek skóry.

Ledwo las się nad nimi zamknął, ledwo gąszcz ich pochłonał, kiedy powietrze zadrżało od grzmotu. Więcej ostrzeżeń nie było. Po chwili wielkie tłuste krople deszczu zaczęły przedzierać się przez liście.

- Pięknie - mruknął ze złością Tyler.

- Nie denerwuj się - powiedziała do jego pleców.

- Za pięć minut minie. Ciesz się, że to nie pora deszczowa. Wtedy słońce wychodzi na pięć minut, a resztę czasu leje.

W porządku, pomyślał. Ale pięć minut minęło, a deszcz nawet nie zelżał. Nie przerywając wymachiwania maczetą, Tyler obejrzał się przez ramię i posłał Marisie znaczące spojrzenie.

Pięć minut przeciągnęło się do pięćdziesięciu.

Ziemia stała się mokra, błotnista. Buty Marisy nie nadawały się do chodzenia po deszczu. Skórzane podszwy potwornie się ślizgały. Stale musiała się czegoś chwycić, żeby nie upaść. Kiedy przerażona zjechała kilka metrów i wpadła na Tylera, uznała, że może ślizg na pupie rozwiązałyby jej problemy.

Tyler złapał ją, zanim wywaliła się jak długa.

- Trzeba coś z tym zrobić - stwierdził.

Nabrała powietrza, gotowa przystąpić do ataku.

- Wiem, wiem, nic nie mów. - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Pewnie w tej walizce, którą zostawiłem w samolocie, miałaś świetne buty trekkingowe.

Nie miała, ale też nie zamierzała wyprowadzać go z błędu. Niech go gnębią wyrzuty sumienia.

Po chwili ruszyli w dalszą drogę. Tyler szedł znacznie wolniej niż przedtem; dałaby sobie rękę uciąć, że to z powodu jej butów. Ona sama była mokra, brudna, a jeden proteinowy batonik sił jej nie dodał.

- Miałam zabawki, ubrania, kolorowe pisma, książki - powiedziała z wyraźną irytacją w głosie.

- Co? Gdzie?

- W walizce. Chciałam je wysłać mojej rodzinie. Zmarszczył czoło. Wysłać?

- Dlaczego wysłać? Dlaczego nie zawieźć osobiście?

Nie odpowiedziała. Zdziwiony, obejrzał się za siebie i wówczas sam się pośliznął. Złapałby jednak równowagę i wszystko byłoby dobrze, gdyby Marisa przystanąła lub chociaż zwolniła. Ona jednak nie wyhamowała i wpadła prosto na niego.

W tym ułamku sekundy, zanim zwalili się na ziemię, pomyślał sobie: No, trudno. A potem, spleceni, chłostani gałęziami, zsuwali się w dół zbocza, coraz szybciej i szybciej. Przez moment widział przerażoną twarz dziewczyny, później pokryła ją warstwa błota.

Instynktownie otoczył Marisę ramionami, przytknął jej głowę do swojej piersi i zdał się na los. Przynaj-

mniej, pocieszał się, spada nogami w przód. Ścieżka zamieniła się w ogromną błotnistą zjeżdżalnię. Zjeżdżalnię pełną nierówności. Wszystko zlewało mu się przed oczami, tak jak krajobraz za oknem, gdy jedzie się rozpędzonym pociągiem. Nad niczym nie miał kontroli; jedyne, co mógł robić, to mocno tulić do siebie utyłaną błotem dziewczynę.

Las się skończył. Tyler zauważył, że są daleko od miejsca, gdzie zostawili łądz. Wbił pięty w ziemię, usiłując zahamować, zanim stoczą się prosto do rzeki.

Obejmując Marisę jedną ręką, drugą chwycił się krzewów, liści paproci, czegokolwiek, byleby tylko spowolnić ten szalony ślizg. Wreszcie! Udało się. Zatrzymali się dosłownie kilka centymetrów od wody.

Marisa dygotała. Czuł, jak raz po raz przenika ją dreszcz. Bojąc się, czy przypadkiem nie sobie nie uszkodziła, delikatnie zsunął ją na ziemię. Pochylając się nad Marisą, odgarnął jej z twarzy włosy. Oczy miała zamknięte, usta otwarte; wciągała gwałtownie powietrze. Przytknął palec do jej umazanego błotem policzka, by go oczyścić. Nie zauważył, że ręce ma brudniejsze niż ona policzek.

- No, Mariso - szepnął. - Już po wszystkim. Już dobrze.

Nie przestając się trząść, otworzyła oczy.

Pękała ze śmiechu!

Tyler odskoczył tak gwałtownie, że niemal zsunął się do wody, ona zaś, przycisnąwszy ręce do brzucha, zgięła się wół. Nie mogła opanować śmiechu. Potrząsnął głową. Po chwili on też dojrzał komizm sytuacji.

Dołem koszulki próbowała wytrzeć twarz. Oczywiście tylko rozmazała błoto. Ponownie zanosła się śmiechem. Dźwięk wystraszył siedzącą na gałęzi małpę, która wdrapawszy się wyżej na drzewo, wydała z siebie przeraźliwy wrzask.

Marisa przewróciła się na bok, po czym dźwignęła na nogi.

- Jedno muszę ci przyznać, Murdoch. Nie sposób się z tobą nudzić - oznajmiła zdyszana. - Poza tym chyba czytasz w myślach. Bo chwilę wcześniej sama się zastanawiałam, czy nie byłoby wygodniej zjechać na pupie.

Przyjrzał się jej uważnie i nagle poczuł, jak rozpięga go pożądanie.

- Na szczęście nie sobie nie połamałaś.

Przejechała palcami skołtunione włosy, strząsając z nich krople brudnej wody.

- No nie, nie połamałam. Dzięki tobie. Choć jako materac jesteś ciut za twardy.

Uśmiechnął się w duchu, a potem, odwróciwszy się do niej tyłem, podniósł się z ziemi i ściągnął plecak.

- Często zdarzają ci się upadki, pośliznięcia i inne przykre zdarzenia losowe, czy może ja tak na ciebie działałam?

Jeżeli chciał ją rozzłościć, to mu się nie udało. Spojrzała na górę, z której „zeszli” w tak rekordowo krótkim czasie, i znów zanosła się wesołym śmiechem.

- Zdecydowanie ty, Murdoch - powiedziała, z trudem łapiąc oddech. - Innym jakoś nie padam do nóg.

Jej śmiech był zaraźliwy. Tyler pokręcił z rezygna-

cją głową. Jedno nie ulega wątpliwości: kogoś takiego jak Marisa jeszcze nigdy w życiu nie spotkał.

Usiłował zetrzeć błoto z plecaka. Bezskutecznie; rozmazywało się i tyle. Właściwie tylko kąpiel w rzece mogłaby coś dać. Trudno, pomyślał. Zajrzał do środka. Mapa była cała czarna, ale tym się specjalnie nie przejął; znacznie ważniejsza jest nieduża kasetka na dnie plecaka, w której trzymał materiał wybuchowy oraz nadajnik.

- No i wreszcie przestało padać. - Marisa westchnęła ciężko. - Wszędzie mam błoto, w każdym zakamarku ciała...

Usiadłszy na brzegu rzeki, włożyła do wody nogi, razem z butami i skarpetami.

Wiedział, że nie powinien myśleć o jej zakamarkach, ale nie potrafił się powstrzymać. W końcu, kiedy pochyliła się, by opłukać ręce, ogromnym wysiłkiem woli skupił się na sprzęcie. Dokładnie wszystko sprawdził, po czym ponownie spakował do plecaka.

Faktycznie, przestało padać. Wiatr pędził chmury, zostawiając w miarę czyste niebo. Gdyby nie warstwa izolacyjna w postaci błota, pewnie byłoby nam chłodno, przemknęło Tylerowi przez myśl.

- Łódź z rzeczami nie powinna być zbyt daleko. Jak do niej dojdziemy, rozpalę ognisko i podgrzejemy kociołek wody. Będziesz mogła się umyć.

Marisa podniosła wzrok.

- A ty?

Jemu przydałby się zimny prysznic albo kąpiel w zimnej rzece, ale oczywiście nie zamierzał jej tego mó-

wić. Jeśli kobieta wie, że jednym zalotnym spojrzeniem może rozpalić mężczyznę, prędzej czy później wykorzystywała to.

- A co? Nie chcesz być żoną teksaskiego brudasas?

- Lepszy brudas od szaleńca - mruknęła, wstając.

Chociaż się uśmiechała, Tyler wyczuł, że wcale nie jest jej do śmiechu. Sprawiała wrażenie lekko zdziwionej tym, co powiedziała. Ujął ją za łokieć, pomagając jej przejść nad wielkim kamieniem leżącym w poprzek ścieżki.

- Był szalony?

- Większość ludzi uważała go za wspaniałego męża stanu. Za człowieka silnego, władczego, pełnego charyzmy. - Zatrzymawszy się, obejrzała się przez ramię. - Nawet jesteście dość podobni. Ale w przeciwieństwie do ciebie, on byłby wściekły po takiej kąpieli błotnej.

- No dobrze, a ty? Jakie miałaś o nim zdanie?

Wykrzywiła usta w ironicznym uśmiechu.

- To znaczy później, kiedy minęło pierwsze zauroczenie? - Przeszła parę kroków dalej, aby Tyler mógł zeskoczyć z kamienia. - Moim zdaniem to był wariat. Człowiek chory psychicznie.

Zmrużył oczy.

- Ja nie jestem wariatem.

- Jesteś, nie jesteś, wszystko mi jedno - stwierdziła. - Bylebyś nas doprowadził do la Fortuny.

Psiakość, musi pamiętać, że jej nie ufa!

- Dlaczego to dla ciebie takie ważne? - spytał.

Przez moment milczała, jakby ważyła słowa.

- Ty chcesz pomóc Westinowi, ponieważ czujesz się jego dłużnikiem - oznajmiła cicho. - Ja chcę mu pomóc, żeby odzyskać swoje dawne życie.

Odwróciwszy się na pięcie, ruszyła brzegiem rzeki.

Dopiero po dłuższej chwili Tyler podążył jej śladem. Włosy Marisy, obciążone wodą i błotem, sięgały jej do pasa. Mokre spodnie i koszulka ciasno opinały jej piersi i biodra.

Nie był pewien, co mu bardziej zaprzęta myśli: to, co powiedziała, czy widok jej kołyszących się bioder.

Jakie życie Marisa chce odzyskać? O co jej chodzi? Czy o życie pośród członków organizacji, czy o coś całkiem innego?

Zżerała go ciekawość.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Trwało wieki, zanim woda się w końcu zagotowała. Ale jej ilość starczała najwyżej na umycie rąk i opłukanie twarzy, na pewno nie na porządna toaletę. Po prostu patelnia, którą Tyler ustawił nad ogniem, była niewielkich rozmiarów, a większej nie miał.

Płomienie strzelały wysoko, słońce zaś opadało coraz niżej. Jeżeli Marisa zamierza umyć się w rzece - tak jak Tyler, który w tym celu oddalił się od obozowiska - powinna to zrobić, póki jeszcze jest widno.

Zanim odszedł, zostawił jej kolejną koszulkę, tym razem granatową; miał ich niewyczerpany zapas. Marisa podniosła ją wraz z suchymi spodniami od dresu, które również dla niej przygotował, i ostrożnie, aby niczego nie zabrudzić, położyła ubranie na sterczącym przy brzegu gładzie. Następnie przyniosła pozostawioną przy ognisku kostkę mydła.

Ileż to razy kapała się nago w strumyku, zanim rodzice wysłali ją do szkoły w Belize!

Zerknąwszy przez ramię, sprawdziła, czy Tylera nie ma w pobliżu, po czym rozebrała się i weszła do rzeki. Woda była zimna, kamienie zalegające dno - śliskie. Czym prędzej przystąpiła do mycia. Namydliła włosy, spłukała z nich błoto i pianę. Przyszło jej do głowy,

że chyba naprawdę będzie musiała ostrzec się na krótko, bo inaczej nigdy nie pozbędzie się kołtunów.

Woda sięgała jej niemal po pachy, a prąd był dość silny. Marisa przestraszyła się. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że tak bardzo oddaliła się od ogniska. Mając w pamięci wczorajszą przygodę na progach, na wszelki wypadek podpłynęła w stronę brzegu. Kucając w wodzie, kontynuowała próbę rozplatania włosów. W pewnym momencie podniosła głowę i na moment zastygła bez ruchu, oszołomiona złocistoczerwoną barwą nieba. Na jej oczach kolory pogłębiły się, nabrały intensywności. Jednak gęsia skórka na rękach i nogach nie pozwoliła jej długo rozkoszować się tym widokiem. Marisa po raz ostatni wypłukała włosy, po czym wyprostowała się.

I wtedy go zobaczyła.

Robił to samo co ona - wynurzał się. Dzieliło ich kilkadziesiąt metrów; nic dziwnego, że go nie zauważyła, dopóki nie podpłynął na płytszą wodę i się nie wyprostował. Wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana. Był wspaniały. Mimo odległości widziała jego cudownie umięśnione ramiona i uda. Nagłe odchylił się do tyłu i przez moment unosił nieruchomo na wodzie, po czym wstał i potrząsnął głową. Otoczyła go srebrzysta mgiełka.

Przecież nawet go nie lubi! A gapi się w niego jak w obrazek. Boże, pomyślała, zachowuję się jak głupia nastolatka na widok ukochanego aktora. Zdegustowana sama sobą, wyszła pośpiesznie na brzeg, wytarła się energicznie, po czym wciągnęła na gołe ciało koszulkę.

Tylko tego brakowało, żeby wciąż pluskała się w wodzie, kiedy Tyler wróci do obozowiska.

Rozłożywszy ręcznik koło ognia, chwyciła ponownie mydło i zaczęła pracować swój stanik i majtki. Kiedyś śnieżnobiałe, teraz miały odcień kawy z mlekiem. W dodatku kolor nie dawał się sprać.

Tyler zdaje się mieć niewyczerpany zapas bawełnianych koszulek, podejrzewała jednak, że nie zapakował na drogę kompletu damskiej bielizny. Toteż, chcąc nie chcąc, musiała zaakceptować nową błotnistą barwę majtek i stanika. Powiesiła je na gałęzi, następnie postanowiła dorzucić chrustu do ognia. Po wyjściu z zimnej rzeki było jej całkiem ciepło, spodnie od dresu odłożyła więc na bok. Włożyła je później, kiedy powietrze się ochłodzi.

Nie wiedziała, czy Tyler wróci za minutę, czy za dziesięć minut. Starając się przywołać w pamięci umiejętności, które kiedyś posiadała, a które od lat były jej niepotrzebne, wyjęła z łodzi prowizoryczną wędkę i ruszyła na ryby. Żeby nie stać bezczynnie, czekając, aż się jakaś złapie, znalazła kilka odpowiednich gałęzi i ostrugała nożem końce.

Żałowała, że nie ma aparatu, by uwiecznić minę Tylera, kiedy w końcu pojawił się przy ognisku. Patrzył na dwie ryby smażące się na ruszcie, a na jego twarzy malowało się zdziwienie zmieszane z niedowierzaniem i osłupieniem. Marisę zaś przepełniała radość; cieszyła się, że nie zapomniała dawnych umiejętności, lecz jeszcze bardziej z reakcji Tylera. Przynajmniej udało jej się na moment wymazać z pamięci obraz na-

giego mężczyzny wyłaniającego się niczym Neptun z krystalicznie czystej rzeki.

Podszedł do ogniska i przez dłuższą chwilę w milczeniu spoglądał na ruszt. Wprawdzie konstrukcja nie dorównywała tej, którą sam wczoraj przygotował, ale Marisa była z siebie całkiem zadowolona; bądź co bądź minęło wiele lat, odkąd zajmowała się takimi sprawami.

Oczekiwała miłego słowa, pochwały. Usłyszała jedynie:

- Grzebałaś w moich rzeczach.

Poczuła się jak przekłuty balon, z którego uszło powietrze. Nic nie powiedziała, bo faktycznie „grzebała” w jego rzeczach. Bez słowa przewróciła ryby na drugą stronę; mniej więcej minutę później zdjęła szpikulce z ognia i oparła o kamienie, żeby nieco ostygły.

Sądziła, że Tyler skarci ją, skrytykuje, pokaże, kto tu rządzi. Nie zrobił tego. Po chwili zsunęła pstraga na talerz, który również „wygrzebała” z jego rzeczy, szpikulec zaś złamała na pół i dorzuciła do ognia. Ze swoją rybą odeszła kilka metrów od ogniska, przy którym było jej za ciepło.

Jadła prosto ze szpikulca, odrywając mięso palcami. Czowała na sobie wzrok Tylera.

Nie ruszywszy jedzenia, rozwiesił swoje mokre ubranie na liściach niskiej palmy. Wybrał miejsce możliwie najbardziej oddalone od drzewa, na którym suszyła się bielizna Marisy, jakby nie chciał z nią mieć cokolwiek wspólnego. Posmutniała, a zaraz potem zganiła się w duchu, że zachowuje się jak idiotka. Powinna się cieszyć, że nie rzucił jakiegoś ironicznego

komentarza na temat suszących się na gałęzi brunatnych majtek i stanika.

Tyler podniósł z ziemi mały czarny plecak, który wszędzie z sobą nosił - nie zapomniał o nim nawet wtedy, gdy poszedł się kąpać w rzece - i schował go do większej brezentowej torby. Przez chwilę majstrował przy silniku łodzi, po czym wrócił do ogniska.

Marisa poczuła dziwny skurcz w żołądku.

Na kamieniu leżała garść fig, które zerwała z drzewa. Wziąwszy jedną, Tyler usiadł po drugiej stronie ogniska, wydobył z kieszeni scyzoryk i przeciął owoc na cztery części.

Na rybę nawet nie spojrzął.

- O co chodzi, Murdoch? - spytała, wskazując głową nietknięty talerz. - Boisz się, że cię otruje?

Nie odpowiedział.

Wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Pytanie było zadane żartobliwym tonem, ale reakcja Tylera wyraźnie świadczyła o jednym - że właśnie tego się obawia.

- Masz, napchaj się! - Zdenerwowawszy się, cisnęła w niego własny szpikulec z nadjedzoną rybą.

Złapał go w powietrzu, położył na kamieniu, po czym najspokojniej w świecie, jakby nic nie zakłóciło jego posiłku, kontynuował jedzenie figi.

- A owoców się nie boisz? - Bezskutecznie usiłowała zapanować nad emocjami. - Może je też naszprycowałam?

- Czym?

Niemal trzęsła się z furii.

- Tym samym, co twoją cholerną rybę!

- Uspokój się.
- Nie mam zamiaru!

Leniwym ruchem, jakby o nic jej przed chwilą nie oskarżał, ba, jakby byli w najlepszej komitywie, wyciągnął do niej rękę z kawałkiem figi.

Wzdrygnęła się.

- Jesteś obrzydliwy.
- Nie, to nie. - Wzruszył ramionami i sam zjadł oferowany jej kawałek.
- Wyjaśnij mi: co bym zyskała, gdybym cię otruła?
- Może nic - przyznał. - Z drugiej strony, może wszystko. Ty mi to powiedz.
- Pocałuj mnie... wiesz gdzie?

Miała ochotę wyjść i trzasnąć drzwiami. Ale skąd wziąć drzwi i dokąd się udać? Było jeszcze za wcześnie, żeby położyć się spać. Zresztą, taka podminowana, na pewno nie zdołałaby zasnąć.

Wstała więc i zaczęła chodzić tam i z powrotem, udeptując ścieżkę wokół niedużego obozowiska. Roznosiła ją energia; jakoś musi ją spożytkować. Kiedy po raz trzeci mijała łódź, którą Tyler wciągnął na brzeg, poczuła, jak jeszcze bardziej narasta w niej złość.

- Co robiłeś przed chwilą przy silniku? Wkręcałeś z powrotem jakąś śrubeczkę, którą wyjąłeś, żebym przypadkiem nie odpłynęła, kiedy się kapałeś?
- Zgadłś.

Zatkało ją. Sądziła, że już niczym jej nie zaskoczy, że bardziej nie zdoła obrazić. A jednak...

- Wspaniale.

Odwróciła się na pięcie, zamierzając skryć się w na-

miocie. Co z tego, że jest jeszcze wcześniej, że roznosi ją energia, że jest zbyt podminowana, by zasnąć? Nie ma to znaczenia. Po prostu nie może dłużej znieść widoku tego parszywego drania.

Nie uszła daleko: zahaczyła o sterczący z ziemi korzeń. Z dzikim wrzaskiem poleciała do przodu, o mały nie wybijając sobie zębów. W ostatniej chwili, nie wiadomo jakim cudem, uwolniła się z pułapki. Podskakując na lewej nodze, zaczęła masować duży palec prawej stopy. Miała wrażenie, jakby został urwany.

Nawet się nie spostrzegła, kiedy Tyler znalazł się przy jej boku.

- Coś cię ugryzło? Co? Gdzie?

Strząsnęła jego rękę ze swojego ramienia i dokuśtykała do ognia. Usiadła.

- Nie ugryzło - mruknęła. - Zahaczyłam paluchem o korzeń.

Sama się o to prosiła. Nie powinna maszerować bosą po ciemku. Tyler kucnął obok.

- Pokaż.

Próbowała zabrać mu nogę, ale zacisnął palce wokół jej kostki i trzymał mocno. Nagle złość z niej wyparowała. Miała wrażenie, jakby wszystkie jej zmysły skupiły się w jednym punkcie, na dłoni Tylera. Nic innego się nie liczyło.

Cieszyła się, że słońce zaszło, że zapadł mrok, że po buzujących płomieniach zostało kilka małych żarzących się węgielków.

- Ten?

Podskoczyła jak oparzona, kiedy delikatnie pogła-

dził ją po paluchu. Dlaczego, pomyślała z wściekłością, jej libido postanowiło się nagle obudzić? Tyle czasu tkwiło w stanie uśpienia, że zaczęła podejrzewać, iż na dobre straciła zainteresowanie płcią brzydką. Dlaczego akurat ten człowiek, który w dziewięćdziesięciu procentach składa się z nieprzyjemnych, irytujących cech, a tylko w dziesięciu ją fascynuje, sprawił, że serce znów biło jej jak oszalałe?

- No? - Czekał na odpowiedź. - Ten cię boli?

- Owszem — odparła pośpiesznie. - Ale nic mi nie jest. Naprawdę. Po prostu uderzyłam się i tyle.

Najwyraźniej nigdy nikomu nie wierzył na słowo, tylko zawsze chciał się przekonać na własne oczy. Przynajął nogę bliżej ognia, przypuszczalnie po to, by ją lepiej widzieć, Marisa zaś czym prędzej chwyciła dół koszulki i obciągnęła ją, tak by nie świecić gołą pupą.

- Dobrze, że nie krwawi.

- No właśnie. - Ponownie szarpnęła nogą, usiłując się oswobodzić. Nadaremnie. - Tyler, puść. Ja...

- Masz mnóstwo bąbli na pięcie.

Całkiem o nich zapomniała. Jak to możliwe?

- Wiem. Buty mnie uwie...

- Dlaczego nic nie powiedziałaś? - przerwał jej.

- Co by to dało? - Znów pociągnęła brzeg koszuli.

Gdyby mogła, najchętniej zasłoniłaby nogi aż po łydki.

- Zatrzymałbyś się? Zrezygnował ze wspinaczki? A może pozwolił mi zostać w połowie zbocza, a sam poszedł na szczyt? Jakoś w to wątpię, wiesz? Nawet wchodząc do wody, żeby się wykapać, demontujesz silnik, abym przypadkiem nie odpłynęła.

- Można było posmarować ci pięty specjalną maścią. Zdenerwował go jego spokojny, rzeczowy ton oraz to, że nawet nie próbował zaprzeczyć, kiedy wyrzucała mu brak zaufania. Na moment odszedł do swoich cennych toreb. Kiedy wrócił do ogniska, wyrwała mu z ręki tubkę i plastry.

- Sama to zrobię - warknęła.

- Jak sobie życzysz.

Wymagało to niemałej ekwilibrystyki. Musiała pilnować, żeby koszulka nie podjechała za wysoko, a jednocześnie musiała mieć swobodny dostęp do własnych pięt. Kiedy upuściła plaster na ziemię, Tyler zirytował się i zabrał jej opatrunki.

- Mamy ich za mało, żeby je marnować - stwierdził. - Daj nogę.

- Nie!

Na jego twarzy odmalowało się zniecierpliwienie.

- Na miłość boską, dlaczego ciągle ze mną wojujesz?

- To ty prowadzisz ze mną wojnę! Od pierwszej chwili zachowujesz się wobec mnie okropnie. Dlaczego miałabym przyjąć twoją pomoc, skoro ty mojej nie chcesz i na każdym kroku dajesz mi to do zrozumienia?

- Nie protestowałam, kiedy wyciągałem cię z wody. Ani kiedy pompowałem powietrze do twoich płuc i wypompowywałem z nich wodę.

- Bo...

Robił jej sztuczne oddychanie metodą usta-usta? Oczywiście nie ma tego jak sprawdzić, musi polegać na jego słowach. Nie pamiętała, co się z nią działo,

kiedy wyciągnął ją na brzeg. Pamiętała tylko, o czym myślała, kiedy wpadła do rzeki: że umrze na ojczystej ziemi, będąc tak blisko swojej rodziny, a zarazem wciąż tak daleko.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła po odzyskaniu przytomności, była zatroskana twarz Tylera.

- Trzeba było zostawić mnie w tej rzece. Skoro nikomu nic po mnie...

- Och, zamknij się i daj mi nogę. I módl się, żeby nie wdało ci się w pięty zakażenie. Naprawdę powinnaś być wcześniej mi powiedzieć.

Wyciągnął rękę. Marisa odsunęła się.

- Po to, abyś mógł mówić, że specjalnie opóźniam wyprawę? Nic z tego.

- A myślisz, że nie opóźnisz, jak wda ci się infekcja?

Ponownie wyciągnął rękę, a Marisa znów się odsunęła. W słabym blasku ognia widziała, jak jego twarz przybiera surowy wyraz.

- Nie wygłupiaj się! Dawaj tę cholerną nogę.

- Chcesz się złościć? Proszę bardzo. Możemy się razem pozłościć. - Poderwała się z ziemi i obciągnawszy koszulkę do kolan, stanęła po drugiej stronie ogniska. - Nie możesz w jednej minucie zarzucać mi konszachtów z El Jefe i obrażać mnie, a w następnej udawać, że nic się nie stało i być taki... taki miły. Po prostu tak się nie robi.

- Kiedy cię obraziłem?

- Choćby przed chwilą! Nawet nie tknąłeś przygotowanej przeze mnie kolacji.

- Nie lubię ryb. Chyba mi wolno, co? - Przeczesał

palcami włosy. - Zjadam je tylko w ostateczności, kiedy głód zagląda mi w oczy.

- Nie mogłeś tego powiedzieć? Musiałeś sugerować, że cię chcę otruć?

- Sama to zasugerowałaś.

- Żartowałam! Nie sądziłam, że potraktujesz to serio, a ty nawet się nie uśmiechnąłeś. - Rozłożyła ręce w geście rezygnacji. - Naprawdę nie mogę zrozumieć, dlaczego mi nie ufasz, Tyler. Czym ja ci się naraziłam, co? Tak samo jak ty, chcę dobrze wypełnić zadanie.

- Żeby odzyskać dawne życie?

- No właśnie.

- Ukrywasz coś przede mną.

- Wcale nie! - oburzyła się. Starła się nie myśleć o swoich pobudkach. Zresztą Franco nie miał z ich misją nic wspólnego. Nic a nic.

Wykrzywił wargi.

- Kłamiesz, Mariso. Widzę to w twojej twarzy, w spojrzeniu. Coś ukrywasz i dopóki nie dowiem się co... - Nie dokończył zdania.

- Dopóty nie dostąpię zaszczytu przystąpienia do tej małej garstki osób, którym ufasz - dokończyła za niego.

- Tak jest lepiej - przyznał.

- Dla kogo? - spytała z goryczą w głosie. - Tylko dla ciebie, Murdoch. Wyłącznie dla ciebie.

- Dla nas obojga.

- Nie bądź śmieszny. Dlaczego lepiej dla mnie, żebyś mi nie ufał? Abyś odchodząc na moment, rozmontowywał silnik łądzi?

- Dlatego, że cię pragnę - oznajmił wprost. -
A wcale tego nie chcę.

Te słowa zadźwięczały w wieczornej ciszy niczym koncert. Marisę zakręciło się w głowie. Chyba się przesłyszała. Przecież on nie mógłby czegoś takiego powiedzieć, prawda?

- Brak zaufania pozwala mi utrzymać dystans. -
Skrzywił się. - Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię.

Hm, a zatem nie przesłyszała się.

- Nie wiem, czy... - zaczęła.

- Widziałem, kiedy kapałaś się w rzecę. I wiem,
że ty też ukradkiem mnie obserwowałaś.

Rozchyliła wargi. Chociaż ciemny las obfitował
w tlen, nagle zabrakło jej powietrza. Tyler wyciągnął
dłoń. Zawahał się na moment, kiedy Marisa cofnęła
się pół kroku. Ale po chwili przysunął rękę bliżej i po-
gładził ją po policzku.

Zadrżała.

- Ale pragnąłem cię znacznie wcześniej - ciągnął.
- Nawet wtedy, gdy byłaś cała oblepiona błotem.
Wiesz, jakie to trudne, kiedy mężczyzna pragnie ko-
biety, której nie może ufać?

Zaschło jej w gardle. Czubkiem języka zwilżyła
wargi. Chociaż nie lubiła mówić o przeszłości, uznała,
że po tak szczerym wyznaniu powinna odpłacić się Ty-
lerowi szczerością.

- Myślę, że tak samo trudne, kiedy kobieta pragnie
mężczyzny, chociaż obiecała sobie, że już nigdy żad-
nemu nie zaufa.

Stał tyłem do ognia, więc nie sposób było wyczytać

nic z jego oczu. Ręka na jej policzku przesunęła się niżej, do brody, kciuk zatrzymał się przy jej wargach.

Wstrzymała oddech.

- Nie ma co, dobrana z nas para - rzekł w końcu i opuściwszy rękę, odszedł parę kroków.

Odniosła wrażenie, że temperatura jakby spadła o kilka stopni. To tylko wiatr, próbowała się pocieszyć. Często wzmaga się wieczorami. Tyler wcale nie zamierzał jej pocałować. Przecież to śmieszne. Skąd jej w ogóle taki pomysł przyszedł do głowy?

- Nie odpłynęłabym - stwierdziła po chwili. - Ale nie oczekuję, że mi uwierzysz.

Siedział przy ognisku, dźgając patykiem żarzące się węgielki. Raz po raz w powietrze tryskała fontanna iskieł.

- Lepiej niczego nie oczekiwać, Mariso. Wtedy życie jest o wiele prostsze.

Dlaczego z jego słów przebija tak straszliwa samotność? Mówiąc o oczekiwaniach, przecież miał na myśli ich obecną sytuację. Prawda?

- Moja *abuela* mówiła, że oczekiwania równie łatwo jest zawieść, co spełnić.

- Innymi słowy?

Wiedziała, że Tyler się z nią drażni. Że chce ją zdezerwować. Prawie mu się udało, ale nie całkiem. Policzyła w myślach do dziesięciu.

- Jeśli się niczego od życia nie oczekuje, niczego się od niego nie dostanie. - Zdusiwszy westchnienie, skierowała się w stronę namiotu. - Dobranoc, Murdoch.

Żadne z nich nie wspomniało więcej o bąblach na

piętach. Temat wrócił dopiero kilka godzin później, kiedy znów zaczął padać deszcz. Zimny, nieprzyjemny, zacinający.

Kiedy pierwsze krople spadły z sykiem w dogasający ogień, Tyler poderwał się i czym prędzej przewrócił łódź do góry dnem, tak by osłonić ubranie i sprzęt. Sam zarzucił na ramiona płaszcz przeciwdeszczowy i schował się pod drzewem. Czuł straszliwy ból w żebrach, do którego przyczyniła się między innymi Marisa. Marisa, której nic nie kapie na głowę. Wreszcie nie wytrzymał.

- Starzejesz się, Murdoch - mruknął pod nosem.
- Dawniej byś się tak nie certolił.

Ściągnawszy płaszcz, wszedł do namiotu, przygotowany na ostry sprzeciw. Wprawdzie nie słyszał Marisy od paru godzin, ale to bynajmniej nie znaczy, że zasnęła.

Kilka błyskawic jedna po drugiej przecięło nocne niebo, rozjaśniając wnętrze namiotu. Marisa leżała na brzuchu; czarne włosy wiły się wokół jej ramion. Spod nogawek dresu, który włożyła na noc, sterczały jej bose, poranione pięty.

Tyler miał wrażenie, że patrzą na niego z niemym wyrzutem. Zapomnieć o czymś tak ważnym - to było zupełnie nie w jego stylu.

Nie zważając na zacinający deszcz, opuścił suchy namiot. Doszedł do miejsca, gdzie palili ognisko i korzystając ze światła błyskawic, zaczął macać rozmokłą ziemię, szukając tubki z maścią. Plastry do niczego się już nie nadawały. Na szczęście kilka zostało w apte-

czce. Uznał jednak, że nie ma sensu ich teraz używać. Przydadzą się rano.

Odnalazł tubkę w miarę szybko, choć wystarczyło pół minuty, aby dokumentnie przemókł. Skoro to jest pora sucha, ciekaw był, jak w Mezcai wygląda pora deszczowa. Dumając nad tym, opłukał ręce z błota, po czym ściągnął z siebie koszulę i cisnął w krzaki. Szczęście w nieszczęściu, że deszcz zacinał w bok namiotu, a nie w nieosłonięty otwór, przez który się wchodziło.

Tyler wśliznął się do środka i delikatnie odsunął rękę Marisy, aby jej nie zgnieść. Nie poruszyła się. To dobrze, pomyślał. Nie wiedział, dlaczego nie ugryzł się wcześniej w język; dlaczego zdradził jej, co do niej czuje. Miał nadzieję, że wkrótce ulewa minie. Może uda mu się opuścić przed świtem namiot i Marisa nawet się zorientuje, że dzieliła z nim swe „łóżo”?

Pilnując się, żeby nie potrącić żadnego z wbitych w ziemię prętów podtrzymujących brezentową płachtę i żeby krople deszczu, które ściekały mu z głowy, nie zamoczyły Marisy, obrócił się i wysmarował maścią jej biedne, pokryte bąblami pięty.

Wydała z siebie cichy pomruk, coś pomiędzy jękiem a westchnieniem. Ten niski, ochryple dźwięk sprawił, że Tylera przeniknął dreszcz.

Bał się zostać z nią w namiocie. I niewiele brakowało, aby wyszedł z powrotem na deszcz. Denerwowało go, że jego ciało reaguje na bodźce instynktownie, że on sam nie ma nad nim kontroli. W innej sytuacji zabiegałby o względy Marisy, próbowałby ją oczarować, uwieść. A gdyby już oboje zaspokoili swoje ża-

dze, oszczędłby, wiedząc, że żadne z nich nie oczekuje od partnera niczego więcej.

Teraz jednak nie mógł sobie pozwolić na takie zachowanie. Wyciągnąwszy się na wznak, wpatrywał się w widoczną przez szparę czarną otchłań, którą od czasu do czasu rozjaśniała błyskawica, i powtarzał sobie, że ma dużo ważniejsze sprawy na głowie niż seks. Od powodzenia misji zależało życie człowieka, któremu zawdzięczał to, że sam żyje.

Mimo że starał się myśleć o Westinie, wciąż słyszał oddech Marisy, czuł bijące od niej ciepło - ich ciała, jej suche, jego mokre, dzieliło dosłownie kilka centymetrów - wdychał zapach jej skóry i włosów świeżo umytych w rzece.

Leżał bez ruchu, usiłując zasnąć.

Liczył, ile minut mija między jednym wyładowaniem elektrycznym a drugim. Czas między kolejnymi błyskawicami powoli się wydłużał; wreszcie burza ustała.

A on wciąż leżał i dumał.

Leżał, pożądając śpiącej obok dziewczyny. Wiedział, że nie może jej zgarnąć w ramiona.

Nie mógłby, nawet gdyby jej ufał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Cichy, senny głos rozległ się tuż przy jego uchu:

- Co robisz? Co ty najlepszego wyprawiasz?

W prowizorycznym namiocie panował spokój, na zewnątrz jednak przyroda budziła się do życia, a raczej była już dawno obudzona. Ptaki świergotały wesoło, mały skrzeczały...

Przez moment wydawało się Tylerowi, że on i dziewczyna, którą trzyma w ramionach, są jedynymi ludźmi na świecie.

Ciemne, lekko ukośne oczy Marisy były zaspane. I niewiarygodnie piękne.

Tyler przeciągnął się.

- Cholera, jestem na to za stary - mruknął. Był sztywny i obolały.

Z trudem powstrzymał ręce, aby nie zawędrowały tam, gdzie przed chwilą leżały, jedna na biodrach, druga na pośladkach Marisy. Nakazał im, aby spoczęły na jej ramionach. .

Po chwili delikatnie odepchnął ją od siebie.

- Co robię? - powtórzył pytanie, uśmiechając się pod nosem. - Wstaję.

Na szczęście deszcz przestał padać. Niebo rozpo-godziło się; jasne promienie słońca powoli przedzierały

się przez korony drzew. Chociaż zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, spoznał w oczy Marisy; ciekaw był, czy kiedy kocha się z mężczyzną, jej tęcza stają się bardziej złociste, czy bardziej czekoladowe. Wiedział, że za minutę lub dwie Marisa oprzytomnieje do końca, a wtedy ucieknie od niego, jakby był najbardziej odrażającym typem na świecie.

Na razie jednak była senna, ciepła, mruca i bardzo ponętna, gdy tak leżała w obszernej koszuli i luźnych spodniach od dresu. No dobrze. Świadom zagrożenia, uznał, że czym prędzej powinien opuścić namiot.

- Nie zapomnij o opatrunkach na pięty - powiedział, podnosząc się. - Dziś czeka nas piesza wędrówka.

Wyszedł na zewnątrz. Oprawdając go wzrokiem, Marisa przetarła oczy. Hm, najwyraźniej spał razem z nią w namiocie. Dziwne, że się nie obudziła, kiedy wśliznął się do środka.

Sama nie wiedziała dlaczego, ale bardzo jej to przeszkadzało. Chociaż nie, nieprawda. Co innego jej przeszkadzało. Miejsca pod brezentem ledwo starczało dla jednej osoby. Jakim cudem tak potężnie zbudowany facet zmieścił się obok? Właśnie to jej nie dawało spokoju.

Była trochę sztywna od spania na twardej ziemi, ale tego mogła się spodziewać. Nie spodziewała się natomiast, że będzie taka wyspana i wypoczęta.

Skonfundowana, pokręciła głową. Lubiła jasne sytuacje. Nie lubiła, gdy nie miała kontroli nad otaczającym ją światem. Wzdychając ciężko, usiadła i zaczę-

ła oglądać swoje pięty. Bolały koszmarnie. I koszmarnie wyglądały. Zauważyła, że są posmarowane maścią, a dobrze pamiętała, że weszła do namiotu, zostawiając tubkę przy ognisku. Nawet jej nie otworzyła.

Wniosek nasuwał się sam. Pięty posmarował jej Tyler. A ona to również przespała.

- Jesteś moja. - Gerald poczerwieniał ze złości, kiedy po raz kolejny odmówiła wytatuowania sobie jego imienia. Wszystko zaczęło się niewinnie, od żartu. Przynajmniej jej się tak wydawało. Przekonała się, że to nie żarty, kiedy Gerald przyprowadził do domu specja od tatuażu, gotowego natychmiast przystąpić do dzieła. Uciekła do swojego pokoju i zamknęła drzwi na klucz. Zamek w drzwiach uchronił ją od tatuażu, ale nie od Geralda, który włamał się do środka, kiedy spała. Nie słyszała, jak majstrował przy zamku. Obudziła się przerażona, gdy usiłował wśliznąć się pod jej koszulę nocną. Ścisnął w ręce gruby czerwony flaster. Zaczęła się wyrwać. Przygniótłszy ją do materaca, napisał na jej biodrze swoje imię.

Potrząsnęła głową, starając się pozbyć nieprzyjemnych wspomnień. Wołała nie myśleć o tym, co miało miejsce później.

Posuwając się na czworakach, zaczęła opuszczać namiot. Nagle wyczuła pod dłonią coś miękkiego. Spojrzała w dół. Stanik i majtki. Najwyraźniej Tyler je tu położył.

Ścisnął ją w ręce, wyszła na dwór. Tyler stał przy kępie drzew, przepakowując sprzęt. Miał na sobie te same zielone spodnie w kamuflażowy deseń co wczoraj.

raj, wygodne buty na grubej podeszwie i luźną beżową koszulę. Słyszając za sobą szmer, obejrzał się przez ramię, po chwili jednak wrócił do swoich zajęć.

Wszystko było mokre, chociaż już nie padało. Marisa domyśliła się, dlaczego Tyler postanowił spędzić noc w namiocie. Nie kierowały nim żadne zdrowe pobudki, po prostu nie chciał moknąć na deszczu. Nic dziwnego.

Powinna była się ucieszyć.

Na ziemi, przy wejściu do namiotu, zostawił jedną z koszul, by służyła za wycieraczkę; zresztą nosiła ślady jego stóp. Marisa wytarła nogi, po czym wsunęła palce w buty, które stały tuż obok. Z powodu poranionych pięt nie była w stanie normalnie włożyć butów. Zdawała sobie sprawę, że gdyby Tyler nie zadbał o nie, byłoby znacznie gorzej.

Jakoś nie podejrzewała go o współczucie, troskliwość czy dobre serce. Nie, nim powodują raczej względy praktyczne, zwykły oportunizm, uznała i oddaliła się za potrzebą.

Kiedy wróciła na teren obozowiska, słońce było już nieco wyżej na niebie. Tyler najwyraźniej usiłował zmieścić cały potrzebny na drogę bagaż do dwóch toreb: małego plecaka, który nosił wczoraj, i drugiego większego. Przez moment Marisa zastanawiała się, skąd się wziął ten większy plecak, bo nie widziała go wcześniej, ale po chwili zorientowała się, że to jedna z brezentowych toreb, które wydobył z samolotu, tyle że paski ma teraz inaczej zamontowane.

W trakcie tych paru minut, kiedy jej nie było, znikł namiot. Ale nie tylko namiot; również coś jeszcze.

- Gdzie łódź?

- Nie ma - odparł, nie przerywając zapinania koszuli.

- Dziękuję za wyjaśnienie - oznajmiła kwaśno. - Tyle to sama zauważyłam. - Podała mu mydelniczkę, którą wzięła ze sobą, zanim oddaliła się do lasu. - Spytałam, gdzie jest.

- Nie będzie już nam potrzebna.

Ponieważ nigdy niczego jej nie zdradzał, nie zdziwiła jej ta odpowiedź. Domyśliła się, że wypuścił z łódki powietrze, a silnik albo dobrze ukrył, albo zniszczył.

Myjąc w rzece ręce, przy okazji zamoczyła potargane włosy, żeby je łatwiej rozplatać. Teraz zaplotła warkocz, a jego koniec związała podłużnym paskiem materiału z rękawa koszulki. Drugi rękaw wykorzystowała jako myjkę. Dzięki porannym ablucjom - mimo zbyt obszernych spodni i koszulki z oberwanymi rękawami - może pokazać się ludziom na oczy.

Zostało jej jeszcze jedno do zrobienia: pięty. Obok płaskiego kamienia, na którym wczoraj odpoczywała przy ognisku, zobaczyła maść, kilka plastrów oraz czyste, suche skarpety. Kiedy więc Tyler zajmował się swoimi sprawami, ona usiadła na kamieniu i sięgnęła po tubkę z maścią. Gdy skończyła opatrywanie ran, okazało się, że buty trochę ją cisną, ale w sumie nie jest najgorzej. Zresztą co ma zrobić? Iść boso? Odłożywszy na bok maść i plastry, posmarowała ręce środkiem przeciwko owadom, który Tyler specjalnie zostawił na wierzchu, a twarz kremem z filtrem przeciwsłonecznym.

Zaburczało jej w brzuchu, i to tak głośno, że Tyler obejrzał się przez ramię. Po chwili rzucił jej batonik - przyjęła go z wdzięcznością, nie krygując się i nie zadzierając nosa - po czym wskazał na leżącego przy plecaku banana, którego wcześniej nie zauważyła.

Na widok owocu niemal podskoczyła z radości.

- O rany! Skąd go wzięłeś? - spytała z pełnymi ustami.

Banan był zbyt miękki, zbyt dojrzały; w domu taki owoc wylądowałby w koszu na śmieci, ale teraz... teraz zjadała go ze smakiem, aż jej się uszy trzęsły.

- Wyrwałem z łapy małpie.

- Jasne. - Oblizła się ze smakiem, po czym spojrzała z zainteresowaniem na nieduży przedmiot, który trzymał w ręce. - Co to? Pager? Zabrałeś w dżungłę pager? Czyś ty oszalał?

Rozprostował dłoń, ukazując małe, kwadratowe urządzenie.

- To nie jest pager - wyjaśnił. - To odbiornik GPS.

Nie podobał mu się błysk, jaki dostrzegł w oczach dziewczyny.

- Widziałam kiedyś coś takiego. Jeden z bywalców restauracji, w której pracuję, ma podobne urządzenie, tylko znacznie większe, rozmiarów pilota do telewizora. Mówił, że zawsze zabiera to z sobą, kiedy rusza samotnie w góry.

- Tak, to przydatny gadżet - powiedział spokojnie Tyler, chcąc ugasić jej podekscytowanie. Nie zdołał.

- Możesz się nim posłużyć, żeby wezwać pomoc?

- To nie my potrzebujemy pomocy, lecz Westin.

Zmarszczyła czoło.

- Wiem, już to mówiłeś. Ale gdyby nas stąd wyciągnięto, szybciej dotarlibyśmy do Westina. A czas odgrywa rolę, prawda?

- Posłuchaj, Z tym się trzeba bardzo ostrożnie obchodzić, wyłącznie w sytuacjach awaryjnych. Inaczej ściagniemy sobie na głowę bandytów. - O ile już się tu gdzieś nie czają, dodał w myślach.

Pokazanie Marisie urządzenia było ryzykownym posunięciem, na które zdecydował się całkiem świadomie. Oczywiście nie wspomniał jej, że jest to nie tylko odbiornik, ale również nadajnik; i że zamierza się nim posłużyć, aby wydostać się z Westinem z la Fortuny.

- Dlatego wczoraj wolałem wejść na górę i sprawdzić, gdzie jesteśmy. Nie chciałem, by ktokolwiek przechwycił sygnał.

Marisa była inteligentna. Wiedział, że reszty sama się domyśli. Jeżeli chce pomóc terrorystom, podejrzewał, że przystąpi do działania dziś, najpóźniej jutro. On zaś z każdą godziną nabierał coraz większej pewności, że są śledzeni. Że ludzie z El Jefe świetnie się orientują, że przybył do Mezcai z misją ratunkową.

Psiakrew! Najpierw pojmano Westina, co samo w sobie było dość niezwykłe. Potem ciężko raniono Luke'a, który ruszył mu na ratunek. A teraz jemu zestrzelono samolot i próbowano uniemożliwić dotarcie do przyjaciela.

Tyler nie wierzył w zbiegi okoliczności, zwłaszcza w powtarzające się zbiegi okoliczności. Jeżeli Marisa

współpracuje z wrogiem, chciał, żeby ujawniła swoje prawdziwe oblicze, póki sąjeszcze daleko od la Fortuny.

- Słusznie - przyznała. - Nie pomyślałam o tym.

Straciwszy zainteresowanie niewielkim urządzeniem, które ścisnął w dłoni, zwinęła skórkę od banana i cisnęła ją w krzaki. Potem ponownie skierowała na niego wzrok... i zamarła.

Tyler chował nadajnik do kieszeni, kiedy raptem skoczyła w przód i złapała leżącą na ziemi maczetę.

Zastygł bez ruchu Zaczęło się, przemknęło mu przez myśl. Chciał, żeby przestała grać i ujawniła swoje prawdziwe oblicze. Zrobiła to. Sądził jednak, że będzie próbowała wykraść mu nadajnik, a ona... Napiął mięśnie, szykując się do odparcia ciosu. Wiedział, że bez trudu sobie z nią poradzi. Przez moment nawet czuł wyrzuty sumienia, bo wcale nie chciał wyrządzić jej krzywdy.

Wzięła zamach. Tyler odchylił się. Widział tylko błysk stali. Szerokie ostrze śmignęło koło jego twarzy i wbiło się w drzewo, dosłownie kilka centymetrów za jego plecami.

Ledwo zdążył zakląć siarczyście pod nosem, kiedy Marisa, wzdrygając się ze wstrętu, cofnęła się parę kroków. Odwróciwszy się, Tyler ujrzał na gałęzi jaskrawo ubarwionego węża, który przyszpilony maczetą do pnia, wił się jak szalony. Marisa wyglądała tak, jakby miała ochotę zwymiotować.

Ogarnęły go wątpliwości - które znikły po sekundzie - że może myli się, podejrzewając ją o sympatyzowanie z El Jefe.

Po chwili dokończył to, co ona zaczęła. Wąż opadł martwy na ziemię, stając się pożywieniem dla innych zwierząt zamieszkujących dżunglę.

Marisą wciąż wstrząsały dreszcze.

- Znałam chłopca, który umarł od ukąszenia jednego z tych gadów - szepnęła, wzdygając się na samo wspomnienie. - Miał tylko dziewięć lat. Od tamtej pory nienawidzę dżungli. - Przerzuciła warkocz przez ramię. - Chcesz, żebym którąś wzięła? — spytała, wskazując na plecaki.

Jest nie tylko śliczna, inteligentna, ale także rozsądna, odważna i praktyczna. Nie miał ochoty podziwiać jej zalet, ale trudno było ich nie zauważyć.

Wziął większy plecak, jej podał mniejszy. Przez chwilę trzymała go w ręku, jakby sprawdzając wagę, potem wsunęła do bocznej kieszeni nietknięty baton, maść antyseptyczną, krem przeciwsłoneczny oraz środek owadobójczy.

- A reszta rzeczy? - spytała.
- Zbędny balast.
- Tak jak moja walizka?
- No właśnie.

Wytarł maczetę do sucha i schował do pochwy. Musi mieć się na baczności. W dalszym ciągu podejrzewał, że Marisa, działając w zмовie z wrogiem, zamierza go zaatakować czy jakoś unieszkodliwić. Z drugiej strony, gdyby tak naprawdę było, chyba nie zabiłyby jadowitego węża; poczekałyby, aż ten wykona za nią brudną robotę.

Wrzuciwszy „zbędny balast” do wody, przez mo-

ment Tyler patrzył, jak wszystko znika: część rzeczy poszła na dno, część porwał prąd. Usatysfakcjonowany, zerwał duży liść palmowy i wycofując się z terenu obozowiska, dokładnie zamiatał ziemię. Starał się zatrzeć wszelkie ślady swojej i Marisy obecności nad rzeką. Liścia pozbył się dopiero wtedy, gdy brzeg stał się kamienisty.

- Ale z ciebie paranoik, Murdoch - mruknęła.

- Przezorności nigdy nie za wiele - odparł. - Z drugiej strony, co ma być to będzie.

Marisa wzruszyła ramionami. Przez kilka minut szli w milczeniu, ostrożnie stąpając po ostrych, osuwających się kamieniach.

Tyler pierwszy przerwał ciszę.

- Niezła jesteś W rzutach maczetą.

Słyszał za sobą odgłos jej kroków. Podeszwy butów miała całkiem gładkie. Tylko tego im trzeba było, żeby pośliznęła się i zwicznęła nogę w kostce.

- Czy to twój sposób mówienia „dziękuję”? - spytała lekko zasapana. - Dobrze odczytałam twoje intencje?

Wykrzywił usta.

- Czytaj je sobie, jak chcesz.

- *Un idiot entete.*

Nietrudno było odgadnąć sens jej słów.

Idąc z tyłu, Marisa nie widziała uśmiechu, jaki wypełził na wargi Tylera.

- Murdoch prosił o trzy tygodnie.

Ricky Mercado skinął głową. Nie patrzył na brytyjskiego oficera, który skierował do niego te słowa.

To, że Tyler nie dotarł na umówione miejsce przy mezcajskiej granicy, gdzie miał zamienić samolot na dżipa, wcale jeszcze nie znaczy, że misja ratunkowa zakończyła się niepowodzeniem.

- Zgodnie z planem odebraliśmy na lotnisku papiery panny Rodriguez. - Czyli wtedy wszystko szło po ich myśli. - Trzy tygodnie to aż nadto. Na pewno sobie poradzi - rzekł Ricky.

Znając Tylera, powinien uwinąć się szybciej.

Chyba że wpadł w ręce wroga i nie żyje.

- Złapaliśmy wczoraj kolejną grupę mężczyzn przekraczających granicę. Usiłowali zastraszyć studentów, którzy podróżowali z Belize do Meksyku. Nie będziemy tolerować działań El Jefe na terenie Belize.

Ricky ponownie skinął głową.

- Tak, słyszałem o aresztowaniach. Ale pański rząd zgodził się poprzeć misję Murdocha. Podobnie jak Stany Zjednoczone. Kiedy Murdoch uwolni Westina, pan i pańscy ludzie możecie wznowić akcję mającą na celu zniszczenie El Jefe. To groźna organizacja terrorystyczna; wszyscy pragną jej likwidacji.

Wszyscy, a zwłaszcza pułkownik Westin, który został oddelegowany przez rząd Stanów Zjednoczonych do współpracy z Brytyjczykami stacjonującymi w Belize. Razem mieli zniweczyć plany organizacji, zapobiec szerzeniu się zła. Każdym kierowały inne pobudki, ale cel był ten sam.

- Nawet nie wiecie, czy Murdoch i towarzysząca mu kobieta nadal żyją. Odkąd znaleźliśmy szczątki samolotu, którym lecieli, nie mieliśmy od nich żadnych

wiadomości. A szczątki wyraźnie wskazują na to, że w chwili zderzenia nastąpił wybuch.

- Trzy tygodnie - powtórzył Ricky, spoglądając na drugiego oficera, który bez słowa przysłuchiwał się rozmowie. Tyler faktycznie nie dawał znaku życia, ale on, Ricky, absolutnie nie wierzył w najgorszy scenariusz. - Jeśli choć dzień wcześniej pošle pan żołnierzy na teren obozu, Westin na pewno zginie. A wtedy, mogę to panu zaręczyć, wybuchnie afera międzynarodowa, której wszyscy staramy się uniknąć.

Spojrzenie Brytyjczyka stało się chłodne.

- Pan mi grozi?

Ricky wzruszył ramionami. Było mu wszystko jedno, co jego rozmówca sobie pomyśli. Zerknąwszy w bok, wyrżał przez okno.

- Trzy tygodnie - oznajmił cicho.

- Przecież to most.

- Zwariowałaś? To jakaś pieprzona starożytna konstrukcja wzniesiona przez Majów.

Marisa podparła rękę na biodrze i zmierzyła Tylera zniecierpliwionym wzrokiem. Słońce wisiało wysoko na niebie; było piekielnie gorąco i parnie. Chociaż nie miała zegarka, wiedziała, że wędrują bez przerwy od wielu godzin. W ciągu ostatnich kilku dni nauczyła się trafnie odgadywać długość trwania marszu; miarą był ból, jaki czuła w nogach.

- Słuchaj, Murdoch. Jeśli przejdziemy tędy, skrócimy trasę o kilka czy kilkanaście kilometrów. Inaczej musimy obejść całą górę.

- Jeżeli wejdziemy na to, skończymy tam. - Wskazał głową na głęboką przepaść.

- Wcale nie - sprzeciwiła się. - Tu wszystkie mosty wyglądają podobnie. One są naprawdę znacznie solidniejsze, niż się człowiekowi wydaje.

- Nic z tego.

Wyciągnął z plecaka lornetkę. Marisa ma rację: jest to droga na skróty, a oni rzeczywiście muszą przedostać się na drugą stronę. W dodatku im szybciej to zrobią, tym lepiej, pomyślał, wpatrując się w poruszający się w oddali mały punkcik. Człowiek. Tak, na pewno.

Tyler wyraźnie widział jego jasne włosy - lub beżowy kapelusz - odcinające się od soczystej zieleni. Ze dwa albo trzy razy zobaczył też błysk, kiedy słońce odbiło się o metalową lufę karabinu. Punkcik stawał się coraz większy; uzbrojony mężczyzna szedł w ich kierunku.

- Znajdziemy inne przejście...

Odjawszy lornetkę od oczu, odwrócił się do Marisy i z przerażeniem spostrzegł, że dziewczyna stoi na wąskim moście zawieszonym nad przepaścią.

- Cholera jasna! Marisa, wracaj natychmiast!

- Myślałam, że taki wielki, silny wojak jak ty niczego się nie boi! - zawołała, ostrożnie posuwając się naprzód. Ręce trzymała zaciśnięte na postrzępionych linach, które służyły za poręcze.

Tyler wepchnął lornetkę do plecaka i ruszył za nią.

- Psiakrew, chyba upadłem na głowę - mruknął. Most chybotął się i skrzypiał żałośnie pod jego ciężarem. - Mariso!

Pokonała już niemal połowę drogi.

- Tyler! Czy wiesz, że...

Nie dokończyła. Z jej piersi wydarł się przeraźliwy krzyk. Deska, na której postawiła nogę, najwyraźniej była spróchniała. Rozległ się trzask; noga Marisy zapadła się po kolano. Tylerowi przeszły po skórze ciarki. Czym prędzej przybrał pozycję na czworaka, żeby jakoś rozłożyć ciężar ciała.

- Cholerna baba. Szlag by ją trafił - powtarzał przez zaciśnięte usta, czołgając się po chybottliwym moście. - Trzymaj się liny!

- A myślisz, że co robię? - spytała, oddychając ciężko. Prawą ręką obejmowała złamaną deskę, lewą uczepona była liny. - Do licha, druga deska też zaczyna pękać.

- Staraj się na nią zbytnio nie napierać.

Wędrowka na czworakach po moście, który - zdaniem Tylera - stanowił śmiertelną pułapkę, zdawała się trwać bez końca. Od Marisy wciąż dzieliło go kilka metrów, ale przynajmniej już widział jej twarz. Była biała jak płótno. W dodatku co rusz spoglądała w dół. Wiedział, że musi odciągnąć jej uwagę od tego, co się dzieje tu i teraz.

- Opowiadałem ci o tym, jak któregoś pięknego dnia ja i moi przyjaciele znaleźliśmy niemowlę na polu golfowym?

Zamknęła oczy. Kiedy po chwili je otworzyła, już nie patrzyła w przepaść. Patrzyła na niego.

- Dobrze wiesz, że nie. Bo nic takiego nigdy się nie zdarzyło. Po prostu okłamujesz mnie i tyle. - Głos miała niewiele donośniejszy od szeptu.

Pokonał kolejną deskę.

- Masz rację, nie opowiadałem. Ale to prawda, wcale nie zmyślam. W klubie golfowym, do którego należę, przy dziewiątym dołku znaleźliśmy dziecko w nosidełku. Dziewczynkę, owiniętą kocem po czubek nosa. Do koca przyczepiona była kartka.

- Jak można porzucić dziecko? Kto by coś takiego zrobił?

- Tego jeszcze nikt nie wie.

Kolejna deska za nim. Był to długi i żmudny proces, ale powoli zbliżał się do Marisy. Most co rusz się kołysał i niczym chory starzec przykuty do łóżka wydawał z siebie dziwne pomruki. Tyler starał się nie okazywać zdenerwowania. Spokojnym tonem, jakby byli na spacerze w parku, opowiadał dziewczynie o małej znajdzie. Jego spokój był oczywiście pozorny. Później, gdy już dotrą na normalny, stabilny grunt, zamierzał udusić Marisę własnymi rękami.

- Mój przyjaciel Flynt i jego żona opiekują się maleństwem - kontynuował. - Przynajmniej dopóki się nie dowiemy, kim jest tatuś dziecka.

- Ma szczęście, maleństwo. Że je znalezione. Że nie trafiło do domu dziecka. - Zamknęła oczy. Widział, że nie może powstrzymać drżenia. - Jakoś nie wyobrażam sobie ciebie grającego w golfa.

- Dlaczego? Bo to sport dla dżentelmenów?

Zdobyła się na uśmiech, ale z jej oczu wciąż wycierał strach.

- Zgadłeś.

- Nie denerwuj się, Mariso. Nic złego ci się nie

stanie, zobaczysz. - Cały czas przemawiał do niej uspokajająco. - Jesteś bardziej na moście niż poza nim. I już bardziej się nie zapadasz, prawda? No widzisz. Po prostu trzymaj się mocno i czekaj na mnie. Zaraz do ciebie dojdę. Byłaś kiedykolwiek w cyrku?

Skinęła głową. Nie odrywała wzroku od jego oczu.

- Nie powinnam była na niego wchodzić. Pewnie za późno, żeby ci przyznać rację?

- O wiele za późno. - Doczołgał się do złamanej deski. - Teraz słuchaj uważnie. Chwyć cię za nadgarstki. Ty zrób to samo: chwyć mnie za moje. Będziemy jak cyrkowcy wykonujący akrobacje na trapezie. Masz się mocno trzymać, a ja cię powoli wciągnę na górę. Jasne?

Zacisnął palce wokół jej nadgarstków. Marisa z trudem przełknęła ślinę. Wiedział, o czym myśli: o tej krótkiej chwili, kiedy będzie musiała puścić linę i złapać się jego rąk.

- Nie pozwolę ci spaść - obiecał.

Szukała w jego oczach potwierdzenia.

- Mimo że mi nie ufasz?

Zacisnął mocniej dłonie. Jak na osobę stosunkowo wysoką i gdzieś tam zaokrągloną, wydała mu się niezwykle delikatna i krucha.

- Mimo. No, na co czekasz? Chwyć moje nadgarstki, zanim oboje wylądujemy na dole.

Myśl o upadku zmobilizowała ją do działania. Przez moment miał wrażenie, jakby oglądał film w zwolnionym tempie. Marisa przymknęła powieki. Potem poruszyła bezgłośnie ustami. Wreszcie, zebrawszy się

w sobie, zacisnęła jedną rękę wokół jego nadgarstka, potem drugą.

Wciągnął głęboko powietrze i chwilę tkwił bez ruchu, przyzwyczajając się do nowego ciężaru.

- Grzeczna dziewczynka - szepnął.

Uśmiechnęła się z zażenowaniem.

Nagle, zdobywając się na znaczny wysiłek, podciągnął ją. Oswobodziwszy nogę ze spróchniałej deski, wczółgała się na wąski, chwiejny most zawieszony w pół drogi do nieba.

- Przepraszam. Tyler, przepraszam - powiedziała głosem przepojonym wdzięcznością.

Nie odezwał się. Mógłby tak leżeć koło niej przez miesiąc, czując jej ciało obok swojego, słysząc jej oddech, wdychając jej zapach. Ale to jest nierealne. Powoli zbliżył jej ręce do lin.

- Nie wstawaj - rzekł. - Jesteśmy na środku tej cholernej huśtawki. Musimy się dostać na drugą stronę. Równie dobrze możemy czołgać się do przodu, co w tył. Proponuję, byśmy ruszyli naprzód.

Uznał, że droga, która ich czeka, nie powinna być bardziej niebezpieczna niż ta, którą już pokonali.

Zanim dotarli do celu, jeszcze dwie deski pękły z trzaskiem i spadły w przepaść. Kiedy wreszcie poczuli solidny grunt pod nogami, Tyler odciągnął Marisę jak najdalej od krawędzi. Czuł, jak buzuje w nim adrenalina.

- Jesteś szalona, wiesz?

- Tyler, przepraszam. Ja naprawdę nie...

- Przestań. Nic nie mów.

Wsunał rękę w jej włosy i zamknął jej usta pocałunkiem. Zesztywniała; ponownie zacisnęła ręce na nadgarstkach Tylera, zamierzając go od siebie odepchnąć. Ale jego usta były takie ciepłe, takie miękkie, że po prostu nie umiała im się oprzeć. Zamiast go odepchnąć, przysunęła się bliżej.

Szepnęła jego imię, potem zaczęła cichutko jęczeć z rozkoszy. Wyłączyła umysł. Przestała myśleć o tym, gdzie jest i z kim, o tym, jaki cel im przyświeca i kiedy go osiągną. Skupiła się na emocjach. Na doznaniach. Na rozkoszy.

Czuła dotyk jego warg i języka. Czuła, jak ją muskają, pieścą, skubią, gryzą. Czuła ich smak. I nagle uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy w życiu nikt jej tak nie całował.

Kiedy wreszcie oderwał usta od jej warg, musiała chwycić się jego koszuli, żeby nie upaść - tak bardzo kręciło się jej w głowie.

- Tyler... - Oparłszy czoło o jego pierś, przełknęła ślinę, po czym lekko zwilżyła wargi. - Nie powinienem był tego robić.

Nabrał powietrza. Jego klatka piersiowa stała się jeszcze większa.

- Pewnie nie - przyznał zmienionym głosem.

Ledwo to powiedział, ponownie przywarł ustami do jej ust. Jedną ręką gładził ją po karku, drugą objął w pasie i przytulił do siebie. Ona zaś... po prostu całą sobą reagowała na jego pieścizoty i pocałunki. Nie była w stanie ukryć podniecenia. On zresztą też nie.

Plecak zsunął się jej z ramion i spadł na ziemię,

wzbijając chmurę kurzu. Palce Tyłera zakradły się jej pod koszulkę, błędziły, szukały...

Nogi się pod nią ugięły. Na wszelki wypadek przytrzymał ją mocniej, by nie upadła. Chwilę później ściągnął z niej koszulę i przeszedł z pocałunkami w inne miejsca: delikatnie dotykał językiem jej szyję, obojczyk, jedno ramię, drugie, dekolot. Stała z odchyloną głową, wpatrując się w bezkres nieba. Serce waliło jej młotem, świat wirował przed oczami.

Ich usta znów do siebie przywarły, a ręka zawędrowała do zapięcia przy staniku. Trwało to nieskończenie długo, ale w końcu udało mu się rozpiąć stanik. Wstrzymała oddech, kiedy Tyler zniżył wzrok. Błysk pożądania w jego oczach uspokoił ją; najwyraźniej podobały mu się kobiety hojnie obdarzone przez naturę.

Zaczęła rozpinąć guziki jego koszuli; w pośpiechu jeden oderwała. Chciała przytulić się do nagiego torsu, tak by nic ich nie dzieliło. Rozsunęła poły na bok i raptem jej oczom ukazał się... nie, wcale nie wspaniale umięśniony męski tors, lecz widoczny - mimo ciemnego owłosienia na piersi - ogromny siniec w kolorze niebieskim, żółtym i zielonym. Tak wielkiego jeszcze nigdy w życiu nie widziała.

Przerażona odskoczyła w tył. Po chwili, włożywszy z powrotem stanik, jeszcze raz odciągnęła na bok koszulkę Tyłera, chcąc mu się dokładniej przyjrzeć.

- Jesteś ranny!

Mruknął coś pod nosem. Usiłował objąć ją ponownie w pasie, ale cofnęła się.

- Mariso...

- Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

Zacęła delikatnie macać posiniaczone żebra. Choć dotyk miała lekki jak muśnięcie wiatru, miał ochotę wyć. Nie, nie z bólu. Z pragnienia. Z niedosytu. Bo chciał, by dotykała go wszędzie. Niestety, sprawy nieco wymknęły mu się spod kontroli.

- Naprawdę przez cały czas chodzisz ze złamanym żebrem?

Obeszła go wkoło, po czym stanawszy twarzą do jego pleców, ostrożnie ściągnęła mu z ramion plecak; zaaferowany pocałunkami i widokiem jej nagiej skóry, całkiem o nim zapomniał.

- Wcale nie jest złamane - odparł. - Jedyne stłuczone i posiniaczone. Do wesela się zagoi. A teraz wracaj tu, gdzie byłaś.

Nie wróciła.

- Jak to się stało? I kiedy? Czy tego dnia, gdy samolot się roztrzaskał? Przecież nie od razu siniak przybiera żółtawy kolor...

- Zgadza się, ale naprawdę nie mam pojęcia, o co uderzyłem.

- A skąd wiesz, że żebro nie jest złamane?

- Z doświadczenia. Wierz mi, złamane boli jak cholera. Moje jest tylko poduczone. - Zgarnął ją ponownie w ramiona i leciutko ugryzł w ucho. - Po prostu mały siniaczek...

Zadrzała. Kolana miała jak z waty.

- Tyler, nie powinniśmy...

- Wiem.

Rzeczywiście wiedział. I przyznawał jej rację: nie powinni. Z wielu powodów, choćby dlatego że nie przyjechał tu dla przyjemności, lecz po to, by wykonać konkretne, bardzo ważne zadanie. Jeśli Marisa współdziała z El Jefe, nie powinien się dziwić, jeżeli wbije mu nóż w plecy. Jeżeli nie współdziała, jeżeli naprawdę z jakichś sobie tylko znanych powodów towarzyszy mu w tej misji, wówczas jego obowiązkiem jest zapewnienie jej maksimum bezpieczeństwa.

Maksimum bezpieczeństwa... to znaczy, że powinien ją chronić nie tylko przed wrogiem, ale również przed samym sobą.

- Wiem - powtórzył. Wciągnął głęboko powietrze, jeszcze przez moment rozkoszując się dotykiem jej gładkiej jedwabistej skóry, po czym opuścił ręce i cofnął się o krok.

Podał Marisie koszulkę, którą zaledwie przed minutą z niej zdarł, a potem nieduży plecak.

- Poczekaj - zaprotestowała. - Nie tak szybko.

Ku swemu zdziwieniu zobaczył, że Marisa kuca przy większym plecaku i odpina paski.

- Na miłość boską, co robisz? - Kucnąwszy koło niej, zaczął wrywać jej z ręki ubranie i inne przedmioty, które wyciągała ze środka. - Jesteśmy na zbyt odsłoniętym terenie, aby tu rozbić biwak. A poza tym dopiero za kilka godzin zapadnie mrok.

- Wiem, nie jestem głupia - oburzyła się. - Ale mój plecak jest prawie pusty. Nie ma powodu, żebyś ty wszystko dźwigał.

Zaskoczony, przez dłuższą chwilę nic nie mówił.

Zanim się otrząsnął z szoku, Marisa część rzeczy schowała do swojego plecaka. A na przykład Sonya, która była równoprawnym członkiem zespołu, dopóki nie udowodniono jej zdrady, nigdy nawet nie zaproponowała pomocy w noszeniu czegokolwiek.

Nagle Marisa wyciągnęła dużą paczkę gumy do żucia, którą znalazła starannie owiniętą podkoszulkiem.

- A cóż to? Ani razu mi się nie przyznałeś, że mamy taki przysmak...

Chwycił gumę i wetknął z powrotem do plecaka.

- Dość tego, Mariso. Starczy.

Jego obcesowy, szorstki ton trochę zbił ją z tropu, ale nic nie powiedziała. W milczeniu, z obojętną miną, jakby nic się między nimi nie wydarzyło, zarzuciła plecak na ramiona, po czym poprawiła warkocz.

- Wciąż cię nie rozumiem, Murdoch - oznajmiła w końcu i energicznym krokiem ruszyła przed siebie.

W stronę słońca.

Przez chwilę, czując dziwny ucisk w dołku, obserwował jej oddalającą się sylwetkę. Seks jest wytchnieniem, rozładowaniem napięcia, przyjemnością. Tyler potrafił kochać się z kobietą i szybko o niej zapomnieć. Zdarzało mu się to dziesiątki razy. Potrafił też zrezygnować z seksu, gdy wymagała tego sytuacja. Zawsze na pierwszym miejscu stawiał pracę i obowiązki. Zwłaszcza pracę, której celem tym razem było zniszczenie organizacji terrorystycznej siejącej postrach na całym świecie.

Więc dlaczego teraz nie może się rozluźnić, przejść nad wszystkim do porządku dziennego? Co takiego ma w sobie Marisa, że ani na moment nie potrafi przestać o niej myśleć?

Prawdę mówiąc, sam siebie też nie rozumiał.

scandalous

ROZDZIAŁ SIÓDMY

A jednak śledził ich jasnowłosy facet.

Od przeprawy przez most minęły trzy dni, mimo to gość nawet nie próbował zmniejszyć między nimi odległości. Lecz czwartego dnia zmienił zdanie i postanowił podejść bliżej.

Obserwując obcego przez lornetkę, Tyler stwierdził, że mężczyzna wędruje samotnie i że gdyby chciał, potrafiliby się szybciej przemieszczać niż on z Marisą. Najwyraźniej czeka na odpowiednią okazję, aby wykonać ruch. Może - trzymając się z daleka - chce, aby nabrali złudnego przekonania, że nic im nie grozi? Może chce zobaczyć, dokąd zmierzają? A może czeka na umówiony znak od Marisy?

Ona jednak sprawiała wrażenie całkiem nieświadomej tego, że ktoś depcze im po piętach i ani razu nie próbowała przechwycić nadajnika.

Czwartego dnia spostrzegł, że facet przyśpieszył tempo. Nie znając pobudek, jakimi obcy się kierował, postanowił również wydłużyć krok, starał się jednak to tak zrobić, żeby Marisa niczego nie zaczęła podejrzewać.

Od dnia, gdy przekroczyli most, ani razu nawet nie otarli się o siebie; i on, i ona usiłowali zachować jak

największy dystans. Kiedy on rozbijał obóz, ona szykowała kolację z owoców i roślin, które zbierała podczas marszu. Nie miał pojęcia, jakie odprawia nad garnkiem czary-mary, w każdym razie posiłek był całkiem jadalny, a czasem nawet smaczny. Grunt, że nie musieli spożywać ryb. W ciągu dnia podjadali batony proteinowe, więc nie narzekali na głód. Niestety, batony powoli się kończyły.

Kiedy rozmawiali, na wszelki wypadek oboje starannie unikali tematu terrorystów i ich siedziby.

Dzięki rozmowom trochę lepiej zdołali się poznać.

Tyler słuchał z zainteresowaniem o różnych tłumaczeniach, jakimi Marisa się zajmowała, zupełnie natomiast nie potrafił jej sobie wyobrazić w różowym fartuszkach podającej klientom kawę i naleśniki. Obliczył, że musiała mieć dziewiętnaście, najwyżej dwadzieścia lat, kiedy poznała tego łajdaka, za którego omal nie wyszła za męża.

Sam z kolei opowiedział jej co nieco o swoim życiu w Mission Creek, o dwóch najpotężniejszych rodzinach w tym miasteczku, Carsonach i Wainwrightach, i o kolegach, z którymi zawsze - o ile dowództwo nie miało wobec niego innych planów - w niedzielne poranki grywał w golfa.

Niektórych opowieści Marisa słuchała z niedowierzaniem, jak na przykład tej o dziecku znalezionym przy dziewiątym dołku, ale Tyler przysiągł, że to prawda. Wybrał się z przyjaciółmi do klubu na golfa. Luke należał do tej zaprzyjaźnionej paczki, ale owego dnia nie było go z nimi, bo przedzierał się przez dżungłę

w Mezcai, usiłując odbić z rąk terrorystów pułkownika Westina. Wrócił do domu ciężko ranny i ku swojemu zdumieniu dowiedział się, że być może to on jest ojcem znalezionej maleństwa.

W pewnym momencie Marisa wyraziła zdziwienie, że Tyler, dotąd tak małomówny, nagle stał się tak rozmowny. Tyler zbył jej uwagę wzruszeniem ramion. Przecież nie mógł przyznać, że opowiadając o sobie, miał nadzieję, że ona zrewanżuje się tym samym. Że zdradzi mu prawdziwy powód, dlaczego towarzyszy mu w misji mającej na celu uratowanie Westina. Niczego takiego mu nie ujawniła, a jedynie rozbudziła w Tylerze ciekawość; pragnął poznać ją jeszcze lepiej'.

Im dłużej wędrowali, tym bardziej intrygował go wyraz smutku w jej oczach, który z każdym kilometrem coraz bardziej się pogłębiał. Co go powoduje? Czy pogłębia się dlatego, że powoli zbliżają się do terenów pozostających pod władaniem El Jefe? Czy może z jakiegoś innego powodu?

On nie potrafił tego odgadnąć.

Wiedział jednak, że musi zająć się facetem, który za nimi idzie. Nie może dłużej czekać. Tylko patrzeć, jak ich dogoni.

- Zatrzymamy się tutaj - oznajmił. - Trochę wcześniej niż zazwyczaj.

Marisa uniosła brwi zaskoczona, ale była zbyt zmęczona - na to właśnie liczył - żeby się sprzeciwić.

- To dobre miejsce - dodał. - Będziesz mogła wziąć prysznic...

Przystając przy Tylerze, Marisa ściągnęła plecak i spojrzała na wprost siebie.

- Wodospad... - rzekła cicho i nagle speszyła się. Przecież nie musi go o tym informować, sam doskonale to widzi. Chociaż trawiastą polaną, na której stali, dzieliło od wodospadu co najmniej pięćdziesiąt metrów, oboje czuli na twarzy wilgotne kropelki. - Czy... czy wiedziałeś, że tu trafimy?

- Chcesz wiedzieć, czy przypadkiem nie zabłądziłiśmy?

Nie zdołała się uśmiechnąć. Po prostu konała ze zmęczenia. A bez względu na to, czy Tyler orientował się, gdzie akurat przebywają, ona nie miała najmniejszych wątpliwości. Świetnie знаła to miejsce. Tyle razy bawiła się tu z siostrami i braćmi.

- Nie, wcale nie - odparła słabym głosem.

Jeżeli są tak blisko wodospadu, to znaczy, że od domu jej rodziców dzieli ich zaledwie kilka kilometrów. Innymi słowy, wcale nie podążają w kierunku la Fortuny.

Z wrażenia aż zakręciło się jej w głowie. Kiedy zachwiała się, Tyler odczytał to jako oznakę głodu. Rzucił na ziemię własny plecak i kazał jej na nim usiąść.

- Zaraz dam ci batona.

- Został tylko jeden.

Nie słuchając jej sprzeciwu, wydobył batona z dna drugiej torby i podsunął jej pod twarz.

- Jedz.

Odwróciła głowę, po chwili jednak wyciągnęła rękę

i przełamała baton na pół. Jedną połówkę zatrzymała, drugą wręczyła Tylerowi.

- Jeśli i ty zjesz.

Nie kłócił się, bo wiedział, że nic nie wskóra. Wrzucił swój kawałek do ust.

- Pójdę sprawdzić jutrzejszą trasę. Zostań tutaj. - Podał jej maczetę. - I pilnuj tego.

Poczuła ucisk w żołądku. Nie była w stanie nic przełknąć. Podejrzewała, że coś jest nie w porządku.

- Dlaczego?

- Dlaczego chcę sprawdzić jutrzejszą trasę? Bo wkrótce musimy dotrzeć do fortecy.

- Tyler, nie oszukuj. Coś jest nie tak, prawda? Co się stało?

- Nic.

Zna Tylera zaledwie tydzień, ale to nie ma znaczenia. W ciągu tego tygodnia przebywali ze sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zdołała dobrze poznać jego grymasy, spojrzenia, mimikę.

Mógł patrzeć na nią z powagą, a ona wiedziała, że się z niej śmieje. Tak było wczoraj rano, kiedy znalazła w bucie małą jaszczurkę i zaczęła krzyczeć przerażona. W kącikach ust Tylera pojawiła się drobna bruzda.

Wiedziała, kiedy go coś boli: przybierał wtedy kamienny wyraz twarzy.

Wiedziała, kiedy myśli o pocałunku, do którego doszło między nimi po przejściu przez wiszący most: zaciskał mocniej usta, a jego czarne oczy stawały się jeszcze czarniejsze.

Teraz zaś wiedziała, że Tyler kłamie.

Coś mu wyraźnie doskwiera; na pewno nie chodzi o ból w żebrach, o kończące się zapasy jedzenia, o coś, o czym rozmawiali podczas wędrówki.

Nie miała pojęcia, jak temu zaradzić, więc siedziała bez słowa, patrząc, jak Tyler poprawia w butach sznurówki, a potem przywiązuje do paska mały myśliwski nóż.

- Nigdy wcześniej nie sprawdzałaś trasy, którą dopiero będziemy szli - zauważyła.

Mruknął coś pod nosem. Brak odpowiedzi jeszcze bardziej ją wystraszył.

- Tyler...

- Odpocznij sobie ode mnie. Przez godzinę lub dwie. Kto wie, może się nawet za mną stęsknisz? - żartował. - Wrócę przed zmierzchem.

Przygryzłszy dolną wargę, odgarnęła z oczu włosy, po czym dźwignęła się na nogi.

- A jak nie wrócisz?

- To nie czekaj z kolacją. - Uśmiechnął się blado.

- Bardzo śmieszne. Już wolałam twoją cenną radę: „Nie wpadnij do wody”. - Powiedziała to, naśladowując głos Tylera i przybierając jego srogą minę.

Nie wytrzymał; rozbawiony, uśmiechnął się od ucha do ucha. Po raz pierwszy, odkąd go poznała, zobaczyła, że w obu policzkach ma cudowne dołeczki.

Patrzyła na niego jak zahipnotyzowana, po prostu nie mogła oderwać wzroku. Szeroko uśmiechnięty Tyler Murdoch to dopiero jest coś!

- Powiedz, Murdoch, ile masz lat?

- Trzydzieści pięć. Bo co?

Wzruszyła ramionami.

- Nic. Powinieneś się częściej uśmiechać, to wszystko.

- Mówisz jak baba.

Uniosła brwi.

- Bo nią jestem. Jeśli nie zauważyłeś...

- Spokojna głowa, kotku. Zauważyłem. - Odsunął się.

- Tyler... - Nie rozumiała, co ją do tego pchnęło, ale obiema rękami chwyciła jego dłoń. - Ufam ci, wiesz?

Wypowiadając te słowa, uzmysłowiła sobie, że to prawda. Bez względu na to, czy on wierzył w jej uczciwość i szlachetne intencje, ona miała do niego pełne zaufanie; Rwąca rzeka, spróchniałe deski w moście, niekończąca się dżungla - jakoś to wszystko spowodowało, że jej stosunek do Tylera uległ zmianie. I chyba właśnie świadomość faktu, że stał się jej kimś bardzo bliskim, przeraziła ją.

- Obiecuj, że wrócisz - poprosiła cicho.

Unióś palcem jej brodę.

- Hej, no przecież cię nie zostawię. Idę tylko rozejrzeć się po okolicy.

Zwilżyła wargi. Nie potrafiła zrozumieć własnego niepokoju. Dlaczego tak ją ściska w gardle?

- Przyrzekasz, że wrócisz? Nie pójdziesz beze mnie? Zmrużył oczy.

- Kim jesteś, Mariso?

Pytanie powinno było ją zdziwić, a przynajmniej zbić z tropu; tak się jednak nie stało.

- Kobieta. Marisą Elisą Santiago de Rodriguez - od-

parła szeptem. - Urodzoną tu, w Mezcai. Dawniej byłam tłumaczką, teraz jestem twoją towarzyszką podróży. - Przełknęła ślinę. - Obiecujesz, że do mnie wrócisz?

- Tak.

Zmusiwszy wargi do uśmiechu, puściła rękę Tylera.

- Dobrze, więc idź, a ja w tym czasie wezmę prysznic. - Spojrzała na koszulkę, którą miała na sobie. - Troszkę się odświeżę, umaluję, przebiorę. Dla odmiany proponuję na dziś stroje wieczorowe. Kolacja z fig i mango przy świeczkach...

- Tylko pamiętaj - przerwał jej Tyler. - Gdziekolwiek byś szła, masz brać z sobą maczetę.

Bez słowa pokiwała głową. Czuła się bezradna, zagubiona. Po chwili Tyler ruszył przed siebie, oddalając się pośpiesznie ledwo widoczną ścieżką.

Nie spuszczać oka z maczety, Marisa przeciągnęła oba plecaki nad lekko opadający brzeg. Jednakże wiele czasu minęło, zanim w końcu rozebrała się i weszła do wody.

Jedno nie dawało jej spokoju. Jeżeli Tyler chce sprawdzić jutrzejszą trasę, dlaczego nie wziął ze sobą lornetki?

- To chyba nie był najlepszy pomysł, żeby tu przychodzić - szepnęła do męża Josie Lavender Carson, ledwo przekroczyli próg mieszczącej się na terenie klubu Yellow Rose Cafe.

Flynt wysunął krzesło, pomagając swojej ciężarnej żonie usiąść.

- Kochanie, siedzenie w domu i wpatrywanie się w telefon nie sprawi, że Lena szybciej do nas wróci. Agenci FBI stają na głowie, żeby złapać porywaczy.

Łzy, które w ostatnim czasie tak szybko napływały Josie do oczu, znów zawisły jej na rzęsach. Kobieta ścisnęła Flynta za rękę. Zawsze wiedziała, że ma wspaniałego męża, ale dopiero tego dnia, gdy poszła do pokoju dziecka zobaczyć, czy się nie odkryło, i znalazła pustą kołyskę, przekonała się, jak bardzo potrzebuje siły Flynta, jego wsparcia i miłości.

Flynt odwzajemnił uścisk żony, po czym przycisnął usta do jej czoła, starając się ją uspokoić. Widząc zbliżającą się do stolika kelnerkę, ruchem głowy poprosił ją, aby jeszcze nie podchodziła. Byh umówienie na lunch z jego bratem, wypada więc poczekać na Matta.

- Odzyskamy naszą Lenę. Wierz mi, kochanie. - W ostatnim okresie słowa te wypowiadał kilka razy dziennie.

Josie zwilżyła wargi; z całej siły próbowała nie stracić nad sobą kontroli.

- Ilekroć zamykam oczy, widzę to słodkie maleństwo. Tamtego ranka wpięłam jej we włoski czerwoną kokardę. Lena ją uwielbia, słowo honoru. Po prostu rozpromienia się na jej widok. A czerwień tak ładnie pasuje do jej ciemnych loczków.

- Wiem, kochanie - szepnął Flynt.

- Boże, Flynt... Co będzie, jeżeli porywacz nie wie, że ona kocha brzoskwinie, a nienawidzi groszku? Co jeśli w ogóle nie da jej nic do jedzenia? Co jeśli Lena będzie głodna...

- Nie będzie. - Flynt usiłował pocieszyć żonę, choć oboje mieli świadomość, że wszystko może się zdarzyć.

Siedemdziesiąt dwie godziny temu ktoś zakradł się na rancho Carsonów i nie przejmując się domownikami, porwał małeństwo, które wszyscy zdążyli pokochać. Na samą myśl o tym Flynta ponownie ogarnęła wściekłość. To, że dziecko nie było jego, nie miało najmniejszego znaczenia.

Znalezienie Leny na polu golfowym oznaczało dla Flynta nowy początek. To małeństwo na zawsze odmieniło jego życie.

W czwórkę wybrali się do klubu: on, Tyler Murdoch, Spence Harrison oraz Michael O'Day, który zastępował Luke'a Callaghana. Doszli do dziewiątego dołka. Tyler chciał się ze wszystkimi zakładać, że pośle piłkę najdalej, Spence gotów był przyjąć zakład, pozostali dwaj, czyli on z Michałem patrzyli z zaciekawieniem, co z tego wyniknie, kiedy nagle usłyszeli dźwięk, który przypominał płacz dziecka.

Podeszli do rosnących nieopodal krzaków i zaniemówili z wrażenia. Pod rozłożystymi gałęziami leżało w nosidełku niemowlę. Do kocyka miało przyczepioną kartkę. Pismo było mało czytelne, rozmazane na skutek kropli wody skapujących z liści. Zdołali jednak odcyfrować, że ojcem małeństwa jest jeden z nich. Po matce oczywiście nie było siadu; podrzuciła dziecko i znikła.

Flynt postanowił zaopiekować się niemowlęciem do czasu, aż odkryją, który z nich faktycznie jest ojcem. Wszyscy czterej liczyli też na to, że może uda im się poznać tożsamość matki; musiała być bardzo zdespero-

wana, skoro dopuściła się tak przerażającego czynu. W każdym razie tego dnia życie Flynta zaczęło się od nowa.

Albowiem dzięki Lenie związał się z Josie, która stała się całym jego światem. Ona i dziecko, które nosiła w swym łonie. Już raz stracił rodzinę. Nie zamierzał pozwolić, żeby jakiś drań wyrządził krzywdę komukolwiek z jego najbliższych.

- Znajdziemy Lenę - zapewnił po raz kolejny żonę.

Miał nawet pomysł, gdzie należy rozpocząć poszukiwania.

U Wainwrightów.

Dlatego umówił się z Mattem na lunch. Matt ożenił się bowiem z Rose Wainwright. Flynt nie miał nic przeciwko żonie swojego młodszego brata - tym bardziej że Mattowi, odkąd poznał Rose, uśmiech nie schodził z ust - lecz co się tyczy reszty Wainwrightów, sytuacja wyglądała całkiem inaczej.

Nienawiść pomiędzy Carsonami a Wainwrightami wybuchła dwa pokolenia temu, kiedy głowami rodzin byli dziadkowie Matta, Flynta i Rose, i trwała do dziś. Flynt dałby sobie rękę uciąć, że za porwaniem Leny stoi ten uparty dureń Archy Wainwright. Co prawda agenci FBI twierdzili, że to mało prawdopodobne, ale co tam oni mogą wiedzieć.

Zauważywszy, że Josie wyłamuje ze zdenerwowania palce, pogłodził ją po twarzy, po czym skinął na kelnerkę, która niosła tacę z kawą oraz wodą.

- Dzień dobry, Daisy - przywitał ładną blondynkę,

kiedy podeszła do stolika. - Będzie nas dziś troje, czekamy jeszcze na Matta.

Uśmiechając się przyjaźnie, kelnerka postawiła na blacie trzy szklanki z wodą.

- Wiecie już, co chcecie zamówić, czy przynieść kartę? - spytała.

- Flynt, naprawdę nic nie przełknę - rzekła cicho Josie. - Mogłeś przyjść tu sam, a mnie zostawić w domu..!.

- O, nie. Jeszcze byś z nerwów jakąś krzywdę sobie zrobiła. Wolę cię mieć na oku. - Zerknął na Daisy, która starała się nie podsłuchiwać, choć było to trudne, skoro stała tuż przy jego krześle. - Dla żony poproszę szklankę mleka i małą sałatkę z kurczaka. Ja ze swoim zamówieniem wstrzymam się do przyjścia Matta. Kawy jednak chętnie bym się napił, jeśli dzbanek nie jest już pusty.

- Flynt...

- Josie, nie możesz się głodzić. Musisz myśleć o sobie i dziecku. Nie znajdziemy Leny szybciej tytko dlatego, że odmawiasz jedzenia.

Wykazując się reflekssem, złapał pusty kubek, który spadł z tacy, zanim rozbił się o podłogę.

- Przepraszam, że się wtrącam - rzekła Daisy. - Czy... czy coś się stało małej Lenie?

Flynt westchnął głośno. Kątem oka dostrzegł Matta i Rose wchodzących do kawiarni.

- Tak. Została porwana. - Samo słowo „porwanie” przyprawiało go o mdłości.

Daisy zbladła; na jej twarzy odmalował się wyraz przerażenia. Po chwili, bąkając coś o karcie dań, ru-

szyła pośpiesznie na zaplecze. Ułamek sekundy później do stolika podszedł Matt, który - tak jak wcześniej Flynt - wyciągnął krzesło, pomagając usiąść swojej żonie. Rose była w dziewiątym miesiącu ciąży i lada dzień spodziewała się rozwiązania.

- Wciąż żadnych wieści? - spytała Rose. Właściwie niepotrzebnie, bo wszystko mogła wyczytać z twarzy Josie.

Josie pokręciła przecząco głową.

- Wiem, Flynt, co myślisz. Twój ojciec też uważa, że mój maczał w tym palce - powiedziała Rose, zwracając się do szwagra. - Zadzwoił, oskarżając go o bezdusność. - Ignorując porozumiewawcze spojrzenie, jakie wymienili między sobą bracia, ciągnęła: - Zdaję sobie sprawę, że nasze rodziny się nie kochają, ale Wainwrightowie nigdy nie posunęliby się do czegoś tak strasznego.

Do stolika podeszła inna kelnerka, która napełniła kawą kubki obu mężczyzn.

- Obyś miała rację, Rose - powiedział Flynt.

Tyler nie tracił czasu na wyrzuty sumienia. Owszem, okłamał Marisę, ale nie miał wyjścia. Skręciwszy z wąskiej ścieżki, zagłębił się w dżunglę. Zamierzał odnaleźć Blondasa. Gałęzie i liście drapały go po rękach i twarzy, lecz nie zwracał na nie uwagi. Żałował, że nie ma przy sobie broni palnej, z drugiej strony pewnie tak jest lepiej. Potrafił celnie strzelać, ale do snajpera było mu daleko.

Natomiast nie miał sobie równych, jeśli chodzi o materiały wybuchowe. Oczywiście wtedy walka po-

lega na czym innym: na umiejętnym przygotowaniu zasadzki. Od czasu wojny w Zatoce Perskiej coraz mniej czasu spędzał w terenie, a coraz więcej na szkoleniu; podróżował po świecie, doradzał, organizował spotkania, uczył, dzielił się swoją wiedzą i doświadczeniem. Na szczęście wciąż był w doskonałej kondycji fizycznej.

Od rozstania z Marisą ani na chwilę nie zwolnił kroku. Wystraszone ptaki podrywały się do lotu, gdy mijały je w pędzie. W pewnym momencie dojrzał ogon jakiegoś dużego kocura. Swoją drogą to dziwne, pomyślał, że wędrując przez tyle dni z Marisą, nie napotkali żadnych dzikich zwierząt. Jeśli nie Uczyć węża i paru jaszczurek, właściwie nic ich nie niepokoiło. Dopóki nie pojawił się Blondas.

Po przebiegnięciu mniej więcej pięciu kilometrów Tyler zorientował się, że przebywa w pobliżu obozu wroga, w powietrzu bowiem unosił się zapach dymu.

Zwolnił tempo: Teraz starał się poruszać bezszelestnie.

Blondas rozbił obóz na samym skraju kanionu, takiego jak ten, nad którym przeprawiali się z Marisą przed paroma dniami.

- Góral - mruknął pod nosem Tyler.

No dobrze, ale co jeszcze mógł o nim powiedzieć? Na pewno nie jest to jakiś miejscowy chłop chroniący swojej ziemi, bo żaden miejscowy chłop nie śledziłby ich przez tyle dni.

Miał nadzieję, że Blondas okaże się kłusownikiem, który wybrał się na łowy poza sezonem, i w dodatku

poluje tam, gdzie to zabronione. Albo starym hipisem, który uciekłszy od cywilizacji, żyje w dżungli, popalając trawkę.

Instynkt jednak podpowiadał mu co innego.

Kiedy wyszedł na niedużą polanę i zobaczył należący do Blondasa arsenał broni, przekonał się, że instynkt go nie zawiódł.

- Szukałeś mnie? - spytał drwiącym tonem, po czym błyskawicznym kopnięciem pozbawił Blondasa karabinu, który ten trzymał w dłoni. Miał dość zabawy w kotka i myszkę. Przygwoździł faceta do ziemi. - Strzelałeś do mojego samolotu. Przez ciebie się rozbił - warknął gniewnie. - Już choćby za to powinienem ci poderżnąć gardło.

- Tylko spróbuj - burknął tamten.

Niemiec, przemknęło Tylerowi przez myśl. Wędrując za nim przez łąs, Marisa często mruczała coś do siebie w jednym z wielu obcych języków, jakie znała. Dzięki temu Tyler bez trudu rozpoznał akcent Blondasa. Z jeszcze większą siłą przycisnął ramię do jego tchawicy.

- Kto cię przysłał?

Mimo ucisku Blondas prychnął śmiechem.

- Nikt - odparł zuchwale. Oswobodziwszy rękę, przyłożył Tylerowi pięścią w szczękę.

Skończyła się rozmowa, skończyły uprzejmości. Walka była brzydka, zacięta. Blondas umiał się bić, nie zdołał jednak powalić Tylera. Wtedy pokazał, że umie również biegać.

Tyler nie zamierzał pozwolić mu zwiać. W trzech

susach dogonił Niemca i zaatakował go od tyłu. Zaczęli staczać się ku przepaści. Tyler przytrzymał się sterczącego z ziemi korzenia; drugą rękę zacisnął na szyi wroga.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - rzekł cichym głosem. - Kto cię przysłał?

- Cholerni dilerzy! Za każdego z was parszywców, którego im dostarczę, El Jefe mi płaci.

Blondas wyciągnął łapę, usiłując wydrapać Tylerowi oczy. Kamienista ziemia, na której leżeli, zaskrzyptała. Przepaść była tuż-tuż.

- Czyli pracujesz dla El Jefe.

- Dla nikogo nie pracuję. El Jefe mi płaci. - Niemiec sapał głośno. - Hojni są, wiesz? A ty? Ty jesteś nikim. Zerem. Głupim Amerykańcem, który przyleciał tu swoim pięknym samolocikiem, żeby pohandlować dragami.

- Ilekroć wspominasz mój samolot, wkurzasz mnie. - Osunęli się o kolejne pół metra. Tyler zaparł się pięciami o ziemię. - Od kilku dni łąsisz za mną i to mnie też wkurza. Innymi słowy - zacisnął mocniej rękę - piekielnie mnie wkurzasz.

Niemiec zaklął siarczyście i zaczął się wiercić, wyrywać. Nogi zawisły mu nad przepaścią.

- A dokąd to? - warknął Tyler.

Ale nagła zmiana pozycji wymusiła rozluźnienie uścisku. Niemiec jeszcze bardziej się osunął. Niemal w ostatniej chwili Tyler złapał go za ramiona.

- Trzymaj! Nie puszczaj! - W głosie Blondasa, kiedy usiłował wgramolić się z powrotem, pobrzmie-

wała trwoga. - Rób, co chcesz. Handluj, czym chcesz. Mnie tam nic do tego.

- Nie wierzę ci - powiedział Tyler, napinając mięśnie.

Centymetr po centymetrze podciągał Niemca do góry. Wymagało to naprawdę olbrzymiego wysiłku; facet był prawie jego wzrostu. Jeszcze żeby tkwił nieruchomo, a on przerażony i spanikowany wymachiwał nogami na wszystkie strony.

W trakcie tej koszmarnej gimnastyki Tyler zastanawiał się, co ma zrobić z tymi facetem. Oddać w ręce policji? Po pierwsze, nie ufał miejscowej władzy. Po drugie, szkoda mu było czasu na wędrówkę do miasta. Mógł go zabrać z sobą. Oczywiście więzień, którego trzeba stałe pilnować, znacznie opóźni marsz, z drugiej strony, nie zdoła uprzedzić El Jefe o ich planowanej wizycie.

Wreszcie udało mu się podciągnąć faceta na tyle, by mógł go chwycić za pasek u spodni. Jęczał głośno z wysiłku.

Dopiero po dłuższej chwili poczuł ból.

Ostry, przeszywający. Taki, od którego człowiekowi wszystko ciemnieje przed oczami.

Czując się jak kretyn, Tyler spojrział w dół. Zobaczył złośliwy uśmiech na twarzy Niemca, który wyciągał ostrze z jego barku.

Z rany trysnęła krew; pociekła do łokcia, potem czerwone krople zaczęły kapać w przepaść. Ręka mu zdrętwiała, stracił czucie w palcach. Nawet nie zauważył, kiedy puścił pasek wroga. Ale zauważył, że Blon-

das gramoli się z powrotem na krawędź skały, cały czas dzierżąc w ręku nóż.

- El Jefe zapłaci mi bez względu na to, czy będziesz żywy czy martwy. A jak cię ukatrupię, z dziewczyną sobie poradzę raz, dwa.

W Tylerze wszystko się zagotowało. Zdobywając się na nadludzki wysiłek, chwycił Niemca za nogę i szarpnął. Ten zachwiał się, zamachał gwałtownie ramionami... i znikł.

Runął w przepaść.

Tyler opadł na wznak i przez chwilę leżał bez ruchu, dysząc ciężko. Miał wrażenie, że chmury, wielkie, puszyste, krążą nad nim, zataczając dziwne koła.

- Szlag by to trafił - mruknął.

Nie może zemdleć, po prostu nie ma na to czasu. Ale musi zamknąć oczy. Chociaż na minutę. Dopóki nie przestanie mu się kręcić w głowie. Potem wstanie, wróci do Marisy i powie jej, że...

Zmarszczył czoło, usiłując się skupić. Co powie?

- Obiecał, że wróci przed zmierzchem. - Nerwowym krokiem wydeptywała ścieżkę wokół ogniska. - „Przecież cię nie zostawię”. Tak powiedział.

Po raz kolejny, chyba już setny, przerwała wędrówkę. Wpatrując się w ciemny las, wyteżyła słuch. Czekająca na jakikolwiek dźwięk świadczący o tym, że Tyler się zbliża.

Nic. Głucha cisza.

Umywszy się pod wodospadem, rozpałała ognisko. Potem złowiła rybę, którą oczyściła, usmażyła i zjadła.

Wciąż nic.

Łzy podeszły jej do gardła, wzięła się jednak w garść. Nie może płakać. Musi się skupić, zastanowić, co dalej. Powinna była posłuchać wewnętrznego głosu, który mówił jej, aby ruszyła za Tylerem, zanim się ściemni.

Teraz nawet księżyc skrył się w bezkresnych czarnych przestworzach, egoistycznie skapiąc swych zimnych, białych promieni. Gdyby się wyłonił zza chmur, gdyby oświetlił ścieżkę...

Nie wiedziała, ile czasu minęło, odkąd Tyler znikł. Nie potrafiła powiedzieć, od ilu godzin krąży wokół ogniska.

A krążyła niestrudzenie. Nie potrafiła usiąść.

Wreszcie nie mogła tego dłużej znieść. Sama sobie oświetle drogę, postanowiła. Musi coś zrobić, żeby nie oszaleć.

Schyliwszy się, zaczęła macać ziemię wokół ogniska, szukając dużej, solidnej gałęzi. Znalazła badyl grubości swojego przedramienia. Przysunęła go do płomieni, bojąc się, czy jest dostatecznie suchy. Czekwała, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Kiedy badyl zaczął się ogniem, odwróciła się twarzą do lasu, tam, gdzie ostatni raz widziała Tylera. Od przepęłniającej powietrze wilgoci włosy skręciły się jej na wszystkie strony.

Postąpiła krok w stronę tego nieprzeniknionego mroku, kiedy nagle usłyszała szelest. Coś wypadło pomiędzy gęstwiny krzaków. Wystraszona, cofnęła się szybko do ogniska.

Po chwili zobaczyła Tylera. Na jej widok uśmiechnął się nieporadnie.

- Cześć, kochanie. Wróciłem - oznajmił niczym mąż do żony po powrocie z pracy.

Otworzyła usta i patrzyła z przerażeniem, jak Tyler wywraca oczami, po czym zatacza się i pada jak długi na ziemię.

Przez moment stała bez ruchu, całkiem osłupiała, ale ten dziwny paraliż trwał dosłownie sekundę. Ocknąwszy się, cisnęła płonąca głownię do ognia, a sama podbiegła do leżącego mężczyzny. Badając rękami jego ciało, przewróciła je na bok, potem na wznak. Poczowała mokrą plamę. W blasku płomieni ujrzała krew na swoich dłoniach. Powtarzając imię Tylera, rzuciła się do plecaka. Szukała czegoś, czym można by zatamować krwawienie. Zębami porwała na strzępy bawełnianą koszulkę; tak utworzone pasła posłużyły jej za krępulec.

Czoło miał zimne, spocone. Tętno przyśpieszone.

Psiakość, tak niewiele wie o udzielaniu pierwszej pomocy! Tyler leżał nieprzytomny. Przemawiała do niego, głaskała go po twarzy; mimo najlepszych chęci nie była w stanie go docucić. Podejrzewała, że stracił zbyt dużo krwi.

Z trudem panując nad nerwami, podeszła do wody i zmyła z rąk krew. Starła się nie myśleć o bakteriach i infekcjach ani o tym, że od najbliższych siedlisk ludzkich dzielą ich kilometry. Zresztą bałaby się zostawić ranego Tylera, a sama ruszyć na poszukiwanie pomocy.

Nie wiedziała, skąd się wzięła rana w jego ramieniu. Nie wiedziała też, kto lub co mu ją zadało. Może niebezpieczeństwo wciąż czai się w pobliżu? Zrobiła je-dyną rzecz, jaką w tej sytuacji mogła zrobić. Kucną-

wszy, wsunęła ręce pod pachy Tylera i zacisnęła zęby, gdy jęknął z bólu. Potem wolno, centymetr po centymetrze, zaczęła ciągnąć go do ogniska, gdzie przynajmniej było trochę cieplej. Wreszcie się jej udało. Dysząc z wysiłku, usiadła na ziemi.

W blasku płomieni znacznie lepiej widziała ranę. Ciemna plama powiększała się. Marisa szybko zmieniła opatrunek. Ile można stracić krwi, zanim....

Zanim wyzionie się ducha.

Pytanie powracało jej do głowy. Bezskutecznie próbowała myśleć o czymś innym.

Co kilka minut zmieniała opatrunki; zabierała prześlaknięty krwią kawałek materiału, przytykała nowy. Straciła rachubę czasu. Miała wrażenie, że po wielu godzinach krew zaczęła płynąć wolniej.

Krwawienie ustało o świcie, gdy niebo na wschodzie przybrało zdecydowanie jaśniejszy kolor. Podniósłszy z ziemi zakrwawione szmatki, przeszła nad wodospad, wyprała je, po czym rozłożyła na trawie, by wyschły.

Zdenerwowana, co pewien czas delikatnie unosiła głowę Tylera i wlewała mu do ust odrobinę wody. O ile wcześniej czoło miał zimne, teraz było rozgrzane. Najwyraźniej trawi go gorączka.

Ilekoć go dotykała, wiercił się i szamotał. Zdrowym ramieniem starał się ją odepchnąć. Czasem głosem ochrypłym i niezrozumiałym wymyślał komuś, jakiejś osobie, którą widział w swojej wyobraźni.

Bojąc się, żeby rana nie zaczęła znów krwawić, Marisa wyciągnęła się obok na ziemi i przytrzymując ręce

Tylera, starała się go uspokoić. Raz po raz obrzucała ją przekleństwami. Wreszcie otworzył oczy, błyszczące, roziskrzzone.

- Sonya - mruknął, patrząc jej w twarz, i ponownie stracił przytomność.

W jego spojrzeniu była tak wielka rozpacz, że Marisa miała ochotę się rozpłakać.

Rozpuściła w wodzie kilka ostatnich aspiryn. Chciała wmusić je w Tylera, ale tylko częściowo się jej udało. Kiedy słońce wisiało już wysoko na niebie, zrozumiała, że nie może dłużej czekać. Tyler potrzebuje fachowej pomocy, której ona nie może mu zapewnić. Stan jego zdrowia pogarszał się z minuty na minutę.

Gdyby tylko umiała sobie przypomnieć nazwy roślin i korzeni, które jej matka i babka używały do leczenia wszystkiego: bólu głowy, niestrawności, zakażeń.

Rozwiesiła nad Tylerem brezent, żeby słońce go za bardzo nie spiekło, zebrała z trawy umyte i wysuszone koszule, które służyły za opatrunki, po czym ostrożnie usunęła te, które jeszcze okrywały ranę.

- *La madre de Dios* - szepnęła.

Rana wyglądała paskudnie. Znacznie gorzej, niż się spodziewała. Sam jej widok przyprawił Marisę o mdłości.

- Bądź silny, Tyler - powiedziała, zakrywając ranę świeżymi paskami materiału. - Westin cię potrzebuje.

Przez moment uważnie wpatrywała się w jego twarz. W ciągu ostatnich paru dni oboje się spiekli na

słońcu, mimo to twarz Tyłera wydawała się ziemista. Oczy miał podkrążone, jedynie rzęsy były takie jak dawniej: gęste i długie.

Boże, ileż by dała, żeby obudził się, znów zaczął się wymądrzać, działać jej na nerwy.

- Nie tylko Westin - dodała cicho. - Ja też cię potrzebuję.

Postawiwszy przy głowie Tyłera manierkę, zaczęła owijać jego ciało zamoczonymi w zimnej wodzie ubraniami. Cały czas do niego przemawiała, żeby leżał spokojnie i czekał na nią. Ona wróci, musi tylko sprowadzić pomoc.

Miała nadzieję, że ją słyszy i rozumie. Że zostawiając go samego, nie naraża go na większe niebezpieczeństwo.

Miała również nadzieję, że ona sama trafi do domu. I że rodzina nie wskaże jej drzwi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- *Tia* Marisa, zapleciesz mi warkocze? - spytał dziewczęcy głosik.

Tyler przełknął ślinę. Uniesienie powiek wymagało zbyt wiele wysiłku, więc nie otwierał oczu; po prostu leżał, wsłuchując się w cichy szmer głosów, z których jeden niewątpliwie należał do dziecka, a drugi, bardziej dźwięczny i melodyjny, do osoby dorosłej.

Usiłował rozeznąć się w swoim położeniu. Okrywał go gruby, dość szorstki koc, pod sobą zaś miał materac; całkiem wygodny, choć może odrobinę za miękki. No ale jeśli ktoś przywykł do sypania na twardej ziemi...

Otworzył oczy. Próbował coś powiedzieć, lecz z jego gardła wydobył się niewyraźny chrapliwy pomruk.

Marisa przeniosła spojrzenie z ładnej małej blondyneczki, którą trzymała na kolanach, na mężczyznę, który leżał obok na łóżku. Z zaskoczeniem zobaczyła, że Tyler nie śpi. Szepnąwszy dziewczynce coś do ucha, zestawiała małą na podłogę, a sama podeszła do łóżka.

- *Este tranquilo* - rzekła cicho, przykładając dłoń do jego ramienia. - Nie ruszaj się.

Sięgnęła za siebie po kubek. Pochyliwszy się, delikatnie wsunęła rękę pod szyję Tylera, uniosła mu lekko głowę i przysunęła kubek do ust.

- Pij, tylko powoli. Jesteś bardzo osłabiony.

Nie posłuchał. Pił łąpczywie. Zresztą wcale nie był aż tak bardzo osłabiony. Gdyby był, przypuszczalnie nie myślałby o jej piersiach, które- otarły się o jego skroń, kiedy układała go z powrotem na cienkiej poduszce. Na moment zacisnął powieki. Kiedy ponownie otworzył oczy, Marisa nie znikła; wciąż siedziała obok, z łokciami wspartymi na materacu.

Niby nic się nie zmieniło, twarz, nos, policzki miała takie same jak dawniej, a jednak wyglądała zupełnie inaczej. To nie była ta elegancka, zarozumiała tłumaczka i znawczyni kultury Mezcajów, która pojawiła się na lotnisku ubrana w beżowy kostiumik i skórzane buty. Nie była to też ta zwariowana dziewczyna, z którą przedzierał się przez gąszcz dżungli, dziewczyna w powyciąganej koszulce bez rękawów i spodniach od dresu ciachniętych nożem na wysokości kolan, brudna, spocona, ze śmiechem w oczach namawiająca go na skosztowanie banana z rusztu.

Dziewczyna, na którą teraz patrzył, miała lśniące, lekko kręcone włosy opadające luźno na ramiona, a na sobie jaskrawą, bajecznie kolorową sukienkę mogącą spowodować oczopląs. Ale to była Marisa, nie miał wątpliwości. Bez względu na to, co by na siebie włożyła i jak bardzo by się zmieniła, zawsze i wszędzie rozpoznałby jej oczy, dotyk jej rąk oraz ciepły, delikatny zapach jej skóry.

No dobrze, czyli wiedział, kto obok niego siedzi, ale nie potrafił się zorientować, gdzie się znajduje. Pokój, w którym stało jego łóżko, był niezwykle prosto

i skromnie urządzone. Duże kwadratowe okno w ścianie na wprost łóżka nie miało szyby; przed zimmem i deszczem chroniły okiennice, teraz otwarte, a na noc zamykane. Patrząc ponad ramieniem Marisy, Tyler dostrzegł drzwi i korytarz, przypuszczalnie prowadzący do innych pomieszczeń. Hm, a zatem to jest dom. Czysty, chyba dość przestronny, ale na pewno pozbawiony luksusów.

Poruszył się, ostrożnie przysuwając rękę do klatki piersiowej. Wymacał bandaż.

I nagle przypomniał sobie Niemca oraz nóż.

- Gdzie jesteśmy? - Jego głos zabrzmiał ochryple, jakby dawno go nie używał. Przeraził się. - Jak długo...

- Ciii. - Marisa przycisnęła palec do jego ust. - Nie denerwuj się. Nic nam tu nie grozi. A wracając do twojego pytania, minęło kilka dni.

Zacisnął rękę na dłoni dziewczyny. Widział, że zaskoczyła ją jego siła.

- Ile dokładnie? - wycharczał.

Zasznurowała mocniej usta.

- Siedem - odparła po chwili. - Równo tydzień.

Przeklinając pod nosem, usiłował się podnieść.

- Gdzie mój plecak?

Oparła ręce na jego ramionach i delikatnie, choć stanowczo, pchnęła go z powrotem na materac.

- Spokojnie, Tyler. Jest tutaj. Niczego nie zostawiłam w lesie. I na miłość boską, przestań się wiercić - rzekła rozkazującym tonem - bo cała praca mojej *abueli* pójdzie na marne.

- Gdzie jestem?

Opuściła rzęsy; nie był w stanie dojrzeć wyrazu jej oczu.

- W domu moich rodziców - odparła. - Powiedzia-
łam im, że zepsuł się twój samolot i musieliśmy lądować
w dżungli. - Słyszac zbliżające się głosy, obejrzała się
nerwowo za siebie. - Tyler, oni myślą, że jesteśmy mał...

- Marisa, *mi niña*. - Do pokoju weszła wysoka,
szczupła kobieta obwiązana w pasie białym fartuchem,
która mogła być tylko matką Marisy. - Dlaczego mi
nie powiedziałaś, że twój mąż się obudził? - W pytaniu
kobiety, która mówiła po angielsku z silnym miejsco-
wym akcentem, wyraźnie pobrzmiwała nuta deza-
probaty.

Tyler przeniósł wzrok z matki na córkę. Marisa
wbiła w niego błagalne spojrzenie. Po chwili, zwilży-
wszy wargi, obejrzała się przez ramię.

- Przepraszam, mamó. Tyler ocknął się dosłownie
przed minutą.

Ponownie utkwiła z nim spojrzenie. Wydawało mu
się, że widzi w jej oczach żal. A kiedy zacisnęła ręce
na jego dłoniach, zaczął się zastanawiać, kto tu jest
chory - bo ręce miała wilgotne i lodowate.

- Tyler, to moja mama. Belicia.

Skinął głową w stronę starszej kobiety, która wpa-
trywała się w niego z szerokim uśmiechem.

- Miło mi panią poznać... - wydukał.

Nie był pewien, co powiedzieć. Może udawać męża,
aby dostać się na teren la Fortuny, ale nie bardzo ma
ochotę okłamywać matkę Marisy.

Kobieta zawiesiła wzrok na córce; chwilę później z jej ust popłynął potok słów, tym razem po hiszpańsku. Marisa oblała się rumieńcem. Zerknęła pośpiesznie na Tylera, po czym znów wlepiła oczy w twarz matki.

- To prawda, mam, mam wielkie szczęście. On jest bardzo przystojny.

Z ust Belicii popłynął kolejny potok; z każdą sekundą rumieniec na twarzy Marisy coraz bardziej się pogłębiał.

Tyler rozumiał najwyżej co dziesiąte słowo, mimo to odnosił wrażenie, że kobieta omawia sprawy związane z jego męskością. Nie wiedział, jak się zachować: zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że przebywa gdzieś indziej, gdzieś daleko stąd, a może sprawdzić, czy przypadkiem nie świeci golizną - bo był pewien, że pod szorstkim kocem jest nagi jak go Pan Bóg stworzył.

Nagle Marisa poderwała się na nogi i zaczęła wypychać matkę z pokoju. Kiedy ta znalazła się za progiem, dziewczyna opuściła barwną matę, która najwyraźniej zastępowała drzwi, po czym odwróciła się twarzą do łóżka. Z rękami opartymi na biodrach rozglądała się po pokoju, unikając wzroku Tylera.

- Tu się wychowywałaś? - spytał. Jego głos powoli odzyskiwał normalne brzmienie.

Skinęła głową.

- Tak. Do trzynastego roku życia. Potem zamieszkałam u kuzynki w Belize. Ubłagałam rodziców, żeby pozwolili mi pójść tam do szkoły.

Zaczęła przemierzać pokój tam i z powrotem. Kiedy tak krążyła, Tyler widział, jak opuszcza ją napięcie.

- Byłam najstarsza z rodzeństwa - kontynuowała.
- Rodzice chcieli... zależało im, abym... - Przyciskając palce do czoła, potrząsnęła głową. - Moi bracia przez kilka godzin szukali faceta, który próbował cię zadźgać, ale niestety go nie znaleźli.

- On nie żyje - oznajmił beznamiętnym tonem Tyler.

Wciąż miał przed oczami wyraz wściekłości i zdumienia, jaki pojawił się na twarzy Niemca, kiedy uświadomił sobie, że leci w przepaść. Już kilka razy w życiu stał przed wyborem: zabić lub samemu zginąć, co oczywiście nie znaczyło, że zabijanie sprawiało mu jakąkolwiek przyjemność.

- Twoi rodzice chcieli, żebyś co?

Zdawała się nie słyszeć jego pytania.

- Tak bardzo się bałam... - Przynajmniej bliżej stołek, ponownie usiadła, nadal jednak unikała wzroku Tylera. - Nie wiedziałam, czy ktoś nas nie śledzi, czy nie trafi za nami do domu moich rodziców, ale potrzebowałeś pomocy, a ja... - Potrząsnęła głową. Od ruchowo sięgnęła po kubek i podała go rannemu. Po chwili ciągnęła: - Bo wiesz, rozpoznałam wodospad. Domyśliłam się, gdzie jesteśmy.

A zatem wyjaśniło się, jak się tu znaleźli. Ale na zadane pytanie Marisa nie odpowiedziała.

- Nie chciałam zostawiać cię samego... Ale to było konieczne.

- Rzeczy konieczne na ogół nie należą do przyjemnych - przyznał. - Ale to nie ma znaczenia, Mariso.

Ważne jest, że oboje żyjemy. Że facet, który nas śledził, nie może już wyrządzić nam krzywdy. I że już wkrótce dotrę do Westina.

W zamyśleniu zaczęła skubać brzeg koca.

- W gorączce często powtarzałeś jego imię. - Zaważała się. - I jakiejś kobiety. Soni. - Przyjrzała mu się spod rzęs, po czym znów opuściła wzrok. - Oraz Leny. Mama... mama to słyszała. Uważa, że masz za wiele kochanek. I że dlatego przywiozłam cię do Mezcai. Aby pokazać, że ja ci wystarczę, że jestem w stanie cię zaspokoić, że poza mną nie potrzebujesz innych kobiet.

Zatkało go. Nie należał do ludzi zbyt rozmownych, ale rzadko się zdarzało, żeby po prostu oniemiał ze zdumienia.

- Co takiego? - spytał wreszcie.

Zasłoniła ręką twarz.

- Proszę cię, Tyler. Nie naigrawaj się ze mnie. I tak jest mi potwornie głupio.

- Lena to imię tego maleństwa, o którym ci mówiłem - wyjaśnił znużony, kładąc głowę na poduszce. Marzył o tym, aby jak najszybciej dotrzeć do la Fortuny. - Tego, które znalazłem z kumplami na polu golfowym.

- Czy... czy to twoje dziecko? Twoje i Soni? - spytała, zanim zdołała ugryźć się w język.

- Zwariowałaś?! Absolutnie nie. - Poderwał się na łóżku, po czym krzywiąc się z bólu, opadł z powrotem na materac. - Na sto procent jeszcze nie wiemy, kto jest ojcem Leny. Ale badania DNA mnie wykluczyły.

Zresztą tego się spodziewałem, bo nie jestem żadnym Jasiem Zapładniaczem.

- Jasiem Zapładniaczem? - Marisa nie zrozumiała, o czym Tyler mówi.

- Nie zapładniam każdej kobiety, na którą spojrzę - odparł z wyraźną irytacją w głosie.

Ponownie oblała się rumieńcem.

- No tak... to dobrze.

Przygryzła wargę. Widział, że się nad czymś intensywnie zastanawia, że zżera ją ciekawość. Domyślił się, że następne pytanie będzie znów dotyczyło Soni. Postanowił odwrócić jej uwagę. Nie chciał na ten temat rozmawiać.

- No więc co chcieli twoi rodzice? Żebyś co robiła?

Uniosła głowę i delikatnie wygładziła ręką koc.

- Powinieneś odpocząć, Tyler. Prześpij się, a ja zajrzę do ciebie za godzinę. Może nabierzesz wtedy ochoty na zupę. Gotowaniem zajmuje się *abuella*; nie lubi nikogo wpuszczać do kuchni, nawet mamy. Na szczęście wszystko, co przyrządza, jest niezwykle smakowite. - Uśmiechnęła się. - Poproszę ją, aby twoich porcji nie doprawiała na ostro, przynajmniej dopóki nie wyzdrowiejesz. A potem... potem niestety będziesz musiał udowodnić swoją męskość, jedząc ostre papryczki, bez których *abuella* nie wyobraża sobie żadnego dania.

- W Teksasie, kotku, też mamy ostre papryczki.

Marisa wzruszyła ramionami i z tajemniczym uśmiechem na ustach skierowała się do wyjścia. Ona coś knuje, przemknęło Tylerowi przez myśl. Ciekawe

co? Nie był pewien, czy chce poznać odpowiedź. A propos odpowiedzi...

Nie uszło jego uwagi, że nie doczekał się odpowiedzi na pytanie, które zadał już po raz drugi.

- Dlaczego powiedziałaś wszystkim, że jestem twoim mężem? - zapytał cicho, tak by inni go nie usłyszeli.

Zatrzymała się z ręką na macie zasłaniającej otwór drzwiowy.

- Bo inaczej by mi nie wybaczyli - odparła po chwili wahania i odsunawszy na bok matę, znikła mu z pola widzenia.

- Nie mogę tak dłużej! Muszę coś zrobić! - Haley Mercado, znana obecnie jako Daisy Parker, drżącymi rękami przeczesła swoje jasne włosy. - To moje małżeństwo! Nie mogę siedzieć beczynnio!

- Nie może się pani ujawnić - rzekł stojący w drzwiach gabinetu Sean Collins, agent FBI. - Robimy wszystko, co w naszej mocy, aby odnaleźć pani córeczkę. Proszę nie myśleć o niej, lecz skupić się na czekającym nas zadaniu.

Haley popatrzyła na agenta wzrokiem pełnym niedowierzania.

- Moja córka została porwana - oznajmiła z ledwo skrywaną wściekłością - a pan chce, abym o niej nie myślała?

Collins miał na tyle przyzwoitości, że zawstydził się własnych słów.

- Wiem, jakie to wszystko jest dla pani trudne, ale

zaszliśmy już bardzo daleko. I tak niewiele dzieli nas od sukcesu. Potrzebujemy jeszcze kilku szczegółów dotyczących teksaskiej szajki przemytniczej i ich sposobów działania. Pani jest jedyną osobą, która może nam pomóc.

- Piętnastego marca będzie miała pierwsze urodziny - szepnęła, jakby nie słyszała, co mężczyzna do niej mówi.

Tak strasznie chciała wziąć w ramiona i przytulić do piersi swoje maleństwo. Od paru miesięcy oglądała je na odległość, kiedy Josie przychodziła z wózcem Mem do klubu golfowego, ale to jej nie wystarczało. Jediną pociechą była myśl, że Lena jest bezpieczna, pod opieką ludzi, którzy niezwykle troskliwie się nią zajmują.

- Czy nie dość już poświęciłam? - spytała, właściwie nie oczekując odpowiedzi. - Moja mama nie żyje, Ricky przepadł jak kamień w wodę. A Luke...
- Urwała. Nie była w stanie kontynuować.

- Odnajdziemy Lenę - obiecał Collins. - Święcie w to wierzę. Ale jeśli teraz się pani ujawni, może się okazać, że pani córka nie będzie miała do kogo wrócić.

Haley opadła na fotel i ukryła twarz w rękach. Nigdy w życiu nie czuła się tak samotna.

Kiedy ten koszmar wreszcie się skończy?

Po kilku dniach wypoczynku w łóżku i powolnego powrotu do zdrowia Tyler rwał się do działania. Bezczynność nie leżała w jego naturze, zresztą czas naglił. Odkąd odzyskał przytomność, przez jego pokój stale przepływał strumień ludzi, krewnych Marisy.

Przedstawiono mu wszystkich: jej braci, kuzynów, siostry, siostrzenice, bratanków. I babcię. Staruszka, choć nie mówiła słowa po angielsku, była jedną z niewielu osób, które nie patrzyły na niego jak na dziwoląga z innej planety.

Może dlatego, że to ona myła gąbką jego nagie ciało, kiedy trawiła go gorączka. Do dziś na myśl o tym, że ta mała, pomarszczona kobieta wykonywała przy nim tak intymne czynności, robiło mu się słabo. W dodatku Marisa, występując w roli żony, często babci pomagała, a czasem wręcz ją zastępowała.

Oczywiście nie wstydził się swej nagości przy Marisie. Żałował jedynie, że leżał nieprzytomny, nie wiedząc, co się dzieje. Bo rzecz jasna, wolałby bardziej aktywnie uczestniczyć w rytuale mycia, pomyślał, uśmiechając się ironicznie.

Wieczorem Marisa rozwijała na podłodze matę, na której układała się do snu. Rano chowała ją, po czym miętosiła prześcieradło po swojej stronie łóżka, tak by inni myśleli, iż spała z mężem.

Każdego normalnego faceta takie zachowanie „żony” doprowadzałoby do szału. A on był normalnym facetem z krwi i kości. Wprawdzie nie był mężem Marisy, ale... Nie wiedział, kiedy rzuciła na niego urok, bo że to zrobiła, nie ulegało wątpliwości. I nawet teraz, siedząc na składanym metalowym krzeselku w ogrodzie na tyłach domu, skąd rozciągał się widok na pola pełne warzyw i trzciny cukrowej, którą rodzina Marisy sprzedawała na targu, nie potrafił przestać o niej myśleć. O tym, gdzie się podziewa i co porabia.

Zdawał sobie sprawę, jak bardzo się mylił w kwestii jej pochodzenia. Sądził, że dorastała w bogatym domu, jako rozpieszczona dziedziczka, której każde życzenie jest natychmiast spełniane. Nie była to prawda. Obserwując jej relacje z bliskimi, powoli coraz lepiej rozumiał panujące w tej rodzinie zwyczaje. Oczywiście nie śledził rozmów, bo prawie wcale nie znał tutejszego języka, lecz niektóre gesty są uniwersalne; do ich zrozumienia znajomość języka nie jest konieczna.

W sprawach wykształcenia państwo Rodriguezowie byli na tyle nowocześni, że pozwolili, aby ich najstarsze dziecko, Marisa, wyjechało do szkoły w Belize, gdzie system nauczania stał na znacznie wyższym poziomie, z drugiej zaś strony byli niezwykle tradycyjni, gdy chodzi o obowiązki i powinności. O ile Tyler zdołał się zorientować, najważniejszym obowiązkiem wszystkich dzieci było założenie własnej rodziny. Poza Inez, która Uczyła zaledwie piętnaście czy szesnaście lat, tylko Marisa nie spełniła pokładanych w niej nadziei.

Jednej rzeczy Tyler nie był pewien: jakie ona sama ma plany, czego oczekuje od życia.

Fakt, że się w ogóle nad tym zastanawiał, powinien był go otrzeźwić. W końcu co go obchodzą plany i pragnienia Marisy Rodriguez? Z drugiej strony, co w tym złego, że obchodzą? - pomyślał. Skazani są na swoje towarzystwo, więc...

Niestety, miał świadomość, że się oszukuje. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jego zainteresowanie Marisa wynika z czegoś znacznie głębszego.

Nagle, chociaż jej nie widział i nie słyszał, wyczuł za plecami jej obecność.

- Cały dzień jesteś na nogach - powiedziała. - Może powinieneś się położyć i odpocząć?

Obejrzawszy się przez ramię, zobaczył, że trzyma na biodrze pulchne, bezzębne dziecko. Na pewno nieraz mu już mówiono, do którego z braci lub sióstr należy owo słodkie maleństwo, ale nie mógł sobie przypomnieć. Postanowił wygrzebać tę wiadomość z zakamarków pamięci, wychodząc z rozsądnego założenia, że bezpieczniej skupić się na dziecku niż na uroczej ciotce.

Musiała pożyczyć od kogoś ubranie, przypuszczalnie od Inez. Miała bowiem na sobie krótkie džinsowe spodnie, trochę za luźne w biodrach, oraz skąpą czerwoną bluzeczkę, odrobinę za ciasną w biuście.

Nawet z dala od cywilizacji, w odległych zakątkach Mezcai, nastoletnie dziewczyny ubierały się zgodnie z najnowszymi trendami mody.

- Już dość się nawypoczywałem - odrzekł, świadomie odwracając wzrok od gołych nóg Marisy.

Bezczynność wychodziła mu bokiem. Nie był przyzwyczajony do tego, aby tak długo nic nie robić. Chęć ruszenia w dalszą drogę oraz zainteresowanie Marisą najlepiej świadczyły o tym, że zdrowieje.

- Ciagnie cię do tego gniazda os...

Nie było sensu zaprzeczać.

- Owszem. Zresztą już prawie jestem całkiem zdrow. - Byleby nie musiał wdrapywać się po skale, niosąc kogoś na barana, wiedział, że sobie poradzi.

A nawet gdyby musiał wdrapywać się po skale z balastem na plecach, to też sobie poradzi. Jednakże w oczach Marisy dostrzegł sceptycyzm. - Nawet nie wiesz, jak wielką radością napawa mnie twoja wiara w moje siły - dodał kwaśno.

- Och, nie ironizuj. Przecież wiem, że nie ma dla ciebie rzeczy niemożliwych. Chodzi mi tylko o to, że jeszcze jesteś osłabiony.

Powiódł wzrokiem po mieniących się soczystą zielenią polach.

- Jestem w znacznie lepszej formie niż Westin. A z każdą mijającą godziną... - Nie dokończył. Nie było potrzeby.

Marisa westchnęła cicho. Położyła rękę na jego ramieniu, tylko na moment, po czym szybko odsunęła się, podrzucając na biodrze dziecko. Ciekaw był, o czym myśli; czy pamięta tamten dzień, kiedy niemal zdarła z niego koszulę?

- Do twarzy ci z tym bobasem - oznajmił ni stąd, ni zowąd.

Rozciągnąwszy usta w uśmiechu, potarła nosem szyjkę dziecka.

- Nicholas jest wspaniały, prawda?

- Owszem. Jak na dziecko.

Popatrzyła na Tylera z rozbawieniem w oczach. Po raz pierwszy w życiu widział kogoś, kto ma tak szalenie ekspresyjną twarz.

- Oj, Murdoch, Murdoch. Nigdy nie kusiło cię, by zostać... Jak ty to określiłeś? Jasiem Zapładniaczem? Wzruszył ramionami.

- Dzieci to duża odpowiedzialność.

- I wielka radość.

Przypomniało mu się własne dzieciństwo.

- Nie zawsze i nie dla każdego.

W jej oczach ukazał się wyraz skupienia.

- To prawda - przyznała po chwili.

- A ty dlaczego nie masz tuzina małych bambino?

Twojemu byłemu nie zależało na dzieciach?

Nie potrafił wyczytać nic z jej twarzy.

- Mojemu byłemu zależało wyłącznie na władzy - odparła, siląc się na obojętność. - Na tym, żeby mieć nad wszystkim kontrolę.

- No i na tobie - dodał Tyler. Nie wiedział, dlaczego z takim uporem wraca do tematu jej narzeczeństwa. - Ciebie też pragnął.

Wykrzywiła usta w ironicznym uśmiechu.

- Na pewno nie chciał, aby ktokolwiek inny mnie zapragnął.

- Zazdrośnik?

- Od biedy można by go tak nazwać. - Poprawiła sobie na biodrze dziecko i tym razem potarła nosem jego pulchny policzek, wyraźnie dając Tylerowi do zrozumienia, że nie zamierza wdawać się w rozmowę o swojej przeszłości. - Skoro nie chcesz się zdrzeźnić, może miałbyś ochotę pójść ze mną na spacer?

- Mówisz do tej uroczej bezzębnej istoty czy do mnie?

- Zgadnij. Zresztą obaj jesteście wyjątkowo przyzwojni, prawda, robaczku? - powiedziała, uśmiechając się do malca. Po chwili posłała Tylerowi szelmowskie

spojrzenie. - Wiesz, mama ciągle robi mi wymówki, że cię zaniedbuję. Twierdzi, że powinnam się tobą bardziej zajmować, organizować ci jakieś rozrywki...

- Na przykład takie, które zakończyłyby się przyjęciem na świat kolejnego bambino?

Marisa wytrzeszczyła oczy.

- Twoja siostrzyczka Inez czasem zabawia mnie rozmową. Właśnie od niej wiem, że zarówno twoi rodzice, jak i babcia uważają, iż powinniśmy mieć dziecko. Że wtedy przestałbym cię zdradzać z innymi. Muszę przyznać, kotku, że twoja rodzina nie ma o mnie najlepszego zdania.

Marisa zacisnęła powieki. Boże, co za głupie dziewczysko! Miała ochotę ją sprać! Oczywiście tego typu zachowania oraz opinii mogła się spodziewać po matce, ojcu, nawet po swojej ukochanej babce. Ale po siostrze? Czy smarkuła naprawdę nie potrafi trzymać języka za zębami?

- Przykro mi, jeśli Inez wprawiła cię w zakłopotanie.

Tyler parsknął głośnym śmiechem. Marisa zastygła bez ruchu; nie wierzyła własnym uszom. Chyba po raz pierwszy, odkąd spotkali się na lotnisku, słyszała, aby Tyler śmiał się w sposób tak naturalny i niewymuszony.

- Nie poznaję cię, Tyler. Naprawdę. Gdybym cię nie znała, gotowa bym pomyśleć, że podoba ci się lenistwo. Odprężyłeś się...

- Owszem, *mi esposa*, odprężyłem. Ale to nie znaczy, że zapomniałem o reszcie świata.

Zmrużywszy oczy, uśmiechnął się łobuzersko. Przymiął wielkiego kota, który leniwie macha ogonem, jakby gotów był cały dzień wygrzewać się na słońcu, gdy w rzeczywistości czeka tylko na odpowiedni moment, by rzucić się do ataku.

Marisę przebiegł dreszcz. Starając się odwrócić uwagę od Tylera, połaskotała Nicholasa w szyję. Chłopczyk zapiszczał, pokazując w uśmiechu swoje bezzębne dziąsła.

- Właściwie nie powinnam proponować ci spaceru - rzekła, nie patrząc na Tylera. - To dla ciebie zbyt męczące. Lepiej połóż się, a ja ci przyniosę szklanke soku...

- Nie jestem pięcioletnim brzdącem, którego boli brzuszek - oznajmił cierpko.

Płynnym ruchem podniósł się z fotela. Tak, zdecydowanie ma w sobie coś z dużego, groźnego kocura.

Zwilżyła wargi, po czym zaczęła podrzucać Nicholasa. Chłopczyk, wykrzywiwszy się, machał rączkami; najwyraźniej taka zabawa wcale mu się nie podobała.

- Wydaje mi się, że Diego kręci się gdzieś w pobliżu. - Rozejrzała się, szukając wzrokiem brata. - Mógłbyś...

- Daj mi tego dzieciaka - powiedział Tyler i z delikatnością, jakiej się po nim nie spodziewała, zabrał jej malca. - Trzęsiesz nim, jakby był workiem kartofli.

Marisa opuściła ręce wzdłuż ciała. Patrzyła, jak Tyler tuli dziecko do swej szerokiej klatki piersiowej, z której sińce prawie całkiem już znikły. Nicholas... cóż, był pogodnym dzieckiem, w dodatku wydawał się

zafascynowany tym dużym obcym mężczyzną, który trzymał go w ramionach.

W ostatniej chwili ugryzła się w język; miała ochotę powiedzieć mu to samo, co on powiedział jej* mianowicie, że do twarzy mu z tym malcem.

— Chodź. - Wyciągnął do niej rękę. - Rzeczywiście przyda mi się trochę ruchu.

Oblizła językiem wargi i wzięła głęboki oddech, usiłując zmusić serce do spowolnienia rytmu.

- Tyler, nie sądzę, aby...

Psiakość, ten skurczybyk wie, o czym ona myśli. Poznała to po wesołych iskierkach w jego czarnych jak węgiel oczach.

- Ten robaczek, jak go nazwałaś, może nam służyć za przyzwoitkę - oznajmił. - No chodź. Pokażesz mi, gdzie się bawiłaś w dzieciństwie.

Spędziła z Tylerem Murdochem wiele godzin - ba, dni! - czując do niego może nie nienawiść, ale na pewno niechęć. Więc dlaczego teraz czuła się tak, jakby dostała gwiazdkę z nieba?

Podawała mu rękę. Jej własna drżała. Miała nadzieję, że tego nie zauważy.

- Boże, chyba potwornie musisz się tu nudzić...

Zacisnął palce wokół jej dłoni i pociągnął ją w stronę słonecznej polany.

- Może po prostu ciekaw jestem, jak to się stało, że dziewczyna stąd - wykonał głową ruch obejmujący skromną chatę i otaczające ją pola - trafiła do wyższych sfer i zakochała się w Geraldzie Hyde-Smisie.

Zatrzymała się w pół kroku.

- Nigdy ci nie zdradziłam jego nazwiska.

Usiłowała wyrwać rękę, ale jej nie puszczał. Trzymał ją delikatnie, a zarazem mocno.

- Zdradziła je twoja babcia.

- Moja babcia mówi po angielsku mniej więcej tak samo, jak ty po mezcąjsku.

- Określenia, które padły z jej ust, kiedy wymieniła nazwisko Hyde-Smitha, były na tyle dosadne, że nie potrzebowałem tłumacza.

Pociągnął Marisę za rękę. Dopiero gdy odeszli kilka kroków od domu, ciągnął:

- Odniosłem wrażenie, że babcia nie przepada za tym panem.

- Szkoda, że rodzice nie podzielają jej zdania. - Wcale nie chciała tego powiedzieć. Słowa same wymknęły się jej z ust.

Przyśpieszyła kroku. Szli w stronę niewielkiego wzniesienia ciągnącego się między domem a kamienną drogą.

Tyler wciąż nie puszczał jej ręki.

Odruchowo skręciła w kierunku wioski. Droga była wyboista, pełna dziur i kolein wyżłobionych podczas ulewnych deszczy przez koła potężnych ciężarówek, którymi tubylcy jeździli na targ.

- Mariso, kiedy na ciebie patrzą, w ich oczach wi- dać dumę. Oni cię uwielbiają.

- Nie wiem, kiedy zdażyłeś to zaobserwować.

Zresztą z tą dumą to wcale nie była prawda. Kiedy po rozstaniu z Geraldem Marisa chciała wrócić do do-

mu, matka sprzeciwiła się; oznajmiła wprost, że nie będzie mile widziana.

- Obserwacja to moja specjalność.

- A czym jeszcze się zajmujesz? Zresztą nieważne.

- Dziewczyna machnęła lekceważąco wolną ręką. - Przecież nie będziesz tego mówił komuś, do kogo nie masz zaufania.

Obrócił ją twarzą do siebie.

- Przepraszam, myliłem się - rzekł.

Nie był pewien, kiedy doszedł do takiego wniosku: czy zanim Blondas dźgnął go nożem czy dopiero potem. Tak czy inaczej nie miało to teraz większego znaczenia.

- W dalszym ciągu nie wiem, co się kryje za twoją decyzją, żeby wziąć udział w tej misji, ale wiem już na pewno, że... że nie jesteś....

- W zмовie z wrogiem? - podsunęła niewinnym tonem.

- Tak.

- A co, jeśli wolno spytać, wpłynęło na zmianę twojego nastawienia? Dlaczego postanowiłeś mi w końcu zaufać? Dlatego, że bez słowa protestu drep-tałam za tobą, kiedy błądziłeś po dżungli?

Są takie chwile w życiu, kiedy mężczyzna wie, iż wkracza na pole minowe. Tyler Murdoch właśnie na nie wkroczył. I czuł, że lada moment nastąpi eksplozja.

- Powiedzmy - odparł.

Marisa uwolniła rękę z jego uścisku.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem wzruszona. Odwróciwszy się na pięcie, ruszyła przed siebie.

Sięgające pasa włosy kołysały się jej z boku na bok, gdy maszerowała energicznym krokiem, wzbijając chmury pyłu.

Nicholas wyciągnął rączkę i poklepał Tylera po brodzie. Mężczyzna spojrzał na chłopca.

- Wiesz, mały, facet nigdy nie zrozumie kobiety. Trzeba się z tym pogodzić i już. Im wcześniej to zaakceptujesz, tym lepiej. Oszczędzisz sobie wielu rozczarowań.

Ze śliny w kąciku ust dziecka utworzyła się bańka powietrza. W ten sposób Nicholas przyznał mu rację.

Mrugnawszy do malca, Tyler wydłużył krok i po chwili zrównał się z dziewczyną.

- Nie zapomnij, kotku, że ty mi również nie ufałaś - oznajmił sucho. - Więc daruj sobie ironiczne uwagi. Tym bardziej, że w dalszym ciągu mi nie ufasz.

- Nieprawda - oburzyła się.

- A może nie porównujesz mnie z Hyde-Smithem? Przyznaj się, przecież cały czas myślisz, że cię oszukam, że wytnę ci jakiś podły numer, taki sam, jaki on ci wyciął.

- Nie. Jesteście zupełnie inni.

- Tydzień temu twierdziłaś coś odwrotnego.

- Myliłam się!

- Ja też!

Czując, jak Nicholas wierci się niespokojnie, Tyler uświadomił sobie, że oboje z Marisą niemal krzyczą. Poklepał niezdarnie malca po plecach, mając nadzieję, że ten się nie rozpłacze, i zniżył głos.

- Zrozum - kontynuował po chwili - kobiety wie-

lokrotnie mnie zawodziły. Doszło do tego, że nie chciałem z żadną współpracować. - Czuł się tak, jakby zdradzał jej jakąś wielką tajemnicę, a przecież tak nie było. Odkąd Sonya okazała się zdrajczynią, otwarcie mówił o swojej niechęci do kontaktów zawodowych z kobietami. - Obawiam się, że swoją niechęć automatycznie przelałem na ciebie. Nie dałem ci szansy. Przyznaję się do błędu. Zadowolona?

Tak jak wcześniej Marisa, tak teraz on podrzucał dziecko. Przestał, kiedy zdał sobie z tego sprawę.

- Co ona ci zrobiła?
- Kto?
- Sonya.
- Sprzedała mnie i swój kraj za trzydzieści srebrników. Teraz to już nie ma znaczenia.

Wpatrywała się w niego z powątpiewaniem.

- Naprawdę. To już teraz nie ma znaczenia - powtórzył.

Nie kłamał. Z czasem rzeczywiście to, że Sonya go zdradziła, że przeszła na stronę wroga, przestało boleć. Oczywiście nie zapomniał o jej haniebnym uczynku, był wściekły, że tak postąpiła; kochał ją, a ona nie tylko nie odwzajemniała jego uczucia, ale udowodniła, że ma w pogardzie takie sprawy jak lojalność i patriotyzm. Jako mężczyzna przeszedł nad stratą do porządku dziennego, lecz jako obywatel nie potrafił wybaczyć jej podłości i wiarołomstwa.

Przyjrzał się uważnie Marisie. Był od niej o dziesięć lat starszy. W swoim życiu widział mnóstwo rzeczy - niekiedy sam brał w nich aktywny udział - które

wielu osobom śniłyby się po nocach. Ale w spojrzeniu Marisy zobaczył, że ona również dużo przeżyła, że ma za sobą nieprzyjemne doświadczenia, które pozostawiły trwałe ślady w jej psychice.

Postąpił krok do przodu. Jeden, drugi, trzeci.

Odchyliła w tył głowę. Nie cofnęła się, mimo błysku niepokoju w oczach.

Zastanawiał się, skąd taka krucha istota czerpie siłę; czy już jako dziecko odznaczała się odwagą i stanowczością, czy też te cechy charakteru pojawiły się w wyniku smutnych doświadczeń życiowych.

Zniżył wolno głowę. Nie odrywała spojrzenia od jego twarzy. W jej oczach widział to, co sam czuł.

Pożądanie.

Przeświadczenie, że pewnych spraw lepiej nie poruszać.

Świadomość, że żadne z nich nie zdoła się oprzeć pokusie.

Rozchyliła wargi. Ich usta dzieliła odległość może dwóch, może trzech centymetrów. Czuł jej oddech, ciepły, przyspieszony.

- Czy bardzo cię skrzywdził?

Przymknawszy powieki, cofnęła się pół kroku.

- Zniszczył mnie. Zrujnował moje życie.

- Jesteś za silna, aby jakiś facet mógł cię zniszczyć.

- Gdybym była silna, nie dałabym się tak omotać.

Wcześniej przejrzałabym na oczy. Zobaczyłabym, że pod maską czarującego anioła kryje się zimny podły drań.

- Pracował w ambasadzie w Waszyngtonie?

- Nie wtedy, gdy się poznaliśmy. Ale potem tak. Zresztą ja też, dopóki przez jego zazdrość nie straciłam pracy i miłości rodziny. - Wreszcie uniosła wzrok; w jej oczach lśniły łzy. - Wiesz, dlaczego moja mama nie wyrzuciła mnie za drzwi, kiedy pojawiałam się tu przed tygodniem? Bo wierzy, że jesteś moim mężem. Że wyszłam za mąż za człowieka, którego stać na własny samolot. To pomaga jej przewyciężyć wstyd, jakiego się najadła z powodu moich skandalicznych romansów oraz rozstania z Geraldem.

- Miałaś skandaliczne romanse?

- Gerald był o tym święcie przekonany. Ilekroć musiałam zostać chwilę dłużej w pracy, a większość moich współpracowników to byli mężczyźni, natychmiast nabierał podejrzeń, że go zdradzam. Żądał, abym zrezygnowała z pracy, rodziła dzieci, była kurą domową. Ale jak miałam rodzić dzieci, skoro nie potrafił się do mnie zbliżyć? - Rumieniec oblał jej policzki. - Chciał, żebym we wszystkim była mu uległa. Chciał decydować o tym, co na siebie wkładam, co mówię, co myślę. Zaprotestowałam. Kiedy zobaczył, że nie zamierzam rzucić pracy, zaczął rozsiewać o mnie ohydne plotki.

Tyler czuł narastającą złość. Trochę go to zaniepokoiło. Zawsze miał bzika na punkcie sprawiedliwości, ale tym razem to było coś więcej. Nie potrafił tego wytłumaczyć.

- W końcu powieści Geralda dotarły do Mezcai, do moich rodziców. Moja kuzynka Valencia, ta z Belize, wyszła za mąż za człowieka z rozległymi znajomościami.

Właśnie dzięki niej mogłam się uczyć, najpierw w Belize, potem rok w Stanach, a jeszcze później w Londynie. W Londynie poznałam Geralda. Szybko mi się oświadczył. Wyjeżdżał na placówkę do Waszyngtonu i powiedział, że nie wyobraża sobie życia bez mnie.

- Zacisnęła usta. - Byłam młoda, głupia i naiwna.

- Ile czasu spędziliście razem?

- Jedenaście miesięcy i czternaście dni - odparła sucho. - Stanowczo za długo. Wszystko zaczęło się psuć już po paru tygodniach. Gerald nieustannie mnie krytykował. Rzeczy, które wcześniej we mnie uwielbiał, nagle zaczęły go drażnić. Mój akcent, moje pochodzenie. On nawet... - Urwała, pałaszując. - Za dużo mówię.

Tyler pogładził jej jedwabisty policzek.

- Dokończ - poprosił.

Z trudem przełknęła ślinę i zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, były przepełnione bólem.

- Prawie... prawie się nie kochaliśmy... Do zbliżenia dochodziło wyłącznie wtedy, gdy Gerald był na mnie zły. Wkrótce przestało mi zależeć na zbliżeniach, zaczęłam się przed nimi bronić.

Nie dość, że facet miał nie po kolei w głowie, to jeszcze był kretynem, pomyślał Tyler.

- Biedactwo - szepnął.

Oczywiście jego doświadczenie w tej dziedzinie było zerowe. Sam nie miał żony, jego rodzice zaś rozstali się, kiedy najbardziej potrzebował ich obecności.

Marisa z cichym westchnieniem wypuściła powietrze z płuc.

- W każdym razie jakoś... przypuszczalnie to zasługa Valencii... plotki, które Gerald o mnie rozpoznał, dotarły do uszu mojej matki. Mama nie mogła znieść myśli, że okryłam ją hańbą. Byłam najstarszym dzieckiem, córką, a nie synem, który kiedyś w przyszłości przejmie rodzinną farmę. Okrutnie ją zawiodłam. Zdaniem rodziców, dziewczynki powinny mieć tylko jeden cel w życiu: dobrze wyjść za mąż. Uważali, oczywiście głównie mama, że pokpiłam sprawę.

- Jak ci się udało uwolnić od Geralda?

- Sprzedałam pierścioneł zaręczynowy. Osobista sekretarka ambasadora Torresa pomogła mi znaleźć jubilera, który zaproponował uczciwą cenę. Dzięki pieniądzom mogłam się wyprowadzić. Następnego dnia zostałam zwolniona z pracy za „niestosowne zachowanie”. - Wykrzywiła usta. - Gerald oszalał z wściekłości.

Urwała; na samo wspomnienie tego, co się wówczas działo, miała ochotę się rozpłakać. Tyler, gdyby mógł, najchętniej skreśliłby bydlakowi kark. Patrząc na smutek w oczach Marisy, domyślał się, jaką formę przybrała wściekłość jej narzeczonego.

Zwilżywszy wargi, kontynuowała cicho:

- Kilka razy udałam się do szpitala na obdukcję, żeby mieć dowód, w jaki sposób Gerald mnie potraktował. Ponadto zagroziłam, że powiadomię prasę, jeżeli nadal będzie mnie prześladował. Na szczęście Gerald się opamiętał i w końcu się ode mnie odczepił. Instynkt samozachowawczy wziął górę nad jego przemożną chęcią kontrolowania mnie na każdym kroku. Ale zo-

stałam bez pracy i bez pieniędzy. Niewielkie oszczędności, jakie miałam, poszły na opłacenie kosztów leczenia.

- Do domu nie mogłaś wrócić...?

- Mama dała mi wyraźnie do zrozumienia, że sobie tego nie życzy. Sprawiałam jej zawód. Miałam okazję poślubić bogatego, wpływowego człowieka i rodzić mu dzieci, a zamiast tego uciekłam.

- Nie znali jego prawdziwego charakteru. Gdybyś im powiedziała...

- Nie, Tyler. To by niczego nie zmieniło - rzekła znużonym tonem. - Mama nigdy by nie uwierzyła, że ktoś taki jak Gerald może mieć tak pomieszane w głowie. Ojciec wszystkie sprawy dotyczące domu i dzieci zawsze pozostawiał mamie; pod tym względem był tradycyjnistą. Ona zaś... jak by ci to wytłumaczyć? Cechuje ją upór, nieugiętość. Zresztą nie chciałam wracać do Mezcai. Całe życie marzyłam o tym, żeby się stąd wyrwać. - Odwróciła wzrok. Pojedyncza łza popłynęła jej po policzku. - Tylko nie przypuszczałam, że przyjdzie mi zapłacić tak wysoką cenę.

Tyler potrząsnął z rezygnacją głową i uczynił jedyną rzecz, jaką mógł zrobić, aby ją pocieszyć. Trzymając dziecko jedną ręką, drugą ręką przytulił Marisę do piersi. Nie chciał, żeby dalej towarzyszyła mu w wyprawie, było to niebezpieczne, ale nie wiedział, jak jej tego zabronić.

Objęła go w pasie.

Jej bliskość sprawiała mu przyjemność, a jednocześnie była torturą.

- Skąd pomysł tej misji? - spytał po chwili.

- Podsunął mi go ambasador Torres, a ja postanowiłam skorzystać z okazji. Tuż zanim opuściłam Geralda, ambasador Torres przeszedł na emeryturę. Doszły go jednak słuchy, że sprzedałam pierścionek. Od swojej dawnej sekretarki dowiedział się, dlaczego to zrobiłam. Chociaż obecnie ma coraz mniejsze wpływy, obiecał mi, że jeśli ta misja zakończy się sukcesem, postara się, aby przyjęto mnie z powrotem do pracy.

- Tego właśnie chcesz?

Na moment się zawahała.

- Tak.

Ni stąd, ni zowąd Nicholas chwycił Marisę piąstkami za włosy i przysunawszy buzię, złożył jej całusa na czole, rozładowując tym samym napięcie.

Dziewczyna uśmiechnęła się czule do dziecka, po czym delikatnie pogłaskała je po buzi.

- Nicholas wygląda zupełnie tak samo jak Luis.

- Jak kto?

- Luis. Mój brat. Ten, który zmarł na skutek ukąszenia węża. Gdyby żył, miałby teraz dwadzieścia trzy lata.

- Nie mówiłaś, że chłopcem, który zmarł, był twój brat.

- To był taki rozkoszny dzieciak.

- Przykro mi.

- Długo nie mogliśmy się z tym pogodzić.

Smutek w jej oczach przepełniał go bólem.

- A Diego? Ile ma lat? Dwadzieścia? Dwadzieścia jeden?

- Dwadzieścia dwa. Jego żona Teresa jest w moim wieku. Diego z Nicholasem wprowadzili się tu na czas pobytu Teresy w Kalifornii, bo tak w ogóle to mieszkają w wiosce, z jej rodzicami. Poza nimi na farmie mieszka jeszcze Manuel ze swoją żoną Sarą; spodziewają się pierwszego dziecka.

- Zapomniałaś o Inez. No i o Lydii. Tej małej blondyneczce, która siedziała na twoich kolanach, kiedy odzyskałem przytomność. Od tego czasu widziałem ją kilka razy.

Twarz Marisy spochmurniała.

- Lydia to córeczka Franca, który wyjechał na kilka miesięcy. - Opuściwszy ręce, cofnęła się o krok i uśmiechnęła, ale jej spojrzenie pozostało smutne, zamyślane. - Wiele osób z naszej dalszej rodziny mieszka w wiosce. Kiedy tylko mają czas, pomagają ojcu w pracach na polu. Dlatego przez dom przepływa nieustający strumień ludzi... No dobra, Murdoch, starczy o mnie. Może teraz mały rewanz?

Podjęli wędrówkę.

- Rewanz?

- Och, przestań. Nie udawaj głupiego, bo ci z tym nie do twarzy.

- W porządku. Więc nie znałem swojego ojca, a matce też szybko znudziła się rola troskliwej opiekunki. Wołała światła wielkiego miasta od wywiadówek w szkole. Któregoś dnia spakowała się i znikła.

- I co?

- I nic. Innej rodziny nie mam.

Westchnęła głośno.

- Murdoch...
- Diego wspomniał, że pewien człowiek w wiosce mógłby nam sprzedać ciężarówkę.

Poczuła ucisk w żołądku. Nie odezwała się.

- Chciałbym jutro ruszyć w dalszą drogę.
- Ciekawe, skąd wiedziałam, że to powiesz?
- Bo jestem przewidywalny. To twoje słowa.

scandalous

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Chociaż Marisa wierzyła, że jest czarną owcą i że rodzice przyjęli ją z powrotem wyłącznie z powodu Tylera, to jednak nie miała racji. Wkrótce się o tym przekonała.

Od momentu kiedy powiadomiła babcię, że nazajutrz wyrusza z Tylerem w dalszą podróż, wszyscy - nie tylko ojciec z matką i rodzeństwem, ale również ciotki, wujowie i kuzyni - rzucili się w wir pracy; zamierzali przygotować wspaniałą ucztę i hucznie młodych pożegnać.

- Cieszę się z naszego małżeństwa - wyjaśniła Tylerowi. - A ty będziesz miał okazję spróbować wspaniałych miejscowych potraw.

Próbował wszystko po kolei. Jedzenie rzeczywiście było wyśmienite. Babcia Marisy przeszła samą siebie. Jedno musiał przyznać Rodriguezom: umieli urządzać znakomite przyjęcia i świetnie się bawić.

Żałował jedynie, że jego „żona” nie potrafi się odprężyć i cieszyć z innymi. Niemrawo skubała jedzenie, a uśmiech miała wymuszony. Wreszcie Tyler nie wytrzymał. Pochyliwszy się w stronę Inez, szepnął jej coś do ucha - wiedział, że nastolatka zaraz wszystkim wypapla, iż zabrał żonę do lasu, bo strasznie się za nią

stęsknił - po czym wstał od stołu i chwycił Marisę za rękę.

- Chodźmy.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

- Dokąd?

- Wszystko jedno, byle dalej stąd.

Pociągnął ją lekko. Wzruszywszy ramionami, posłusznie odsunęła krzesło. Zupełnie jakby się umówili, ruszyli w kierunku drogi, którą wcześniej wędrowali. Im bardziej oddalał się od zastawionych stołów, przy których reszta rodziny wesoło biesiadowała, tym szybciej opuszczało Marisę napięcie; wkrótce czuła, jak przepełnia ją błogi spokój.

- Lepiej? - spytał Tyler, gdy śmiech i muzyka zostały daleko w tyle.

Skinęła głową.

- Zdecydowanie. Skąd wiedziałeś, że marzę o tym, aby opuścić towarzystwo?

Nikt inny nawet nie zauważył, że cały wieczór siedziała jak na szpilkach.

- Ptaszki o tym ćwierkały.

Ująwszy Tylera za łokieć, przycisnęła czoło do jego ramienia.

- Akurat. Powiedz, Murdoch, jak to jest, że taki drań jak ty ma jednak dobre serce?

- A żebym to ja wiedział!

Roześmiała się cicho.

- Spójrz na gwiazdy. - Wskazała głową niebo. - Jakie wielkie i lśniące. Tu zawsze wyglądają tak, jakby były na wyciągnięcie ręki.

- Mimo to koniecznie chciałaś się stąd wyrwać.
- Tak. I zawsze miałam z tego powodu wyrzuty sumienia. Dopiero niedawno zrozumiałam, że nie muszę się z niczego tłumaczyć. Że mogę mieszkać tam, gdzie mam ochotę.

- Słusznie. Brawo.

- A ty? Zawsze wiesz, czego chcesz?

- Ja? - Podobał mu się dotyk jej dłoni. - Mam przyjaciół i pracę, którą lubię. Niczego więcej mi nie trzeba.

- Faktycznie, po co ci miłość? - spytała ironicznym tonem. - Facet, który nie ufa kobietom, nie zakochuje się tak łatwo.

- Paru moich kumpli zakochało się niedawno. To mi wystarczy.

- Prawdziwy z ciebie romantyk, Murdoch.

- Nie mam nic przeciwko Josie i Ellen. To całkiem sympatyczne dziewczyny. Tyle że kazały swoim mężom pożegnać się ze stanem kawalerskim. Tylko pa-trzeć, a zabronią im niedzielnej gry w golfa.

Marisa wybuchnęła śmiechem.

- Żarty sobie ze mnie stroisz.

Nieustannie o niej myślał. Może źle zrobił, zabierając ją na wieczorny spacer. Grozi to komplikacjami...

Nagle skrzyła z drogi w wąską dróżkę i zaczęła wspinać się pod górę; w milczeniu podążył jej śladem. Szła, nie oglądając się za siebie. Przystanęła dopiero na szczycie, skąd rozciągał się widok na niedużą dolinę. Blask księżyca odbijał się w gładkiej tafli wody.

- Tam w dole jest wodospad, przy którym mnie zostawiłeś. Tyle że stąd, gdzie jesteśmy, widać tylko rzekę. Często przychodziłam tu jako dziecko. Uwielbiałam to niesamowite poczucie przestrzeni.

- Wspinałaś się na górę i patrząc w dół, marzyłaś o tym, żeby być gdzie indziej?

- Tak - przyznała cicho.

Usiedli na trawie. Marisa przymknęła powieki. Wtem poczuła klucie w żołądku. Wcześniej, otoczona rodziną, nie była w stanie nic przełknąć, jednakże to nie głód spowodował to odczucie, a jeśli głód - to na pewno nie ten wywołany brakiem jedzenia.

- Ja też chciałem się wyrwać - oznajmił po chwili Tyler. - Po tym, jak mama mnie zostawiła, przenosiłem się często z miejsca na miejsce. Aż do matury mieszkałem w różnych rodzinach zastępczych. W wojsku... w wojsku odżyłem. Poczujęm się tak, jakbym wreszcie wyszedł na prostą, znalazł swoje powołanie. Ci ludzie to moja rodzina.

Marisa naciągnęła spódnicę na kolana, po czym od-ruchowo, nie zastanawiając się nad tym, co robi, po-łożyła rękę na jego dłoni. Wiedziała, że mówiąc o ro-dzinie, Tyler myśli o Westinie.

- Przykro mi, że wszystko się tu tak pokompli-kowało - szepnęła.

Nie pozwolił jej cofnąć ręki. Wstrzymała oddech. Tu, pod roziskrzonym gwiazdami niebie, na tym skra-wku ziemi, gdzie tyle razy siadywała, marząc o dale-kich krajach, niewinny dotyk wydawał się jej czymś szalenie intymnym.

- Uratowałaś mi życie.
Gładził jej dłoń, całkowicie Marisę dekoncentrując.
- Ty moje również - rzekła, przełykając ślinę.
- Nie chcę, żebyś szła ze mną do obozu terrorystów.

Z jednej strony czuła pożądanie, z drugiej złość za to, co przed chwilą powiedziała.

- Jak możesz tak mówić? Po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy?

Usiłowała oswobodzić rękę. Bez skutku.

- Posłuchaj, wystarczająco dużo dla mnie zrobiłaś, a nie mamy żadnej pewności, czym się ta akcja skończy.

- Wiem. Ale decyzja należy do mnie. Dam sobie radę.

- Tak myślisz? Ale a nie chcę martwić się o ciebie, kiedy powinienem być skupiony na uwalnianiu Westina.

- Nikt ci nie każe martwić się o mnie.

- Psiakrew, Mariso! Może nie każe, ale nie sądzę, żebym zdołał się powstrzymać.

Zaschło jej w gardle.

- Gdybyś powiedział to dwa tygodnie temu, nigdy bym ci nie uwierzyła.

- A teraz?

- Teraz wierzę.

- To dobrze. - Westchnął z zadowoleniem. - Jeśli chodzi o twoje relacje z rodziną, niewiele mogę pomóc. Ale nie jestem człowiekiem całkiem pozbawionym wpływów. Mogę ci obiecać, że ambasador Torres

dowie się o wszystkich twoich zasługach. Już nigdy więcej nie będziesz musiała pracować jako kelnerka lub tłumaczka, chyba że sama tego zechcesz. A jeżeli z jakiegoś powodu nie przyjmą cię z powrotem do pracy w ambasadzie w Waszyngtonie, postaram się załatwić ci coś innego.

Patrzyła na niego, jakby postradał zmysły.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że pomogę ci znów stanąć na nogi.

- Ależ Tyler, ja wcale nie potrzebuję twojej pomocy. Sama jestem w stanie odmienić swój los. Na razie chcę tylko wykonać to, czego się podjęłam.

- To znaczy? Przedostać się na teren la Fortuny i dać się zabić?

- Nie bądź śmieszny! Prędzej zabiją ciebie niż mnie, i dobrze o tym wiesz.

- Nie chcę, żeby cokolwiek ci się stało - powtórzył. Nie miał innych argumentów.

- Murdoch...

Objął ją mocno w pasie.

- Mariso, wszyscy w Waszyngtonie dowiedzą się, jak bardzo mi pomogłaś i ile ci zawdzięczam. Przywrócą cię do pracy. Nie będziesz...

- Potrzebujesz mnie - przerwała mu w pół słowa.

- Owszem. Ale żywej. Całej i zdrowej.

- Dlaczego? Przecież...

- Dobrze wiesz dlaczego.

Spojrzała na księżyc, duży i biały na tle czarnego nieba. Po chwili ręka obejmująca ją w talii przesunęła się wyżej, wzdłuż jej ramienia. Marisa zadrzała; czuła,

jak pod cienkim materiałem sukienki nabrzmiewają z podniecenia jej piersi.

- Nie zdradzę cię tak jak Sonya - szepnęła.

- Wiem. - Wędrująca w górę i w dół ramienia dłoń otarła lekko o jej pierś. - Chcesz, żebyśmy tu siedzieli przez całą noc?

Pokręciła głową.

- Nie.

Zbliżył wargi. Poczowała na skroni jego ciepły oddech.

- A co byś chciała?

Świat zawirował jej przed oczami.

- Tyler... ja...

- Powiedz, Mariso. - Niski, zmysłowy głos sprawił, że przebiegły ją ciarki. - Nie chcę nic robić wbrew twojej woli.

- To dobrze.

Wiedziała, że niepotrzebnie się go obawia. Tyler Murdoch nie jest Geraldem Hyde-Smithem. Nigdy nie posunąłby się do przemocy.

Po chwili jednym płynnym ruchem podniósł się z ziemi, udowadniając, że bez względu na to, czy rany zadane przez Niemca się zagoiły, czy nie, to pod względem fizycznym jest w pełni sprawny i nie ma powodu dłużej zwlekać z dalszą wyprawą. Podawszy rękę Marisie, podciągnął ją na nogi. W zalegającej wokół ciszy szelest marszczony spódnicy zabrzmiał wyjątkowo głośno.

- W porządku. - Tyler wolno wypuścił z płuc powietrze, następnie schyliwszy się, pocałował Marisę w czoło. - Masz rację. To nie jest najlepszy pomysł.

Odwrócił się, gotów ruszyć w stronę domu.

Patrzyła, jak się od niej oddala. Krok, dwa kroki, trzy. Wreszcie wydobyła głos.

- Tyler!

Ramiona mu zeszywniały. Myślała, że się nie zatrzyma, ale zatrzymał się i obejrzał za siebie. Na widok bezbrzeżnego smutku wyzierającego z jego oczu nogi się pod nią ugięły. Miała ochotę rozpłakać się. Tyle biedak w życiu wycierpiał!

Zwilżyła wargi, potem wolno zaczęła zsuwać ramiączka.

Tkwiał bez ruchu, nie odrywając od niej wzroku.

Po chwili sukienka leżała u jej stóp.

Milczał.

Stała przed nim naga, skąpana w srebrzystych promieniach księżycy. Na jej szyi połyskiwał delikatny złoty łańcuszek.

- Moim zdaniem pomysł jest całkiem dobry - szepnęła. - Nie odchodź, Tyler. Zostań ze mną, na tę jedną noc.

Była taka piękna. Korciło go, aby pochwycić ją w ramiona, tulić, całować. Rozum mówił mu jednak, żeby tego nie robił. Że powinien trzymać się od niej z daleka. Ta kobieta zasługuje na więcej, niż mógłby jej ofiarować.

On jest żołnierzem, wojownikiem. Pół życia spędza w drodze, wykonując zadania, jakie normalnym ludziom nie mieszczą się w głowie.

Wyczuwając walkę, która się w nim toczy, Marisa podeszła bliżej niego.

- Pokaż mi, co straciłam. Pokaż, na czym polega miłość.

Postąpiła kolejny krok naprzód. I jeszcze jeden. Stała przed nim, śliczna i naga. Czuł na brodzie dotyk jej włosów; powietrze, które wydychała, łaskotało go w obojczyk.

Niczego nie udawała; jej naturalność działała na niego niezwykle podniecająco.

Ściągnęła mu przez głowę koszulę, następnie zaczęła rozpinąć spodnie. Zamknął oczy, wstrzymał oddech. Nagle zawahała się, jakby speszona własną odwagą.

- Po raz pierwszy ktoś mi to robi - powiedział cicho.

- Co?

- Rozbiera.

Opuściła rzęsy.

- A ona? Nigdy nie...

- Nigdy. - Uśmiechnął się czule.

Odwzajemniła uśmiech i wróciła do przerwanej czynności. Nadzy, najpierw spoglądali na siebie, badając się wzrokiem, potem delikatnie zaczęli się pieścić, całować, gładzić. Ciszę przerywało sapanie, coraz szybsze, coraz bardziej urywane.

Tyler rozprostował na trawie swą koszulę, po czym ułożył na niej Marisę. Przez moment stał nad nią, podziwiając piękno jej ciała. Uniosła ręce, zapraszającym gestem przywołując go do siebie.

Wabiąca i ponętna. Niewinna i delikatna, a zarazem silna i nieustraszona. Wiedział, że nigdy się od

niej nie uwolni. Że ten obraz na zawsze z nim pozostanie.

Oplotła ręce wokół szyi Tylera i szepnąwszy jego imię, przywarła ustami do jego ust, gotowa oddać mu się bez pamięci. Słuchając jej jęków rozkoszy, uświadomił sobie, że właśnie tak kochają się ludzie, którzy są sobie przeznaczeni.

scandalous

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wyjechał.

Rano, kiedy się obudziła, miejsce obok było puste. Natychmiast się domyśliła, że nie zobaczy przed domem starego dżipa, którego Tyler kupił w wiosce. Zerwała się z pościeli i podeszła do okna, właściwie tylko po to, by potwierdzić swoje przypuszczenia.

Pojechał do Fortaleza de la Fortuna sam. Bez niej.

Jeszcze kilka dni temu potraktowałyby to jako dowód braku zaufania. Teraz jednak wiedziała, że tak nie jest. Tyler po prostu chciał ją ustrzec przed niebezpieczeństwem.

Owinięta cienkim prześcieradłem, odwróciła się od okna i spojrzała na łóżko. Kilka godzin temu wrócili z nocnego spaceru, padli na materac i znów zaczęli się kochać.

Na samą myśl o tym, co robili, policzki zaczęły ją piec. Niespiesznie, z ogromną czułością i dociekliwością badali nawzajem swoje ciała, w milczeniu odkrywając miejsca najbardziej wrażliwe na dotyk, na pieczętę, na pocałunek...

Odgarnawszy włosy z oczu, starała się wrócić myślami do rzeczywistości. Nie było to łatwe, bo ciało wciąż miała rozgrzane miłością, ale musiała się skupić

na sprawach bieżących. Na przykład na tym, jakie Tyler ma szanse, aby samemu, bez jej pomocy, dostać się do fortecy.

Ma ważną misję do wykonania. Ale nie on jeden.

Ubrawszy się w rzeczy pożyczone od młodszej siostry, udała się na poszukiwanie babci. Uścisnęła staruszkę na pożegnanie.

- Dobra z ciebie dziewczyna. - Białą od mąki ręką *abuela* poklepała wnuczkę po policzku, tak jak to robiła, gdy ta była małą dziewczynką. - A twój mężczyzna to porządny człowiek. Nie taki jak ten poprzedni. - Wykrzywiła pogardliwie wargi. - Belicia zawsze zbyt dużą wagę przywiązywała do rzeczy materialnych, do tych cacek, o których czyta w kolorowych pismach. Pragnęła, żebyś miała to, na co jej nigdy nie było stać. Niestety, duma nie pozwoliła jej przejrzeć na oczy i przyznać ci racji, kiedy odeszłaś od narzeczonego.

- Och, *abuelal* A teraz tylko z powodu Tylera nie wskazała mi drzwi. Myśli, że Tyler jest bogatym Amerykaninem, ponieważ przylecieliśmy tu jego samolotem. Zdaniem mamy, bogaty Amerykanin to jeszcze lepsza zdobycz od bogatego Anglika.

Staruszka pogroziła wnuczce białym od mąki palcem.

- Dobrze, że nie chcesz sprawiać rodzicom przykrości, ale źle, że nie widzisz, co tobie może sprawić radość.

- *Abuelo...*

- Przecież widzę, *niña*, jak wodzisz za nim wzrokiem. I jak on na ciebie patrzy. Mimo to odjechał dziś przed wschodem słońca.

Marisa zawahała się. Jak Tyler na nią patrzył?

- Dogonię go.

- Przyjechaliście na urlop... - Staruszka pokręciła z niedowierzaniem głową.

Marisa przygryzła wargę.

- Oj, dziecko, dziecko. - Babcia uśmiechnęła się z politowaniem. - Nigdy nie umiałaś kłamać. Ale niech ci będzie. Jedź za nim. Goń swojego mężczyznę.

- *Abuelo*, on... Tyler nie jest...

- Ciii. Kochasz go, prawda?

Otworzyła usta, by zaprzeczyć, ale głos uwiązł jej w gardle. Babcia popatrzyła na nią z zatroskaniem.

- Kiedy spotkasz Franca, powiedz mu, że jego córka potrzebuje ojca.

Marisę замуrowało.

- Babciu, dlaczego myślisz, że...

- Moje stare oczy widzą więcej, niż ci się zdaje.

Dowiedziałaś się o zamiarach Franca i postanowiłaś przemówić mu do rozumu. Tak?

Oparła się o blat stołu.

- Tak.

- Boże. - Staruszka westchnęła. - Wszystkiemu winna jest Belcia. Moja uparta córka. Najpierw obraża się na ciebie za to, że uciekłaś od tego kretyna, potem nie umie powstrzymać Franca... Ale ona już się nie zmieni, jest na to za stara. Natomiast ty, dziecko, jesteś jeszcze młoda. Tobie łatwiej zdobyć się na wspaniałość. Pamiętaj o tym, dobrze? Nie zapiekaj się w złości.

Po chwili z takim zapałem i energią przystąpiła do

zagniatania ciasta, jakby miała trzydzieści lat - a liczyła ich prawie trzy razy tyle. Jaka szkoda, pomyślała Marisa, że ludzie nie są nieśmiertelni. I że nikt nie zna przyszłości. Nie wiedziała na przykład, co się wydarzy w ciągu najbliższych paru dni. Wierzyła jednak, że Tylerowi powiedzie się misja. Co do tego nie miała wątpliwości.

Jeśli zaś chodzi o Franca... cóż, miała nadzieję, że zdaży mu pomóc. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że kiedy Tyler dowie się, dlaczego tak bardzo zależało jej na dotarciu do la Fortuny, już nigdy więcej jej nie zaufa.

Sama ta myśl przyprawiła ją o ból serca.

Pochyliwszy się, ucałowała babcię, po czym wybiegła z domu, zanim staruszka zdołała coś więcej przeczytać z jej oczu.

„Pożyczyła” ciężarówkę Diega, który poszedł z ojcem na pole. Wyrzuty sumienia zagłuszyła wypowiedzianą w myślach obietnicą, że pojazd na pewno kiedyś zwróci. Ruszyła z piskiem opon. Nie odrywając nogi od pedału gazu, pędziła przed siebie, tą samą drogą, którą o świcie pojechał Tyler, a w uszach ciągle dźwięczały jej słowa babci.

„Kochasz go, prawda?”

Jeszcze nigdy tyle osób nie łąpało na niego spodełba co w tym lokalu pod chmurką. A przecież wielokrotnie bywał na obcym terenie, wśród ludzi niezbyt przyjaźnie do niego nastawionych.

Z informacji zebranych przez wywiad wynikało, że

większość tych, którzy pracowali w la Fortunie, lubiła zaglądać tu na piwo. Dlatego i on postanowił tutaj zajrzeć. Jednego tylko nie mógł zrozumieć: skoro nawet nie wymienił nazwy obozu, dlaczego bywalcy patrzą na niego z jawną wrogością, jakby im matki pomordował?

Trudno, pomyślał, wzruszając ramionami. Z kieliszkiem tequila podszedł do pustego stolika. Nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenia, na ciszę, jaka zapadła, na wrogość bijącą ze śniadych twarzy, wysunął krzesło i usiadł. Mniej więcej po minucie, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, ponownie podniósł się szmer rozmów. Tyler przestał być obiektem zainteresowania.

Dzięki paru lekcjom, jakich Marisa mu udzieliła, kiedy w domu jej rodziców wracał do zdrowia, od czasu do czasu wychwytywał pojedyncze słowa. Rzecz jasna, siedzący przy stolikach mężczyźni mogliby knuć, jak go pozbawić życia, a on i tak nie miałby o tym pojęcia.

Jednym haustem opróżnił kieliszek i zamówił następny, nie dlatego, że chciał go wypić, ale po to, by mógł chwilę dłużej posiedzieć i rozejrzeć się po okolicy.

Pod ścianą, przy ladzie barowej, stała siwowłosa kobieta pogrążona w rozmowie z barmanem. Tokowała z przejęciem, nie dbając o to, że mężczyzna co rusz prosił ją o ściszenie głosu.

Pod lokal podjechał jaskrawoczerwony pikap, z którego wysiadło trzech młodzieńców. W skrzyni za szoferką leżał sprzęt ogrodniczy. Łopaty, szlauch, zra-

szacz, worki z ziemią. Hm, niezły pomysł, przemknęło Tylerowi przez myśl.

Trójka nowo przybyłych dołączyła do grupy siedzącej przy długim stole. Staruszka przy barze niemal wrzeszczała, zagłuszając inne rozmowy. Przyniósłszy młodzieńcom piwo, barman podniósł rękę, nakazując kobiecie, żeby przestała się wydzierać.

Po chwili w lokalu ponownie zapadła cisza.

Zanim Tyler odwrócił się, by sprawdzić, dlaczego odpoczywający przy piwie mężczyźni znów przerwali rozmowy, przebiegł go po plecach dreszcz. Raptem kątem oka dojrzał Marisę. Miała na sobie džinsowe szorty oraz wiązaną pod biustem czerwoną koszulę.

Zauważyła go. Ledwo odsunął krzesło od stołu, gdy rzuciła mu się w objęcia. Trajkocząc głośno po mezcajsku, zaczęła go całować, w jeden policzek, w drugi, i od nowa.

Próbował ją delikatnie odepchnąć, ale objęła go mocniej za szyję.

- Później ci wytłumaczę - szepnęła mu do ucha, po czym skierowała się do baru.

Idąc, kręciła zmysłowo biodrami, za to minę miała smutną, jakby spotkała ją straszna przykrość. Po minucie czy dwóch, wciąż ze skwaszoną miną, powróciła do jego stolika i, jak gdyby nigdy nic, usiadła mu na kolanach

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - spytał tuż nad jej uchem.

Odrzuciła do tyłu włosy i przez chwilę obracała w dłoni butelkę.

- Kłóć się z tobą, mężu kochany - odparła szep-

tem. - Tamta kobieta doskonale mnie rozumie, bo ona też kłóci się z mężem.

Barman rozniósł gościom przy długim stole po jeszcze jednym kuflu piwa.

- Ale nie siedzi mu na kolanach - burknął Tyler. Marisa popatrzyła mu z rozbawieniem w oczy.

- Ojej, czyżbym była za ciężka?

Zacisnął dłonie na jej biodrach.

- Przestań, Mariso. To nie jest śmieszne.

Poderwała się na nogi i wybuchnęła płaczem. Otworzył usta ze zdumienia.

- Mariso...

Nie słuchała. Zanosząc się szlochem, rzuciła się w ramiona siwowłosej kobiety. Ta posłała mu zagniewane spojrzenie, którego znaczenia nikt nie musiał mu tłumaczyć.

Postanowił wypić drugi kieliszek.

Kobieta poklepywała Marisę po plecach, próbowała ją pocieszyć, uspokoić. Przynajmniej, pomyślał Tyler, barman ma chwilę wytchnienia.

Zaczął się zastanawiać, co robić. Wiedział, że nie może Marisy tu zostawić. Musi ją odwieźć do domu, a potem pomyśleć, w jaki sposób ma się dostać do obozu terrorystów. Kiedy się nad tym głowił, dziewczyna wróciła do stolika, uśmiechnięta od ucha do ucha. Biorąc go za rękę, spojrzeniem nakazała, aby o nic nie pytał. Ruszył za nią zaintrygowany.

Dziesięć minut później wraz z siwowłosą kobietą weszli przez żelazną bramę w wysokim, kamiennym murze otaczającym la Fortunę.

Nie wierzył własnym oczom: za łatwo im poszło. Lada moment spodziewał się usłyszeć, jak ktoś ładuje broń. Niczego takiego nie usłyszał. Nikt nie strzelił, nikt nie krzyknął, że to teren prywatny, nikt na nich nie spojrział. Nie rozległ się żaden alarm, żadne psy nie rzuciły się do ataku.

Drepcząc za swoją przewodniczką, zbliżali się do imponującej budowli. Marisa sprawiała wrażenie spokojnej, opanowanej. W rzeczywistości ze zdenerwowania wbijała mu w rękę paznokcie.

Tyler zaklął w duchu, patrząc na ogromne kolumny, pod którymi znajdowała się weranda. Co za przepych! Skierowali się na tył domu, do kuchennych drzwi. Kuchnia kipiała życiem, wszyscy uwijali się jak w ukropie.

Marisa gawędziła z siwowłosą kobietą, zupełnie jakby ta była jej dawno niewidzianą ciotką; Tyler, zgodnie z poleceniem, usiadł w kącie, aby nie przeszkadzać.

Gotują jak dla wojska, pomyślał, obserwując nerwową krzątanicę. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę zasięg działania El Jefe, może faktycznie na terenie fortecy przebywała cała armia.

Po paru minutach Marisa wyprowadziła go na zewnątrz, gdzie również kręciło się mnóstwo zaaferowanych osób.

- Gabriela powiedziała, że możesz zacząć pracę od dziś. W ogrodzie. - Mówiła szybko, ściszonego głosem. - Na jutro planowana jest uroczysta kolacja; mają przybyć wszyscy generałowie. Liderzy organizacji. Informację o kolacji przekazano Gabrieli zaledwie go-

dzinę temu, dlatego tam w lokalu była taka zdenerwowana. Cała kuchnia jest na jej głowie.

- No dobrze, ale dlaczego pozwoliła nam tu wejść? Wie, że nie jestem Mezcajczykiem...

- Za to myśli, że ja jestem mistrzynią gotowania - odparła dziewczyna, unikając jego wzroku. - Powiedziałam jej, że chcesz wracać do Stanów, bo nie możesz znaleźć tu pracy, a ja nie chcę opuszczać Mezcai. Pewnie uznała, że proponując nam pracę, uratuje nasze małżeństwo, a sobie zapewni dodatkową pomoc. Służba mieszka na terenie fortecy, w specjalnych kwadrach; obiecała załatwić nam tam miejsce na noc. Aha, prosiła też, żebyś poszedł do Henry'ego, szefa ogrodników, który pracuje teraz w ogrodzie różanym, i powiedział, że przysłała cię Gabriela.

Tyler był zachwycony; może sadzić kwiatki pleć grządki, wszystko jedno. Najważniejsze, że są w środku. I że nikt niczego nie podejrzewa.

Wyglądało na to, że Marisa wcale nie potrzebuje jego opieki; doskonale radzi sobie sama. Przynajmniej na razie.

- Umiesz gotować? - spytał nagle.

- A ty zajmować się ogrodem? - Pocałowała go w policzek i pośpiesznym krokiem oddaliła się do kuchni.

Tyler wolno wykonał obrót wokół własnej osi, uważnie rozglądając się dookoła. Teren ogrodzony kamiennym murem był starannie utrzymany. Od bramy prowadziła bita droga. Nie licząc głównej rezydencji, wszystkie budynki były białe z czerwonymi dachów-

kami. Rozległy trawnik przed domem zdobiły porostawiane tu i ówdzie rzeźby. Miało się wrażenie niesłychanego wprost bogactwa i przepychu; niestety Tyler dobrze wiedział, skąd pochodzą pieniądze na ten zbytek.

Gdzieś tam, wśród tych pięknych domów, idealnie przystrzyżonych krzewów, kwiatów i wijących się ścieżek, przebywa porwany i uwięziony pułkownik Phillip Westin.

Niedługo będzie pan wolny, obiecał mu w myślach Tyler.

Wtem usłyszał za sobą głos:

- Skąd taki Amerykaniec jak ty zna taką śliczną miejscową dziewczynę?

Obejrzawszy się przez ramię, Tyler zobaczył oparłego o mur młodzieńca z wbitą w ziemię łopatą.

- Wydawało mi się, że nikt tu nie mówi po angielsku - zauważył.

Młodzieniec wydał pogardliwie wargi.

- Niektórzy może nie mówią, ale większość rozumie. To skąd znasz tę dziewczynę?

Tyler odruchowo zacisnął pięści.

- To moja kobieta.

- Jesteś tego pewien?

- Absolutnie. Ktokolwiek będzie ją zaczepiał, gorzko tego pożałuje.

Młodzieniec pokiwał głową, po czym zmrużył z namysłem oczy.

- Uważaj na siebie. I na nią.

Zarzuciwszy łopatę na ramię, oddalił się wolnym.

krokiem. Tyler odprowadził go wzrokiem, dumając nad ostrzeżeniem.

Po chwili zerknął przez otwarte drzwi kuchni i dojrzał Marisę dźwigającą worek kartofli. Dostrzegłszy go, posłała mu przyjazny uśmiech. Sekundę później znikła z pola widzenia.

Możesz być pewien, przyjacielu, pomyślał Tyler. Będę uważał, zwłaszcza na nią.

Przyszło mu do głowy, że po raz pierwszy w życiu ktoś również będzie czuwał nad nim.

Wczesnym popołudniem odkrył ze zdumieniem, że niemal cała populacja la Fortuny robi przerwę na sjęstę. Nie powinno to go dziwić, w wielu południowych krajach sjęsta jest rzeczą świętą, ale jakoś nie spodziewał się, że w trakcie nerwowych przygotowań do jutrzejszej uroczystości wszyscy nagle odłożą narzędzia pracy i udadzą się na odpoczynek.

Kiedy jednak Marisa odnalazła go w ogrodzie, ucieszył się z przerwy.

Śniady nastolatek zaprowadził ich do białego budynku dla służby i wskazał pokój, który mogą zająć.

Wcześniej plecak Tylera został dokładnie przeszukany. Kiedy zgodnie z poleceniem Gabrieli, Tyler szedł do ogrodu różanego, zatrzymał go jeden ze strażników. Kazał pokazać sobie zawartość plecaka. Na widok „pagera” wybuchnął pogardliwym śmiechem. Tyler był pewien, że urządzenie zostanie zarekwirowane. Miał nadzieję, że nie, ale...

Jeszcze nikomu nie udało się dotrzeć tak blisko

Westina. Ukryty w aparaciku nadajnik niewątpliwie może się przydać, ale w obecnej sytuacji nie ma to aż takiego znaczenia.

Strażnik najwidoczniej uznał, że w fortecy „pager” to bezużyteczny śmieć i wrzucił go z powrotem do plecaka. Zabrał jednak nóż sprężynowy oraz portfel, w którym były fałszywe dokumenty oraz pięćset dolarów w gotówce.

Spoglądając na Tylera z wyzwaniem w oczach, jakby ciekaw jego reakcji, oddał mu plecak. Tyler nic nie powiedział. Odprowadził strażnika wzrokiem, po czym skręcił w krzaki róż; dopiero tam pozwolił sobie na uśmiech zadowolenia.

Teraz, w przydzielonym im pokoju wielkości więziennej celi, przyłożył palec do ust, nakazując Marisie ciszę, sam zaś zaczął sprawdzać, czy nie zamontowano gdzieś urządzeń podsłuchowych. Zaglądał wszędzie, nie spieszył się. Niczego jednak nie znalazł. Żadnej pluskwy.

Oczywiście o niczym to nie świadczy. Na wszelki wypadek zgarnął Marisę w ramiona i zbliżył usta do jej ucha.

- Uważaj, co mówisz - szepnął. - Pewnie bossowie wychodzą z założenia, że służby nie trzeba szpiegować, ale diabli wiedzą. Mogłem coś przeoczyć.

Marisa drżała z podniecenia.

- Nie sądzę, żeby te pomieszczenia były na podsłuchu. Żebyś wiedział, o czym towarzystwo rozmawiało w kuchni! Gdyby bali się pluskiew czy kamer, na pewno by się pilnowali.

- A co mówili?

Wciąż nie wypuszczał jej z ramion. Marisie to bynajmniej nie przeszkadzało.

- Kuchnią zarządza Gabriela. Jest siostrą jednego z generałów, dlatego przyznano jej tak ważne stanowisko. Ale bez względu na swoją funkcję, też cały czas miałe jęzorem.

- O czym?

- O wszystkim. Ile pieniędzy się dziennie przejada, ile kosztuje prowadzenie domu, że wśród generałów toczy się walka o władzę, kto z kim spia.

Zniecierpliwiony westchnął głęboko.

- Akurat takie sprawy mnie nie interesują.

Marisa delikatnie zacisnęła wargi na jego uchu.

- Czyżby? - spytała z uśmiechem.

Objął ją w pasie.

- Przestań, kusicielko. O czym jeszcze rozmawiali twoi przyjaciele w kuchni?

- O niczym. W pewnej chwili zjawił się ktoś o nazwisku Mendez i nagle rozmowy ucichły. Wpadłam facetowi w oko.

- Skąd wiesz?

Wzruszyła ramionami.

- Wyczytałam to z jego oczu. Gość musi być kimś ważnym, sądząc po ciszy, jaką zapadła, kiedy wszedł do kuchni.

- Trzymaj się od niego z daleka.

- Tyler, niczego się nie dowiem, jeśli nie będę korzystała z okazji. Na miłość boską, po to tu jestem.

- Wprowadziłaś mnie na teren obozu. To wystarczy. Nie chcę, żebyś się narażała na niebezpieczeństwo.

Pogładziła go po szyi.

- Opowiedzieć ci o jutrzejszej kolacji?

Chwycił ją za rękę.

- Psiakrew, ty mnie wykończysz! No, mów.

- Szykuje się wielka impreza. Zjadą się wszyscy przywódcy El Jefe. Takiego spotkania nie było od ponad roku. Dlatego służba dwoi się i troi.

- O żadnych więźniach nie było mowy?

Pokręciła głową.

- Nie. Przykro mi.

- Westin gdzieś tu musi być. Luke wspominał o jakiejś grocie. - Tyler zadumał się. - Nie wierzę, że go sprzątnęli. Zbyt długo się z nami targowali.

- Targowali? Nie rozumiem...

- Sądzi, że mogą nam stawiać warunki - wyjaśnił cicho. - Nie wiedzieli, że rząd amerykański nie idzie na żadne układy z terrorystami. Istnieją inne metody odbijania zakładników.

- Można, na przykład, wysłać Murdocha...

- Zgłosiłem się na ochotnika.

- Z powodu tego, co Westin dla ciebie zrobił?

- Tak. Jestem jego dłużnikiem.

- I cenisz lojalność - dokończyła dziewczyna.

Uwolniwszy się z jego objęć, zaczęła chodzić po pokoju. Stało tu tylko wąskie łóżko, komoda, lampą. Miejsc, gdzie można by ukryć urządzenie podsłuchowe, było niewiele.

Patrzył, jak Marisa obraca w palcach krzyżyk zawieszony u szyi. Coś ją wyraźnie niepokoiło.

- Poza tym Mendezem wszyscy inni wiedzą, że je-

steś moją kobietą - rzekł, próbując odgadnąć powód jej zdenerwowania.

Dopiero po chwili zorientowała się, o co mu chodzi.

- Zdamę sobie sprawę z niebezpieczeństw, Tyler. Ale nie boję się. Wiem, że przy tobie nic mi nie grozi.

Usiadł na brzegu łóżka. Materac był zdecydowanie za miękki. Gdyby dwie osoby chciały na nim spać, stoczyłyby się na środek. Kusząca perspektywa, pomyślał. Szybko jednak wrócił do rzeczywistości.

Marisa podjęła spacer po pokoju.

- Skoro Westin był ich kartą przetargową, nie powinni się go pozbywać. Czego domagali się w zamian?

Tyler pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. Może po prostu chcieli się zemścić? - Chwyć Marisę za rękę i przyciągnął do siebie na kolana. - Jakiś czas temu pieniądze El Jefe zarobione na narkotykach zaczęły docierać do Mission Creek. Westin usiłował temu zapobiec. Postanowił udać się na teren wroga. Wiesz, co mnie korci, jak odnajdę pułkownika? Żeby wysadzić tę cholerną fortecę w powietrze.

Na jej twarzy odmalowało się przerażenie.

- Nie możesz. Tu jest mnóstwo niewinnych ludzi, którzy...

- Wiem. Nie powiedziałem, że to zrobię. Powiedziałem, że mnie korci.

- Tyler, jest coś, o czym muszę ci...

W tym momencie rozległo się walenie do drzwi oraz okrzyk znamionujący koniec sjeisty. Marisa podskoczyła jak oparzona.

- Muszę iść. - Sięgnęła do klamki.
- Mariso...
- Co?

Przypomniał sobie młodzieńca z łopata, który kazał mu być ostrożnym.

- Uważaj na siebie. Trzymaj się z kobietami. Unikaj przebywania z kimkolwiek na osobności. Zwłaszcza z tym Mendezem.

Chyba chciała zaprotestować, ale rozmyśliła się i uśmiechnęła się do niego.

- Ty też uważaj. Aha, Gabriela mówiła, że służba jada razem. Po tym, jak uprzątnie się ze stołów.

- W takim razie zaklepuję miejsce koło ciebie.

Zerknąwszy na łóżko, poczuła, jak oblewa się rumieńcem.

- Dobrze. Tyler... to już końcówka, prawda?

- Tak. Uwalniam Westina i znikamy.

Zwilżyła wargi, jakby miała zamiar coś powiedzieć, ale rozmyśliła się. Zamiast tego podeszła do Tylera, złożyła na jego ustach gorący pocałunek i wybiegła na korytarz.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Zabierz łapy od mojej żony.

Słyszając przepełniony furją głos, Marisa poczuła niewystłowioną ulgę. Wprawdzie udało jej się wsunąć łokieć pomiędzy siebie a Mendeza, bała się jednak, że nie zdoła się długo obronić przed jego obrzydliwymi awansami.

- Powiedziałem: zabierz łapy!

Tyler siłą odciągnął od niej barczystego strażnika. Wiedząc, ile wypił wina do kolacji, Marisa zdziwiła się, że Mendez nie leży pod stołem. Nie tylko nie leżał, ale w dodatku postanowił znokautować Tylera. Ten bez trudu uchylił się przed ciosem.

Po chwili, szarżując niczym wściekły byk, Mendez pchnął Tylera na stojącą pod ścianą ogromną lodówkę. Marisa krzyknęła. Niewiele się zastanawiając, rzuciła się na niego od tyłu.

- Do diabła, Mariso! - warknął Tyler, broniąc się przed atakiem strażnika wymachującego na osłep pięściami. - Odejdź, zanim stanie ci się krzywda.

- Ależ z niej tygryśca. - Mendez okręcił się wraz z dziewczyną, która uczepiona była jego szyi. - Trzeba dwóch, żeby ją zadowolić. - Roześmiał się grubiańsko.

Marisę przebiegły ciarki. Zaciśnęła mocniej ramię wokół szyi strażnika. Ten z całej siły walnął nią w ścianę. Marisa zwolniła uścisk. Miała wrażenie, jakby uszło z niej powietrze. Otworzyła usta, próbując złapać oddech.

Wtem Mendez runął na ziemię.

Pełna obaw popatrzyła na Tylera, który stał nad leżącym bezwładnie ciałem. Raptem nogi się pod nią ugięły i wolno osunęła się na podłogę. Z trudem wciągała powietrze; oddychanie sprawiało jej ból.

Tyler przeczesał ręką włosy.

- Mieliliśmy się jak najmniej rzucać w oczy - powiedział cicho. - No, trudno... Nic ci nie jest?

Pokręciła przecząco głową. Czuła się tak, jakby zderzyła się z rozpedzoną ciężarówką, ale nie chciała narzekać.

- Tyler, ja go naprawdę nie zachęcałam. On...

- Wiem. Nie musisz się tłumaczyć.

Serce zabiło jej mocniej.

- Wierzysz mi... - szepnęła.

- Tak. Daj rękę. Możesz wstać? Nic cię nie boli?

Znow pokręciła przecząco głową. Kiedy podciągnął ją na nogi, delikatnie pogładził ją po ramieniu. Był przeraźliwie blady.

- A ty? - spytała. - Nie wyrządził ci krzywdy?

- Nie powinnaś tu przebywać, Mariso. To nie miejsce dla ciebie.

Zignorowała jego słowa.

- Jak twoje ramię?

Uśmiechnął się nieporadnie.

- W porządku. Jestem twardzielem. Nie wiesz o tym?

Wiedziała. Ale wiedziała też, że pod maską twardego kryje się człowiek dobry i wrażliwy.

Spojrzała na leżące na ziemi ciało.

- Co z nim zrobimy?

- Schowajcie go, a sami czym prędzej się stąd wynoście. - Głos, który udzielił tej odpowiedzi, dobiegł od strony drzwi.

Marisa obejrzała się za siebie.

- Franco!

Włosy miał dłuższe niż dawniej, ramiona szersze. Nie był już zrozpaczonym młodzieńcem, który został sam z dzieckiem i z cierpieniem w sercu. Był mężczyzną, silnym, umięśnionym, o hardym, nieulekłym spojrzeniu.

Tyler zastygł bez ruchu.

- Franco? - powtórzył za Marisą. - Twój brat Franco?

Poczuła straszliwy ucisk w gardle. Na twarzy Tylera pojawił się wyraz zaciętości i nieprzejednania. Na twarzy Franca również. Zwilżyła językiem wargi. Chciała powstrzymać brata, nie pozwolić mu na to, co chciał zrobić, a jednocześnie bardzo chciała, aby Tyler odnalazł Westina.

- Tak - szepnęła.

Tyler zbliżył się do leżącego na ziemi strażnika.

- Pewnie ci nie zdradził, kiedy cię obmacywał, gdzie znajduje się grota?

- Nie.

Oblała się rumieńcem. Tylko dlatego nie uciekła z piskiem z kuchni, kiedy Mendez zaczął czynić jej awanse, bo wierzyła, że uda jej się wyciągnąć z niego jakieś informacje.

Przeceniła swoje możliwości.

- Oczywiście mając brata, który jest członkiem El Jefe, i tak byś mi nie powiedziała - ciągnął Tyler. - Nic dziwnego, że Gabriela wpuściła nas do środka, a ciebie potraktowała jak dawno niewidzianą przyjaciółkę. Wystarczyło, że szepnęłaś jej słówko o braci-szku...

- Mylisz się, Tyler. Franco nie jest...

- Jaki to ma sens, Mariso? Ta zabawa w kotka i myszkę? Nie mogłaś od razu wbić mi noża w serce? Musiałaś poczekać, aż się w tobie zakocham?

Kolana jej drżały.

- Tyler, przysięgam, że...

- Daruj sobie. - Wlepił oczy w potężnie zbudowanego mężczyznę, który stał gotów do walki. - No co? Dasz mi kolejne ostrzeżenie czy zaciągniesz mnie do swoich zwierzchników? Ale uprzedzam cię, łatwo się nie poddam. Przyjechałem po Westina i zamierzam go uwolnić, czy to się komu podoba, czy nie.

Przez moment Franco świdrował go wzrokiem, po czym przeniósł spojrzenie na siostrę. Następnie wszedł głębiej do kuchni, zamknął za sobą drzwi, dla bezpieczeństwa przekręcając klucz w zamku.

Tyler rozejrzał się dyskretnie wkoło, szukając innego wyjścia.

- Musisz stąd odejść, Mariso - oznajmił sucho

Franco. - I to szybko. Nie wiem, kim jest Westin i niewiele mnie to interesuje. Jutro wieczorem, kiedy zjadą się generałowie, zamierzam wreszcie pomścić śmierć Jennifer.

Tyler znieruchomiał. Atmosfera w kuchni była napięta. Marisa zerknęła na niego błagalnie, jakby prosiła, by jej zaufał, po czym podeszła do brata i ujęła go za rękę.

- Franco, twoja śmierć nie przywróci Jennifer życia. Poza tym jesteś potrzebny Lydii.

Oswobodziwszy rękę, Franco okrążył stojący na środku kuchni duży stół roboczy. Cały czas nie spuszczał oczu z Tylera.

- Skąd się dowiedziałas, że tu jestem? Nikomu nic nie mówiłem.

- Od Valencii.

- Nigdy nie umiała trzymać języka za zębami.

Tyler podrapał się po głowie.

- Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

- W szafce za tobą jest sznur - rzekł Franco. - Wyjmij go.

- Chcesz mnie związać?

- Przestań, Tyler - zezłościła się Marisa. - Franco nie należy do El Jefe.

Sama wyciągnęła z szafki gruby zwój, następnie podała go bratu, który podszedł do Mendeza i związał mu rękę na plecach.

- Zaciągnijmy go do spiżarni - zwrócił się do Tylera. - Jest szansa, że nikt go do rana nie odkryje.

Tyler westchnął zniecierpliwiony.

- Palcem nie ruszę, dopóki nie otrzymam jakiegoś wyjaśnienia.

- Tyler, błagam cię - szepnęła Marisa. Oczy jej lśniły. - Wiem, że powinnam ci była wszystko wcześniej powiedzieć. Franco nie jest żadnym terrorystą. Jest równie niewinny jak Westin.

Tyler zerknął na brata dziewczyny, który znudzony czekaniem na pomoc sam postanowił zataszczyć Mendeza do małego pomieszczenia obok kuchni.

- Akurat.

Marisa chwyciła nieprzytomnego strażnika za nogę.

- Za głośno się zachowujemy - powiedziała. - Co będzie, jeśli ktoś nas usłyszy i postanowi sprawdzić, co się tu dzieje?

Franco sięgnął za siebie.

Tyler napiął mięśnie, szykując się do odparcia ataku. Tamten dwoma palcami wyjął z kieszeni broń, położył na blacie i pochyliwszy się ponownie nad Mendezem, rzucił przez ramię:

- Jeśli ktoś wejdzie, strzelaj.

Tyler uniósł pistolet; był nabyty. Ostrożnie wetknął broń za pasek. Pamiętaj, powiedział sam do siebie, że Marisa to nie Sonya; w niczym nie przypomina tamtej zdrajczyni. Zganiwszy się w duchu za swą podejrzliwość i brak zaufania, odsunął Marisę na bok, a sam zajął jej miejsce. Po chwili Mendez leżał zamknięty w spiżarni.

- Kim, u diabła, jest Jennifer?

- To matka Lydii - odparła dziewczyna, przyglądając się obu mężczyznom.

Żał jej było brata. I żał siebie. Jeżeli słowa, które Tyler wypowiedział w złości o tym, że się w niej zakochał, były prawdą... Bała się, że nigdy jej nie wybaczy tego, iż wiadomość o pobycie brata w obozie trzymała przed nim w tajemnicy.

- Mieliliśmy się pobrać - dodał Franco. - Jak tylko Jen skończy reportaż dla pisma.

Skojarzywszy, o kogo chodzi, Tyler jęknął cicho.

- Jennifer Tate Ta dziennikarka. - Mówiąc to, zerknął na Marisę.

Domyśliła się, że przypomina sobie rozmowę, jaką odbyli przed katastrofą samolotu.

- Pisywała reportaże podróżnicze dla londyńskiego tygodnika - wyjaśnił Franco. - Poznaliśmy się na Cozumel, gdzie akurat pracowałem. Dopiero po kilku tygodniach dała się zaprosić na kolację. Była starsza ode mnie, opierała się, ale w końcu przekonałem ją, że parę lat w jedną lub drugą stronę nie robi żadnej różnicy. - Uśmiechnął się smutno.

- A skąd się wzięła tu, w la Fortunie?

- Zawsze chciała uprawiać dziennikarstwo zaangażowane - wyjaśniła Marisa. - Liczyła, że po artykule na temat El Jefe otrzyma z pisma kolejne zlecenie. Franco dowiedział się, dokąd pojechała, kiedy było już za późno. Gdyby mu wcześniej zdradziła swoje plany, starałby się ją powstrzymać.

- Myślałem, że doszła do siebie - powiedział ścisłym głosem mężczyzna. - Wszyscy tak sądziliśmy.

Marisa skinęła głową.

- Kiedy byłam w Mezcai tuż przed wyjazdem do Londynu, Jen od niedawna była w ciąży.

- Zamierzaliśmy się pobrać. Ona jednak ciągle przesuwała termin ślubu. Mówiła, że po urodzeniu dziecka. Ale potem...

Tyler wiedział, co się potem wydarzyło.

- No dobrze, i co chcesz zrobić? - spytał. - Zabić wszystkich generałów, kiedy zasiądą jutro przy stole? Nie dasz rady. Ich jest wielu, a ty jeden.

- A ty? Też jesteś jeden.

Tak, też był jeden. I gotów był stanąć przeciw wielu, aby uwolnić Westina. Jednakże w przeciwieństwie do Franca często brał udział w niebezpiecznych akcjach - miał doświadczenie.

Wyciągnąwszy taboret, usiadł przy stole i zaczął bębnić palcami o blat.

- Nie możemy czekać do jutra wieczór. Ktoś na pewno zauważy, że Mendeza nie ma tam, gdzie powinien być. - Zerknął na Franca. - Służba jest u siebie w pokojach, szykuje się do snu...

Popatrzył na Marisę. Też powinna była być w pokoju, tak jak obiecała. Ponieważ długo nie nadchodziła, zaniepokojony wyszedł sprawdzić, gdzie się podziewa. Właśnie wtedy znalazł ją w kuchni broniącą się przed Mendezem.

- Może teraz jest odpowiedni moment? - ciągnął. - Jutro strażników będzie więcej... - Zawahał się. Po chwili jednak podjął decyzję. - Nie wiesz, czy w pobliżu są jakieś jaskinie albo grotty?

- Groty? - Franco zadumał się, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu. - *Sil* Tym mianem określa się tu lochy. Pewnie dlatego, że nie dociera do nich światło.

- Lochy? - W głosie Tylera pobrzmiewała nuta sceptycyzmu.

- W ogrodzie stoją rzeźby Zeusa i Apolla - wtrąciła Marisa. - Przywódcy El Jefe kochają przepych. Dlaczego mieliby nie zbudować lochów?

- W porządku. - Tyler wstał i wyciągnął rękę do Marisy. Bez słowa podała mu swoją. - Franco, jeśli zaprowadzisz mnie do lochów i pomożesz mi uwolnić Westina, pozbędę się dla ciebie generałów. Więcej, wysadzę w powietrze cały obóz.

Franco miał taką minę, jakby chciał się sprzeciwić.

- Posłuchaj go, Franco - poprosiła Marisa. - Twoja śmierć na nic się Lydii nie zda. Czy nie dość straciła przez tych drani? A Tyler zna się na tej robocie.

Mężczyzna westchnął ciężko.

- W porządku - oznajmił w końcu. - Wejście do lochów znajduje się na zewnątrz, z północnej strony budynku. Drzwi pilnuje dwóch strażników. Kolejny stoi na dole przy schodach. Nie mam pojęcia, czy kogoś tam trzymają...

Marisa przełknęła napływające do oczu łzy.

- Dziękuję - szepnęła do Tylera.

Wpuścił z płuc powietrze i wzięwszy dziewczynę w ramiona, pocałował ją w usta.

- Podziękujesz, jak będziemy daleko stąd.

Patrząc z perspektywy czasu, akcja poszła wyjątkowo gładko.

Pamiętał minę Marisy, kiedy poprosił ją, aby przyniosła mu z pokoju plecak; popatrzyła na niego jak na wariata.

Kiedy po paru minutach spotkali się przy pogrążonej w mroku północnej ścianie budynku, dwaj strażnicy, którzy mieli pilnować drzwi, leżeli obezwładnieni. Podczas gdy Tyler ustawiał nadajnik, Marisa podeszła do długich wąskich schodów i odrzuciwszy zmysłowo włosy, uśmiechnęła się do trzeciego strażnika. Ten, gotów zapomnieć o swojej wachcie, natychmiast podążył za dziewczyną.

Wyglądało na to, że żołnierze El Jefe przyjemności stawiają wyżej od obowiązków.

Majstrując przy zamku, Tyler zerknął na Marisę, która pomagała bratu związać trzeciego strażnika. Była piękna. Nic dziwnego, że faceci tracili dla niej głowę.

- Szybciej - ponaglił Franco. - O północy następuje zmiana warty.

Tyler skupił się na zamku. Używając maleńkich narzędzi, coś wciskał, coś przekręcał. Wreszcie, słysząc znajomy chrobot, odetchnął z ulgą. Solidne żelazne drzwi otworzyły się. Franco skierował do środka promień latarki. Światło omiotło ściany, sufit, podłogę...

Tyler wstrzymał oddech. Marisa stała obok, ściskając go za rękę.

W rogu celi, na gołym materacu, siedział mężczy-

zna. Mrużąc oczy, wpatrywał się w stojące w progu postaci.

- Jeśli chcecie mnie zabić, to strzelajcie - oznajmił rozkazującym tonem.

Marisa wyczuła napięcie Tylera. Wiedziała, jak wiele pułkownik Phillip Westin dla niego znaczy. Zasłoniła ręką usta, usiłując zdusić szloch.

- Nie chcemy - rzekł Tyler. - Chcemy pana stąd zabrać.

Westin zmarszczył czoło. Usiłował wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

- Coście za jedni? - spytał.

- Przyjaciele.

Tyler w dwóch susach znalazł się przy łóżku. Nie wiele się namyślając, przerzucił swojego dawnego dowódcę przez ramię, po czym pośpiesznie skierował się schodami na górę.

Zamknawszy strażników w podziemnej celi, Franco podążył za Tylerem. Biegli w milczeniu, z każdym krokiem zbliżając się do bramy. Rano pilnował jej uzbrojony strażnik. Tyler podejrzewał, że ktoś zawsze strzeże wejścia.

Zaciskając z bólu zęby, ostrożnie zsunął na ziemię Westina. Zaklął pod nosem: pułkownik stracił przytomność.

- Gdzie plecak?

Marisa postawiła go na trawie. Kiedy Tyler otworzył boczną kieszeń i wydobył ze środka dużą paczkę gumy do żucia, dziewczyna wytrzeszczyła ze zdumienia oczy.

- Każesz mi to z sobą taszczyć, bo nie możesz obyć się bez gumy?

- Owszem - odparł sucho. - Zostań z Westinem. Jesteście tu osłonięci krzakami. Za niecałą godzinę przyleci helikopterem Ricky.

- A ty dokąd idziesz?

- Wykonać to, co obiecałem twojemu bratu.

Złapała go za rękę.

- Tyler...

- Wróć, Mariso. Nie zostawię cię.

Jeszcze nigdy czas tak wolno nie płynął jak wtedy, gdy siedziała w krzakach, trzymając na kolanach głowę pułkownika. Serce waliło jej głośno, niczym zegar odmierzający minuty.

Marzyła o tym, aby chmury zasnuły niebo; przynajmniej Franco z Tylerem byłiby mniej widoczni.

Kiedy była pewna, że oszaleje z niepokoju, nagle usłyszała krzyk. Wstrzymała oddech, starając się wtopić w tło. Nieopodal rozległ się odgłos kroków, powietrze zaś przeszył przeraźliwy warkot. Tyler, który wyrósł przy niej jak spod ziemi, chwycił na ręce Westina, Franco podciągnął siostrę na nogi.

- Pędem! - ryknął Tyler, otwierając kopniakiem bramę.

Pilnujący wejścia strażnik uniósł karabin. Skoczywszy do przodu, Franco zacisnął ręce na kolbie. Lufa huknęła strażnika w zęby. Mężczyzna zwałił się na ziemię.

Ostatnią rzeczą, jaką Marisa zobaczyła, była wykrzywiona w grymasie bólu twarz Tylera, kiedy ponownie przerzucał sobie przez ramię Westina.

A potem ziemia się zatrzęsała. Marisa potknęła się. Franco złapał ją, zanim rymnęła jak długa.

Biegli dalej, ile sił w nogach, w stronę zniżającego się helikoptera, który wzbijał potężne tumany kurzu.

scandalous

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Kim jest ta Marisa, która ci pomagała?

Podwinąwszy rękawy koszuli, Tyler usiadł na krześle, tuż obok łóżka, w którym leżał Westin. Znajdowali się w szpitalu na terenie brytyjskiej bazy wojskowej w Belize. Westin odzyskał przytomność chwilę po tym, jak podano mu kroplówkę. Był odwodniony i mocno wychudzony. Poza tym nic na szczęście mu nie dolegało.

- To profesjonalistka. Zna mnóstwo języków.

Pułkownik, chociaż miał na sobie szpitalną koszulę i podłączony był do jakiejś aparatury, samą swoją obecnością wzbudzał posłuszeństwo i szacunek.

- Lada dzień przyjmą ją z powrotem do pracy w dyplomacji - kontynuował Tyler.

- Musiałeś z nią współpracować? - spytał Westin.

Tyler skinął głową.

- Tak. Okazała się... przydatna.

- Ricky Mercado również.

Tyler ponownie skinął głową.

- Nie rozmawiamy o śmierci Haley. On...

Pomiędzy Rickym a resztą przyjaciół, którzy byli obecni tamtego wieczoru, kiedy Haley utonąła, istniała jakaś niewidoczna bariera, utrzymujące się napięcie.

- Po prostu tak jest łatwiej. - Na moment zamilkł.
- Poszedł zawiadomić Luke'a, że cię uwolniliśmy.
- A co z Lukiem?
- W porządku. Kiedy ostatni raz go widziałem, powoli wracał do zdrowia. Pewnie pan wiedział o jego działalności wywiadowczej?

Westin nie potwierdził, ale i nie zaprzeczył. Świdrował Tylera wzrokiem.

- Jakie masz dalsze plany?

Tyler wzruszył ramionami.

- Zanim wyruszyłem do Ameryki Środkowej, zaproszono mnie do Genewy. Mam wystąpić w roli konsultanta. Ale to dopiero na jesieni. Dostałem też ofertę poprowadzenia zajęć z żołnierzami w Mission Creek. Niestety, po tych wszystkich akcjach, w jakich brałem udział, wykłady czy doradztwo pachną mi straszliwą nudą.

- A Marisa?
- Co Marisa?

W oczach pułkownika odmalowało się zniecierpliwienie.

- Tam, w celi, jednego miałem pod dostatkiem, chłopcze. Czasu. Ty też byłeś zakładnikiem, więc wiesz, o czym mówię. Dużo rozmyślałem. O wielu sprawach. Między innymi o tobie. Od lat odmawiałeś współpracy z kobietami. Teraz jednak się zgodziłeś.

- Tak jak mówiłem, okazała się przydatna.
- Tu chodzi o coś więcej, prawda?
- Ja...

Westin uniosł rękę, nie dając Tylerowi dojść do głosu.

- Posłuchaj mnie. Potem zrobisz, co zechcesz. - Pułkownik wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu. - Zresztą zawsze tak postępujesz. Pod tym względem jesteśmy do siebie podobni. A więc kiedyś ja też stawiałem pracę na pierwszym miejscu, zbyt wielką wagę przywiązywałem do tak zwanej kariery. Z tego powodu rozstałem się z jedyną kobietą, na której naprawdę mi zależało.

Tyler, wyraźnie skrępowany, zaczął się wiercić na krześle.

- Panie pułkowniku, nie chciałym...

- Zamknij się i słuchaj.

I tak też Tyler uczynił.

- Poznałem Patrice w college'u. Ona chciała wyjść za mąż, mieć dzieci, a mnie marzyły się inne rzeczy: praca, podróże. Kompromis wydawał mi się niemożliwy, więc rozstaliśmy się. Od tamtej pory pluję sobie w brodę.

- Panie pułkowniku...

- Śledziłem jej życie, Tyler. Na odległość. - Westin zadumał się. - Ona nigdy się nawet nie zorientowała. A ja wszystko wiedziałem. Kiedy wyszła za mąż. Kiedy urodziła pierwsze dziecko. Kiedy drugie i trzecie. Patrzyłem, jak wiedzie beze mnie szczęśliwe życie. Nie masz pojęcia, jak bardzo mnie to boli.

- Panie pułkowniku...

- Skończyłem, chłopcze. Przemyśl moje słowa, zanim wyruszysz z kolejną misją na drugi koniec świata.

Phillip Westin zamknął oczy, dając Tylerowi do zrozumienia, że jest zmęczony i pragnie zostać sam. Tyler

bez słowa skierował się do drzwi. Nie miał okazji powiedzieć pułkownikowi, że absolutnie nie zamierza rozstawać się z Marisą. Że jedynie nie jest pewien, czy ona będzie chciała zostać z nim.

- Przepraszam bardzo... Przyniosłem faks, który nadszedł dziś po południu. A to, jak sądzę, również należy do pani.

Młody, krótko ostrzyżony żołnierz podał Marisie białą kartkę papieru oraz niedużą brązową kopertę.

- Dziękuję.

Żołnierz skinął głową i opuścił pokój; odgłos jego kroków niósł się chwilę po korytarzu.

Minał prawie cały dzień, odkąd wylądowali w brytyjskiej bazie wojskowej w Belize, lecz w tym czasie Marisa ani razu nie widziała ani Tylera, ani pułkownika Westina. Miała wrażenie, że wszyscy o niej zapomnieli.

Jakby przestała istnieć.

Oczywiście nie przestała. Od dobrych kilku godzin siedziała w niedużym pomieszczeniu, odpowiadając na szczegółowe pytania obcych mężczyzn, z którymi nic ją nie łączyło.

Ponownie wyjrzała przez okno. Helikopter, który przybył po nich do la Fortuny, wciąż stał na placu. Widok maszyny działał na nią uspokajająco. Sama nie wiedziała dlaczego, bo przecież Tyler mógł opuścić bazę innym środkiem transportu.

Wróciła do stolika. Nie mając nic innego do roboty, rozerwała kopertę. Ze środka wysypały się dokumenty,

które Tyler zabrał jej pierwszego dnia, kiedy spotkali się na lotnisku w Gwatemali. Schowała je do kieszeni.

Następnie przeczytała faks od ambasadora Torresa. Westchnęła. Torres dotrzymał obietnicy. Nowy ambasador przyjmie ją do pracy. Najpóźniej w ciągu tygodnia powinien się z nią skontaktować.

Przesunawszy faks na środek stołu, wpatrywała się w niego w milczeniu. Nagle podskoczyła: na zewnątrz rozległ się hałas.

To odlatuje helikopter.

Wybiegła pędem z pokoju. Skręciła w jeden korytarz, drugi, i wreszcie pchnęła metalowe drzwi prowadzące na pole startowe. Nie zdążyła.

Powłócząc nogami, doszła na plac, na którym jeszcze przed chwilą stał śmigłowiec. Oczami pełnymi łez wpatrywała się w niebo, dopóki maszyna nie znikła jej z pola widzenia.

Odleciał.

Tyler odleciał.

Może się w niej zakochał, może nie. Nie ma to znaczenia. Wiedziała bowiem, że nigdy nie wybaczy jej tego, że go oszukała, że zataiła przed nim prawdę o Francu. Sama jest sobie winna.

- Mariso.

Słyszała jego głos niesiony wiatrem. Przygryzła wargi. Tyler...

Twierdził, że jest silna, a czuła się tak, jakby za moment miała zemdleć.

- Mariso...

Otarłszy ręką łzy, ruszyła w stronę budynku. Tak,

jest silna. Musi to sobie udowodnić. Bo on jej to powiedział.

Nagle stanęła jak wryta. Serce podskoczyło jej do gardła. Minęło kilka długich sekund, zanim zdołała cokolwiek z siebie wydusić.

- Nie wyjechałeś...

Zmrużył oczy.

- A powinienem być?

- Ale... - Odwróciwszy się, wskazała ręką niebo.

- Kiedy odleciał helikopter, byłam pewna, że jesteś w środku.

- Nie wyjechałbym bez pożegnania.

Trzymał w ręce kartkę papieru. Rozpoznała faks, który zostawiła na stole.

- Gratuluję. Wygląda na to, że wszystko ułożyło się po twojej myśli.

- Nie... nie wszystko - wykrztusiła.

Zasępił się.

- Co, Franco nie wraca do domu?

- Wraca. Wyruszył jakąś godzinę temu w asyście dwóch żołnierzy. - Wsunęła ręce do kieszeni, żeby powstrzymać je od drżenia. - W fortecy nie ma już czego szukać. Prawie nic z niej nie zostało.

- Domy dla służby i część mieszkalną zostawiłem nietknięte.

- Słyszałam. - Była mu za to wdzięczna. Bez względu na to, co Franco zaplanował, Tyler postanowił uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi. - Zniszczeniu uległo centrum dowodzenia w głównym budynku. El Jefe szybko nie odzyska władzy w tym rejonie. - Prze-

chyliła w bok głowę. - Podejrzewam, że do wybuchu przyczyniła się twoja niewinnie wyglądająca guma do żucia. To niepojęte, że coś tak małego może spowodować tak ogromne zniszczenia.

Tyler złożył faks na pół.

- Jestem fachowcem i znam się na swojej robocie. Oczywiście innym czasem trudno zaakceptować to, co robię.

- Wiem. - Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. - Każdy normalny człowiek buntuje się przeciwko śmierci, destrukcji, ale twoja praca jest potrzebna.

- Jak powietrze do oddychania.

- Tyler... Przepraszam, że zataiłam przed tobą prawdę. Gdybym mogła cofnąć czas...

- Co to, to nie!

Zacisnęła mocniej usta.

- No tak. Głupstwa gadam.

- Groziło ci śmiertelne niebezpieczeństwo, Mariso. Nie zniósłbym tego po raz drugi.

Wstrzymała oddech. W jej serce wstąpiła nadzieja.

- Słucham?

Wyciągnął w jej stronę faks.

- Gratuluję oferty pracy - powiedział.

Schowała kartkę do kieszeni.

- Postanowiłam jej nie przyjąć. - Decyzję podjęłam od razu po przeczytaniu faksu.

- Dlaczego? - spytał zaskoczony.

- Bo nie mam zamiaru dłużej postępować wbrew sobie, byleby tylko zadowolić rodziców. Nie chcę być żoną człowieka, którego nie kocham. Nie chcę robić

kariery, żeby mama miała się czym chwalić. Czas najwyższy, abym zaczęła żyć po swojemu, tak jak mnie się podoba. Kocham rodziców i wiem, że oni też mnie kochają, mimo że nigdy nie powiedzieli mi tego wprost.

- Jakie masz plany?

Przełknęła ślinę. Z doświadczenia wiedziała, że ryzyko czasem się opłaca.

- Słyszałam o takim miasteczku w Teksasie - rzekła, podchodząc krok bliżej. - Nazywa się Mission Creek. Nie ma tam dżungli, a to mi bardzo odpowiada. Jestem niezłą kelnerką. I dobrą tłumaczką. Powinnam skończyć tłumaczenie na włoski artykułu o długoterminowych skutkach grania w gry komputerowe przez ludzi cierpiących na krótkowzroczność. Najpierw jednak muszę zdobyć nowy egzemplarz tekstu; poprzedni spalił się w twoim samolocie. Dalszych planów na razie nie mam...

- Mission Creek, powiadasz? Bo nie ma tam dżungli?

Popatrzyła mu prosto w oczy. Tak jak i ona, wykaptał się, pozbył brudnych łachów. Ogolony, uczesany, w czystym mundurze, wyglądał na niesamowicie przystojnego.

- Mission Creek - potwierdziła cicho. - Bo tam mieszka mężczyzna, którego kocham.

Odgarnął jej z policzka kosmyk włosów. Serce zażyło jej mocniej.

- A jeśli ten mężczyzna będzie musiał pojechać jesienią do Genewy?

- W Genewie mówią po francusku. Może przyda mu się tłumaczka...

Uśmiechnął się od ucha do ucha. Po chwili jednak spoważniał. Ujął palcami brodę Marisy i utkwiał wzrok w jej twarzy.

- Mam prośbę. Właściwie żądanie.

- Jakie?

- Że najpierw mnie nauczysz hiszpańskiego, a dopiero potem nasze dzieci. Kocham cię, Mariso, ale w tej kwestii nie ustąpię.

Roześmiała się, jednocześnie łzy popłynęły jej z oczu. Wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

- Boże, Murdoch, potrzebuję co najmniej pięćdziesięciu lat, żeby cię rozgryźć!

- Masz je jak w banku - szepnął jej do ucha.

EPILOG

- Witaj na starych śmieciach, Luke. Świetnie wyglądasz.

Ileż razy słyszał te słowa? Zbyt wiele. Kiedy tak siedział na krześle, które ktoś mu podsunął, starał się wyobrazić sobie wnętrze klubu golfowego Lone Star. Podejrzywał, że zebrała się w nim co najmniej połowa miasteczka.

Rozmowy, śmiech, muzyka niosły się wszędzie wkoło. Obcasy uderzały głośno o różowe płyty podłogowe. Miał wrażenie, że ponad tym gwarem słyszy szum fontanny.

Przyjaciele zorganizowali mu przyjęcie powitalne, lecz Luke Callaghan nie był w nastroju do zabawy. Poprawił na nosie okulary przeciwsłoneczne. Irytowały go, w dodatku były niepotrzebne, skoro i tak nic nie widział. Nic i nikogo. Ani jednej twarzy.

Sfrustrowany, zacisnął dłonie w pięści.

- Trzymaj.

Poczuł, jak ktoś mu wciska do ręki pękatą szklanekę z zimnym napojem. W tym samym momencie rozpoznał głos Tylera.

- Nie wiedziałem, że już wróciłeś, stary - rzekł.

- Myślałem, że wciąż zabawiasz się na plaży z jakąś ślicznotką o imieniu Marisa.

Przyjaciel roześmiał się cicho.

- Miałem przegapić twoje przyjęcie powitalne? Przecież znasz mnie nie od dziś.

- Przyjęcie... Jakoś nie jestem w nastroju do świętowania. Cały czas się zastanawiam, gdzie się podziewa moje maleństwo.

Słyszac szuranie, domyślił się, że Tyler przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Wróciłbym szybciej, gdybym wiedział o porwaniu - oznajmił Tyler. - A więc Lena na pewno jest twoja?

- Badania DNA to potwierdziły.

- Federalni nie mają żadnych nowych wieści?

- Nie.

- I wciąż nikt nie zażądał okupu?

- Nie.

- Dziwne. Wydawałoby się, że po to ją porwano. Żeby oskubać cię z twoich milionów. Porywacz musiał wiedzieć to, czego myśmy wcześniej nie wiedzieli, że to ty jesteś ojcem Leny. Więc dlaczego milczy? Dlaczego nie żąda forsy?

Luke wielokrotnie zadawał sobie te same pytania. Gdyby znał odpowiedź, łatwiej byłoby mu odnaleźć córkę, o której istnieniu dopiero niedawno się dowiedział.

- Josie zrobiła jej mnóstwo zdjęć - rzekł ochryplym głosem. - A ja nawet nie mogę ich zobaczyć. Nie wiem, jak wygląda moja córeczka.

- Jest piękna - powiedział Tyler. - Zresztą wkrótce sam się przekonasz.

- Musiałyby się zdarzyć cuda. - A on, Luke, przestał wierzyć w cuda.

- Przecież lekarze twierdzą, że twoja ślepotą ustąpi.

- Owszem, tak twierdzą optymiści. - W głosie Luke'a pobrzmiewała ironia. - Ale nie ma żadnych gwarancji. Tak jak nie ma gwarancji, czy Lena kiedykolwiek zostanie odnaleziona. Ani nawet czy... - Czy żyje, dokończył w myślach.

Tyler zacisnął rękę na ramieniu przyjaciela.

- Cuda się zdarzają, stary. Naprawdę.

Nagle owiał ich intensywny zapach perfum. Chwilę później miękkie policzki przycisnął się do twarzy Luke'a.

- Cieszę się, że znów jesteś z nami, misiaczku.

Luke zmusił usta do uśmiechu. Odetchnął z ulgą, gdy zapach się oddalił.

- Któż to był, do cholery?

- Bitsy O'Malley.

- Kto?

- W zeszłym roku umówiłeś się z nią kilkakrotnie.

- Aha. - Nie interesowały go żadne kobiety poza tą jedną, która dziesięć miesięcy temu zostawiła w nosidełku na polu golfowym jego maleńką córeczkę. - A odkąd to ty wierzysz w cuda, co, Tyler?

- Odkąd poznałem ją - szepnął Tyler, wstając.

Luke usłyszał zbliżające się kroki. Również wstał. Nienawidził czuć się jak kaleka.

- Mariso, to jest mój przyjaciel Luke Callaghan. Luke, poznaj Marisę, moją narzeczoną.

Luke wyczuł w głosie przyjaciela coś nowego - nutę dumy, rozmarzenia.

- Narzeczoną, powiadasz? - Po raz pierwszy od dawna uśmiechnął się szczerze, po czym pochylił się, bezbłędnie trafiając ustami w gładki policzek dziewczyny. - Teraz rozumiem, dlaczego Tyler cały czas opowiada mi o cudzie. Życzę ci dużo szczęścia, Mariso. Mam jedynie nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Na sto procent. - W jej głosie pobrzmiwał obcy akcent. - Miło mi cię poznać, Luke. Jest tu jeszcze ktoś, kto chciałby się z tobą przywitać.

Poczuł znajomy uścisk dłoni, mocny i silny.

- Pułkownik Westin?

- Cieszę się, synu, że jesteś na chodzie.

- A ja, że pan odzyskał wolność.

- Słyszałem o twoich kłopotach. Jeżeli czegokolwiek byś potrzebował, masz natychmiast dać mi znać.

- Dziękuję panu. Doceniam pański gest.

- Nie, chłopcze. To ja doceniam to, coś ty dla mnie zrobił. Ty, Tyler i inni, którzy postanowili mnie ratować. A teraz, czy mógłbym cię prosić o jeszcze jedną przysługę?

- Oczywiście, panie pułkowniku.

- Więc nie trać nadziei. Odnajdziesz córkę. Ty i twoi koledzy stanowicie zgrany zespół. Nie ma lepszych od was. Jeśli nie podobają się wam metody działania Biura, zacznijcie działać sami.

Luke pokiwał głową. Westin ma rację. Ślepotą

nie jest równoznaczna z brakiem inteligencji czy nieumiejętnością logicznego myślenia. Szarych komórek ma pod dostatkiem, może też polegać na przyjaciółach.

- Nie poddam się - oznajmił stanowczym tonem, czując, jak wstępuje w niego siła. - Na pewno się nie poddam.

Kiedy w klubie golfowym przyjaciele Luke'a Callaghana świętowali jego powrót, w pobliskim Goldenrod maleńka dziewczynka o kruczoczarnych włosach i niebieskich oczach wydzieraa się wniebogłosy.

Erica Clawson robiła, co mogła, żeby tylko uspokoić płaczące dziecko. Wiedziała, że jeśli Frank przyjdzie do domu i usłyszy to przeraźliwe wycie, będzie potwornie zły. A nie lubiła, kiedy Frank się złościł. Znacznie bardziej wolała, kiedy był czuły, troskliwy i skoncentrowany na niej, a nie na dzieciaku i swojej dawnej narzeczonej Haley.

Machanie pluszowym zwierzakiem przed nosem małej nie odniosło skutku, wyjęła więc dziecko z kołyski i przytuliła do piersi. Maleństwo naprawdę jest rozkoszne.

Żal jej się zrobiło Daisy; pewnie biedaczka odchodzi od zmysłów, wiedząc, że dziecko znikło z rancza Carsonów.

Ale jeśli Daisy to faktycznie Haley Mercado, którą wszyscy od dawna uznawali za zmarłą... wówczas Erica nie będzie się nad nią roztkliwiać. Gotowa była

uczynić dla Franka wszystko, wszystko z wyjątkiem dzielenia się nim z inną kobietą.

Całując niemowlę w czółko, wolnym krokiem ruszyła w stronę kuchni.

- Powiedz, Leno, moja maleńka. Nie zjadłabyś może brzoskwinki?

scandalous